

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu
252352

nr 6 (6/12) listopad – grudzień 2010 cena 7 zł

POSPOLITE RUSZENIE PALIKOTA

Henryk Kocot

PRZEDWIGILIJNE REFLEKSJE I WSPOMNIENIA

Włodzimierz Wójcik

ZAGŁĘBIOWSKIE GODY

Katarzyna Sobota-Liwoch

DLACZEGO MAŁOPOLANIE ZOSTALI ZAGŁĘBIAKAMI A NIE NOWOŚLĄZAKAMI?

Dariusz Nawrot

DYLEMATY REGIONALNEJ TOŻSAMOŚCI

Marek S. Szczepański, Anna Śliz

ZABYTKI PO LIFTINGU

Paweł Sarna

WYWIADY

Ks. bp. Tadeusz Szurman

FELIETONY

Jadwiga Gierczycka, Jerzy Suchanek, Andrzej Wasik

PROZA

Krzysztof Macha

POEZJA

Maciej Melecki

PLASTYKA

Jacek Rykała



RADOSNYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!



expo silesia

Nowoczesne centrum wystawiennicze
w aglomeracji śląskiej



Zapraszamy na targi 2011:

7 – 9 stycznia

EXPOGołębie – 4. Międzynarodowe Targi Gołębi Pocztowych
www.expogolebie.pl

18 – 20 lutego

INTOUREX – 4. Międzynarodowe Targi Turystyki, Rekreacji i Wypoczynku
www.intourex.pl

25 – 27 lutego

SIBEX – 4. Targi Budowlane Silesia Building Expo
www.sibex.pl

SilesiaINTERIOR – Targi Wyposażenia Wnętrz
www.silesiainterior.pl

3 – 5 marca

RehMedika – Targi Rehabilitacji
www.rehmedika.pl

1 – 3 kwietnia

ExpoFISH – Targi Sprzętu Wędkarskiego oraz Kiermasz Wędkarski
www.expofish.pl

ExpoHunting – Międzynarodowe Targi Łowieckie
www.expohunting.pl

17 – 19 czerwca

Auto Moto Show
www.automotoshow.com.pl

16 – 18 września

MULTIMEDIA Expo – Targi Elektroniki Użytkowej oraz Gier Komputerowych
www.multimediaexpo.pl

Sosnowiec

Expo Silesia Sp. z o.o., ul. Braci Mieroszewskich 124, 41-219 Sosnowiec, tel. 32 78 87 500, fax 32 78 87 502, e-mail: exposilesia@exposilesia.pl

Zobacz pełny program targów na www.exposilesia.pl

Szanowni Czytelnicy!

Kilkanaście dni temu zakończyły się drugie w tym roku, po wyborach prezydenckich, wybory samorządowe. W kilku poprzednich numerach pisaliśmy o aktywności wyborczej mieszkańców naszego regionu, rekonstruowaliśmy mapę sympatii politycznych. Wybory prezydenckie były walką kandydatów partii politycznych. Wybory samorządowe charakteryzują się nieco inną logiką. Obok komitetów partyjnych dużą rolę odgrywają komitety wyborcze mieszkańców oraz stowarzyszeń i organizacji społecznych. W małych gminach, ale również w dużych miastach niepartyjne komitety wyborcze odgrywają coraz większą rolę. Dotyczy to Będzina, Czeladzi, Dąbrowy Górniczej, Wojkowic i Zawiercia, a nawet Sosnowca, gdzie w kostiumie kandydatów niezależnych występowali członkowie Unii Pracy i PSL.

Na analizę wyników wyborów samorządowych prosimy poczekać do kolejnego numeru „Nowego Zagłębia”, dziś zwróćmy uwagę na niższą niż przewidywano frekwencję wyborczą w całym kraju (47,32% w I turze i 35,31% w II turze). W naszym regionie była wyższa o 3 punkty (50,72%). W drugiej turze wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów 5 grudnia, choć frekwencja spadła, to i tak była wyższa od ogólnopolskiej o prawie 7 punktów. W wyborach samorządowych w gminach, powiatach i sosnowieckim okręgu wyborczym do sejmiku województwa śląskiego rozkład wyników odbiega od układu ogólnopolskiego. Kandydaci na radnych z list Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Przymierza Społecznego osiągnęli lepsze wyniki niż kandydaci Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. W Będzinie, Czeladzi i Zawierciu w wyborach burmistrza i prezydentów klęskę ponieśli starający się o reelekcję kandydaci PO.

Druga tura wyborów samorządowych zbiegła się z pierwszym w tym sezonie atakiem zimy, który odkrył słabości gospodarzy gmin i miast. Do urn wyborczych brnęliśmy przez zasy i masy nieposprzątanego śniegu. W nieco lepszym stanie znajdowały się główne drogi i ulice. Po raz kolejny władze i służby miejskie zostały „zaskoczone opadami śniegu” i atakiem zimy. Ta co roku powtarzająca się sytuacja świadczy o tym, że władze samorządowe nie mają w swoich priorytetach dbania o przestrzeń publiczną, na którą składają się czyste i przyjazne ulice i chodniki. Sprawa nie jest błaha i nie ogranicza się li tylko do infrastruktury drogowej, lecz całokształtu przestrzeni publicznej w gminie i mieście, która służy ogólnemu mieszkańcom. Wbrew częstym deklaracjom, władze samorządowe nie działają na rzecz ogółu, lecz zaspokajają partykularne interesy różnych grup i środowisk społecznych (np. kierowców prywatnych samochodów), wpisując się w realizację liberalnej doktryny, która koncentruje się na dobru jednostki i jej wolności, a nie na republikańskim dobru wspólnoty, dobru powszechnym wyrażającym się np. w organizacji transportu publicznego.

Taka sytuacja nie tylko jest skutkiem działalności władz liberalnych, lecz także lewicowych.

Istota funkcjonowania samorządnej wspólnoty musi kojarzyć zasadę pomocniczości z zasadą dobra ogółu. W wydaniu władz liberalnych może prowadzić do prymatu dobra jednostki, w działalności władz lewicowych (SLD, PiS, PSL) do zapewnienia przewagi dobra publicznego.

Zapraszamy Państwa do lektury kolejnego numeru „Nowego Zagłębia”, w którym znajduje się wiele interesujących tekstów poświęconych wydarzeniom końca roku oraz Świąt Bożego Narodzenia w różnych obyczajach, a także w kulturze, w tym poezji, literaturze i plastyce.

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego 2011 Roku, wszystkim Czytelnikom i ich Rodzinom składamy najserdeczniejsze życzenia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Marek Barański

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne ● Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Wałęwska ● Adres redakcji: 41–200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65/31, tel./fax: + 48 32 733 42 27, + 48 512 175 814 ● e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl ● Wydawca: Związek Zagłębiowski ● DTP: Tomasz Kowalski ● Zagłębiarka: redaguje kolektyw w składzie: Maja Barańska, Aleksandra Sarna, Paweł Barański, Paweł Sarna ● Foto na okładce: www.sxc.hu ● Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Paweł Barański, Przemysław Dudzik, Bogdan Dworak, Robert Garstka, Henryk Kocot, Tomasz Kostro, Jarosław Krajewski, Dobra Słoneczna-Gawlik, Piotr Smerka, Jerzy Suchanek ● Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec ● Nakład: 1500 egzemplarzy ● Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności ● Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem ● Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych ● Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych ● Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, GETIN BANK SA, 70 1560 1010 0000 9010 0006 2987.



Spis treści

Inne chrześcijaństwo.....	2
Zagłębiowskie Gody	4
Z polażniczką po kolędzie.....	5
Nowy Rok na świecie	7
Między podwawelskim grodem a Sosnowcem.....	9
Dlaczego Małopoleanie zostali Zagłębiakami a nie Nowoślazakami?	12
Schönowie i Zarębscy	13
Wspomnienia kazachstańskie	15
Zagłębiowskie godki.....	16
Dylematy regionalnej tożsamości... ..	17
List otwarty do Szanownego Pana Tadeusza Siernego.....	18
Węgiel na parkiecie.....	21
Krótka historia telefonii komórkowej	21
Zabytki po liftingu	23
Górnictwo tradycje	27
ZAGŁĘBIARKA.....	29
PLASTYKA.....	37
FILM	39
PROZA.....	41
POEZJA.....	44
Nie szukamy nowego Geneta	45
RECENZJA.....	47
FELIETONY	50
Pospolite ruszenie Palikota	52
REGION	54
KALENDARIUM IMPREZ KULTURALNYCH	64

Druk i upowszechnienie czasopisma „Nowe Zagłębie” są współfinansowane przez Zarząd Województwa Śląskiego i gminę Sosnowiec



Sosnowiec łączy



Śląskie. Pozytywna energia

**Z ks. Tadeuszem Szurmanem biskupem diecezji katowickiej
Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego rozmawia Paweł Sarna**

Inne chrześcijaństwo

Czym charakteryzuje się Kościół ewangelicki w regionie?

Ta mała ojczyzna jest dosyć duża, bo Kościół Ewangelicko-Augsburski, czyli luterński, w Polsce należy do kościołów rozproszonych, mniejszościowych i dlatego jest podzielony tylko na sześć diecezji. Diecezja katowicka obejmuje znaczny obszar, od Brzegu na zachodzie, do granicy ukraińskiej, od Częstochowy, do granicy czeskiej i słowackiej. Jest 41 parafii i 27 filiałów.

Ilu wiernych liczą parafie?

Generalnie są to nieduże parafie, największa skupia około 1400, najmniejsza 30–40 wiernych. Na tym terenie mieszka łącznie około 20 tys. ewangelików.

Koniec roku skłania do podsumowań. Co ważnego wydarzyło się w życiu Kościoła w naszym regionie?

Wydarzenia były związane z różnymi uroczystościami. W tym roku obchodziliśmy uroczystości związane z rokiem młodości. Zjazd młodości odbył się w Chorzowie i było to święto ogólnopolskie. W tym roku rozpoczęliśmy też przygotowania do Dekady Lutra, rocznicy 500-lecia reformacji. W tym roku mieliśmy wiele okrągłych jubileuszy poszczególnych parafii: w Świętochłowicach, Miechowicach oraz w Sosnowcu, gdzie obchodziliśmy 100-lecie poświęcenia tamtejszego kościoła ewangelickiego i 130-lecie ewangelicyzmu sosnowieckiego.

To, jak rozumiem, same plusy. A minusy?

Jak wszystkie Kościoły w Polsce w obecnym okresie mocnego zeświecczenia, musimy przewartościowywać swoje sposoby myślenia o przekazywaniu ponadczasowych wartości i w związku z tym poszukiwać nowych dróg ewangelizacji, docierania szczególnie do ludzi młodych. Wielką wagę przywiązujemy do katechizacji, do wychowania młodego pokolenia, dlatego też mamy różne przeglądy twórczości artystycznej dzieci i młodości, zjazdy diecezjalne, jak na przykład pożegnanie wakacji czy spotkanie z konfirmantami z całej diecezji. To wszystko ma integrować i łączyć.

Czy w tym roku wydarzyło się coś istotnego dla życia luteran w Polsce?

6 stycznia został konsekrowany nowy biskup Kościoła, który stoi na czele całej naszej wspólnoty w Polsce, ks. Jerzy Sa-

miec. Jest to stosunkowo młody, rzutki i ambitny człowiek i w związku z tym też wprowadził wiele nowości związanych z zarządzaniem i administrowaniem Kościoła, abyśmy byli pozytywnie postrzegani przez społeczeństwo.

Może przypomnimy, że Kościół ewangelicki

jest pluralistyczny, co podkreślał niedawno prof. Karol Karski na łamach „Polityki”. Władze składają się z duchownych i świeckich.

Najmniejszą jednostką jest parafia, wyżej jest diecezja, no i Kościół jako wspólnota. Synod diecezjalny składa się z przedstawicieli wszystkich parafii i duchownych,



przy czym przewagę w synodach stanowią świeccy, w związku z tym księża nie mogą bez współpracy z nimi przeprowadzić głosowania większościowego. Czuwa nad tym rada diecezjalna i biskup. Z kolei synod Kościoła jest najwyższą władzą ustawodawczą, konsystorz jest władzą wykonawczą, a biskup Kościoła odpowiada za całokształt życia duchowego.

W Zagłębiu jest tylko jeden czynny kościół ewangelicki, w Sosnowcu. Kiedyś było ich więcej.

Początki luteranizmu w Zagłębiu sięgają roku 1840; Będzin miał pierwszy filiał ewangelicki. W Dąbrowie Górniczej w 1900 roku został wybudowany nowy kościół, kolejny w Zawierciu. W Sosnowcu powstał stylowy kościół dzięki Henrykowi Dietlowi, który był jednym z najbogatszych obywateli miasta i on jako przemysłowiec nie tylko tworzył placówki dobroczynne, ale też na terenie swoich zakładów włókienniczych zbudował kościół ewangelicki. Parafia działa do dnia dzisiejszego, jest to parafia obsługiwana przez ks. Adama Malinę. Największy rozkwit ewangelicyzmu w Zagłębiu to okres niedługo przed pierwszą wojną światową, dokładniej lata 1906–1913. Liczebność ewangelików w Zagłębiu zwiększyła się wówczas 5-krotnie, do 16 tys. wiernych, z czego większość, 11 tys., mieszkała w Sosnowcu i niewątpliwie to miasto wiele zawdzięcza ewangelikom, nie tylko Dietlowi, ale i Schoenowi, oni to nadawali kierunek rozwoju tego miasta.

Dlaczego luteranizm na ziemi zagłębiowskiej się załamał?

Miała na to wpływ II wojna światowa i to, że powstające obiekty sakralne były na gruntach prywatnych – fabrykantów, nie należały formalnie do społeczności czy parafii ewangelickiej. Nie myślano o tym, że wybuchnie wojna, więc ich nie przypisywano na rzecz Kościoła. Kiedy nastąpiła nacjonalizacja kościoły jej ulegały, także ten kościół w Sosnowcu, który odzyskaliśmy dopiero na mocy porozumienia komisji regulacyjnej z 1996 roku. To zjawisko było charakterystyczne nie tylko dla Zagłębia, ale dotyczyło całego Śląska, gdzie działali wielcy przemysłowcy, którzy byli fundatorami kościołów.

Jak luteranie spędzają Święta Bożego Narodzenia?

Podobnie jak katolicy, ponieważ mamy ten sam rok liturgiczny. Święta przypadają w tym samym terminie, a różnorodność np. obchodzenia wigilii jest związana z regionem, a nie z wyznaniem.

Nie ma żadnych szczególnych – swoiście luterskich – potraw?

Nie ma. Jeśli ktoś jest na przykład ze Śląska, to pewnie trzyma się tradycyjnej kuchni śląskiej.

A może Ksiądz Biskup pamięta jakieś potrawy ze stołu wigilijnego z dzieciństwa?

Jestem cieszyńskiem, czyli pochodzę z ziem, na których były wpływy austro-węgierskie. Tam zazwyczaj kolacja była skromna. Ludzie byli oszczędni, dlatego że byli po prostu biedni. Makowiec, zupa rybna, zupa z pieczek czy kompot z suszonych jabłek albo gruszek, kapusta – na stole pojawiały się te potrawy, które się w danym regionie wytwarzało. Karp był jedzeniem postnym, a wigilia należała do adwentu, który jest okresem postu. W moim domu zawsze była ryba pod różnymi postaciami, kapusta z grzybami, ziemniakami, zupa z ryb, to takie podstawowe potrawy. Cieszyński zwyczaj nakazywał, aby z każdej potrawy trochę skosztować, trochę uszczknąć. Przed wieczerzą śpiewało się pieśń stołową, nie kolędę. Kolędy dopiero śpiewaliśmy po zakończeniu wieczerzy wigilijnej. Dzieci mogły biec po prezenty gwiazdkowe dopiero po modlitwie, po przeczytaniu historii Bożego Narodzenia i po odśpiewaniu kolęd.

A inne zwyczaje czy symbole – czy można wskazać jakieś różnice?

Trzeba pamiętać, że są symbole, które się rozpowszechniły, na przykład choinka ma związek z mieszczanami protestanckimi. Drugi to element związany z adwentem – czyli wieniec adwentowy z czterema świecami, który był pomysłem księdza Wicherna, twórcy misji wewnętrznej. Kiedy wzrastał krwiożerczy kapitalizm i narastała ogromna bieda, Kościół zaczął ludziom pomagać. Ksiądz Wichern także w tamtym czasie wymyślił, trochę ku ucieście dzieci, aby w każdy dzień zapalać jedną świecę. Małe zapalano w dni powszednie, a cztery duże były symbolami czterech niedziel. Potem te małe zniknęły, pozostały tylko cztery. To jest zwyczaj ewangelicki. Katolicy na pasterkę idą po wieczerzy, w Kościele ewangelickim do kościoła szło



Kościół ewangelicki w Sosnowcu. Fot. arch.

się raczej przed wieczerzą, a nabożeństwo wigilijne zazwyczaj było o 4–5 popołudniu, następnego dnia idzie się na główne nabożeństwo Bożego Narodzenia. W tej chwili nabożeństwa nocne, pasterki odbywają się też w kościołach ewangelickich. Istnieją więc wpływy wzajemne.

Czego Ksiądz Biskup w Nowym Roku życzyłby Naszym Czytelnikom?

Zamykamy kolejny rok – wchodzimy w nieznane – każdy pyta, jaki on będzie. Korzystając z okazji, składam życzenia wielu bożych łask, życzę przede wszystkim normalności i uspokojenia w życiu społecznym, politycznym. Aby więcej było myślenia pragmatycznego, a mniej myśli, które dzielą. Oby Chrystus, który narodził się dla nas i przyniósł nam nadzieję, pozwolił nam Święta przeżyć szczęśliwie, a cały rok w tej nadziei.



Zagłębiowskie Gody

Katarzyna Sobota-Liwoch

Święta Bożego Narodzenia to czas uważany przez większość z nas za najważniejszy, najbardziej radosny oraz najpiękniejszy w całym chrześcijańskim roku obrzędowym. Współcześnie nabrały one nieco innego charakteru i znaczenia, bowiem gdzieś po drodze zagubiono nieco wartości płynących z ludowych, tradycyjnych wierzeń (chodzi tu głównie o sens magiczno-symboliczno-kulturowy), niemniej nadal Święta są uroczyscie celebrowane, a to, że w ową celebrację wkradł się pierwiastek amerykańskiej kultury masowej, to szczegół chyba akceptowalny przez większość polskiego społeczeństwa.

Godne Święta

Tradycja wiary uczy nas od małości, że i owszem zimowe świętowanie jest istotne, ale najważniejszym czasem dla wyznawców chrześcijaństwa pozostają wiosenne Święta Wielkiej Nocy. Mimo że obecnie traktujemy Święta Bożego Narodzenia wyłącznie jako czas dwudniowego świętowania, nasza tradycyjna kultura ludowa utrwaliła w pamięci najstarszych coś zgoła innego. W ludowych wierzeniach istotne były nie tyle same Święta, wyznaczające jednocześnie punkty kulminacyjne celebrowania, ale szczególnie podział całego roku obrzędowego na pory roku, z których każda charakteryzowała się swą odmienną specyfiką. To właśnie według pór roku żyli dawniej ludzie, to one narzucały styl i charakter ludzkiej egzystencji. Tym samym kultywowanie obrzędów dorocznych wiązało się ściśle z porami roku: wiosny, lata, jesieni i zimy. Z kolei istota całego roku obrzędowego uformowała się na bazie pierwotnych wierzeń pogańskich, a w późniejszym okresie na tym, co zreformowało i wprowadziło chrześcijaństwo, często ingerując i dokonując wielu zmian w treści zastanej, wplatając wątki chrześcijańskie w to, co pierwotnie było pogańskie. Oczywiście w całym tym zawiłym procesie rotacji, migracji i przeinaczeń kulturowych nie można zapominać o dziedzictwie kultur antycznych. Niemniej reminiscencje, po pierwsze pogaństwa (kultury agrarne, kultury zmarłych), dalej tradycji greko-rzymskiej, a w późniejszym czasie rodzących się nowożytnych kultur europejskich dla wielu osób, w tym antropologów kultury i etnologów, pozostają nadal dostrzegalne we współczesnym roku obrzędowym.

Obfitujący w zwyczaje, przesady i wierzenia był czas zimowy,



a w szczególności okres Świąt Bożego Narodzenia, zwany w regionie Zagłębia Dąbrowskiego Godnymi Świętami. Gody, co bardzo istotne, poprzedzał okres adwentu, który z reguły ludność zagłębiowska zwała czasem przedgodowym. Adwent tymczasem służył przygotowaniom do Świąt. Sprzątano domostwa oraz całe obejścia, a także czyniono wszelkiego rodzaju zakupy. Dodatkowo wypiekano pieczywo i strucle, mające być spożywane podczas Świąt. Ponadto w czasie adwentu ludzie częściej się modlili, przystępowali do spowiedzi i komunii, traktując ten okres jako przygotowanie nie tylko ciała, ale i ducha do nadchodzących Świąt.

Wigilia

Dniem poprzedzającym Święta Bożego Narodzenia była Wigilia. Co ciekawe, najwięcej zachowanych informacji źródłowych, które przetrwały jeszcze z końca XIX wieku i początku wieku XX, dotyczy właśnie samej Wigilii. W ten dzień ludzie spożywali jedynie śniadanie, by potem pościć, aż do momentu wieczery wigilijnej. Śniadanie stanowił żur na grzybach z ziemniakami. Po śniadaniu każdy zajmował się pracami domowymi i porządkami. Gospodynie sprzątały domy w środku, a mężczyźni zajmowały prace na podwórzu i w budynkach gospodarskich. W dzień wigilijny praktykowane były przeróżne praktyki magiczne, które dotyczyły zarówno zwierząt gospodarskich, jak

i mieszkańców danego obejścia. Dla przykładu, każdy z domowników przed wieczrą nabierał na palec miodu, po czym wychodził z domu i szedł do uli, gdzie miodem tym smarował wlot do nich, po to by pszczoły trzymały się domu. Bardzo popularne było wrzucanie do naczynia z wodą kilku monet i kawałków chleba, po czym w tak przygotowanej wodzie każdy domownik obmywał twarz i dłonie. Podobno czyniono tak, by zarówno chleb, jak i pieniądze trzymały się człowieka. Dodatkowo znane były różnego rodzaju psoty i figle wigilijne, w których uczestniczyli z reguły młodzi chłopcy i młodzieńcy. Oni to w wigilijne przedpołudnie lub nad ranem w dzień wigilijny robili różnego rodzaju żarty swoim współmieszkańcom. Do standardowych należało malowanie okien sąsiadom wapnem lub błotem, podprowadzenie sąsiadowi krowy, natomiast szczytem dowcipu było zakradnięcie się do czyjegoś gospodarstwa, rozłożenie mu wozu, sań czy drabiny na części i powtórne ich złożenie na jego... dachu. Źródła merytoryczne utrwaliły tego rodzaju występkę pod nazwą rabunek.

Rano w dzień wigilijny gospodarz udawał się do lasu, by ściąć drzewko wigilijne. Nie jest to tradycja zagłębiowska, nawet nie polska, bowiem zwyczaj stawiania i ubierania choinki przywędrował do nas wraz z niemieckimi kolonistami pod koniec XIX i na początku XX wieku. W naszej polskiej tradycji znany był podłazniczek

(podłaźniczka), czyli sam wierzchołek choinki, kolorowo strojony wstążkami i kokardkami, który zawieszano w izbie u powały (tu drzemią z kolei tradycje pogoniańskie i nawiązują do wiecznie zielonego drzewka).

Wszyscy uważali dzień wigilijny za taki, który przepowiadał cały następny rok. Dlatego też bardzo uważano na zachowanie dzieci. Mówiono im, że tak jak będą się zachowywały w ten dzień, takie będzie ich zachowanie przez cały następny rok. Gospodarze starali się nie wydawać w ten dzień żadnych pieniędzy, żeby w przyszłym roku pieniądże też ich nie opuszczały. Dodatkowo, dbano o to, by w odwiedzin w ten dzień jako pierwsza nie zawitała przypadkiem do domu kobieta, ponieważ wróżyła ona smutek i lzy. Starano się, by jako pierwszy odwiedził gospodarstwo mężczyzna, który był z kolei zapowiedzią dobrobytu.

Wraz z ukazaniem się pierwszej gwiazdki na niebie, stół posypywano sianem, po czym nakrywano go białym obrusem (choć nierzadko z uwagi na biedę, stół pozostawał bez obrusu), z kolei całą podłogę w izbie przykrywano słomą, a we wszystkich ką-

tach ustawiano snopek z każdym rodzajem zbóż. Bardzo istotny był fakt, by przy stole wigilijnym siedziała parzysta liczba osób. Wierzono, że inaczej któraś z nich odejdzie w następnym roku. Co się tyczy pustego miejsca i nakrycia przy stole, należy pamiętać, że nie było zarezerwowane ono dla tzw. zabłąkanego wędrowca, ale dla duszy osoby zmarłej, która w ten wieczór przychodziła z odwiedzinami. Tradycja ludowa traktowała Święta Bożego Narodzenia jako zimowe Święto Zmarłych, kiedy to obecność dusz wśród żywych była bardzo wyczuwalna.

W Zagłębiu Dąbrowskim była zawsze nieparzysta liczba potraw wigilijnych, tak więc albo 3, 5, 7 lub 9. Wszystko było zależne od majątności danej rodziny, w bogatszych potraw podawano więcej, w biedniejszych mniej. Na stole wigilijnym znajdowały się przeważnie kasza jęczmienna z siemieniatką, kasza z grzybami lub ze śliwkami, tzw. plátky, czyli kluski z kaszy tatarskiej z makiem, kapusta z grzybami oraz tzw. bigos, czyli ziemniaki polewane sosem śliwkowym.

Po wieczerzy następował czas wróżb i śpiewania kolęd. Wówczas

w szczególności wróżyły sobie nawzajem dziewczęta, a wróżby te dotyczyły głównie zamążpójścia. Najpopularniejsza była wróżba polegająca na tym, iż dziewczyna wychodziła na podwórze i nasłuchiwała, z której strony szczeka pies – z tej strony miał nadejść jej przyszły kawaler. Co ciekawe, i w ten wieczór młode dziewczyny wróżyły sobie, podobnie jak w Wigilię św. Andrzeja, lejąc wosk lub cynę na wodę, po czym odczytywały z cienia tak powstałej woskowej figury swoje przeznaczenie. Dodatkowo dziewczęta przygotowywały tzw. gaik lub sad, strojąc go jabłkami i orzechami oraz kolorowymi wstążkami, a dodatkowo budowały z opłatków tzw. świat, który później wieszaly na nitkach przy belce stragarzowej. Mężczyźni w tym czasie szli do zwierząt gospodarskich, gdzie dzielili się z nimi opłatkami i resztkami kolacji wigilijnej. W Zagłębiu Dąbrowskim wierzono, że o północy w Wigilię Bożego Narodzenia zwierzęta potrafią przemawiać ludzkim głosem, jednakże nie należało się nigdy przysłuchiwać zwierzęcom rozmowom, bo zwierzęta potrafiły złośliwie np. przepowiedzieć rychłą śmierć gospodarzowi. Zarówno wróżbami,

Z połaźniczką po kolędzie

W drugim dniu świąt Bożego Narodzenia, w dzień świętego Szczepana w wielu miejscowościach Beskidu Śląskiego i Żywieckiego nadal spotkać można autentyczne grupy kolędnicze, niosące dobrą nowinę o narodzeniu Jezusa oraz świąteczne życzenia.

W Koniakowie od wczesnych godzin rannych, tuż po wschodzie słońca, członków najbliższej rodziny oraz sąsiadów odwiedzają małe dzieci tzw. Połaźnicy. Na połaży chodzą tylko dzieci, gdyż tylko one według starych wierzeń mogą przynieść radość, szczęście i pomyślność odwiedzanym gospodarzom. Tradycja ta jest tak silna, iż nawet roczne dzieci przybywają ze świątecznymi życzeniami oczywiście w asyście swych rodziców.

Połaźnicy składają życzenia wszelkiej pomyślności, bardzo często w postaci zabawnych oracji:

*Jo je mały połaźniczek
przyszlech tu po trójniczek
trójniczek mi dejcie, ze mnie się nie
śmiejcie
bo jo wozem nie jadę,*



jak i śpiewaniem kolęd zajmowano się w oczekiwaniu na Pasterkę.

Przed wyruszeniem na Pasterkę każdy z gospodarzy szedł najpierw do sadu, gdzie potrząsał każdym z drzewek, trzymając się kierę wręku i każde straszył słowami, byrosło i dawało plony, bo jak nie, to inaczej je zennie. Było to oczywiście pewnego rodzaju zachowanie magiczne, mające spowodować urodzaj w następnym roku. Z kolei po mszy każdy z gospodarzy starał się jak najszybciej wsiąść w sanie i pędem wracał do swego gospodarstwa, bowiem wierzone, że ten który będzie pierwszy, ten będzie miał najbogatsze plony w roku następnym.

Boże Narodzenie i dzień św. Szczepana

Po Bożym Narodzeniu rozpoczynano kolędowanie, które w niektórych miejscowościach Zagłębia Dąbrowskiego miało miejsce już po mszy w drugi dzień Świąt. Pierwsze Święto miało charakter typowo rodzinny, spędzano go w swoim własnym gronie, nie opuszczając gospodarstwa, poza uczestnictwem w porannej mszy świątecznej. Brano w niej udział na czczo, a uroczyste śniadanie spożywano dopiero po powrocie do domu. Ponieważ wierzone, że dusze zmarłych,

które przybyły do domostwa w Wigilię, są w nim obecne przez całe Święta, starano się nie wykonywać, żadnych gwałtownych ruchów, nie siadać znienacka na krzesła, nie ciąć na ślepo nożami ani nożycami, by przypadkiem nie uszkodzić, czy zranić którejś z dusz. Z tego samego powodu nie sprzątano w ten dzień.

Drugie Święto, 26 grudnia, dzień św. Szczepana w Zagłębiu Dąbrowskim było kojarzone przede wszystkim z obisywaniem i rzucaniem w księdza po mszy grochem i owsem. Czyniono to na pamiątkę św. Szczepana, który został ukamienowany jako pierwszy męczennik wiary chrześcijańskiej. Po tej ceremonii ziarna były skrzętnie zbierane i zabierane z powrotem do domu, po czym wykorzystywano je do pierwszych wiosennych zasiewów. Ludzie wierzyli, że miały one szczególną, magiczną moc, dzięki której plony będą udane i miarodajne. Tego samego dnia gospodarz wymiatał izbę z zasłanej słomy i siana, które potem wykorzystywał m.in. do wykręcania powróseł, którymi obwiązywał drzewka owocowe, co miało z kolei chronić je przed mrozami i plagami szkodników. W drugi

dzień Świąt przyjmowało się także do pracy nowych, młodych parobków.

Celebrowanie Świąt Bożego Narodzenia dawniej oznaczało nie tylko wzajemne wręczanie sobie prezentów i dwudniowy odpoczynek od pracy. To pełen rodzinności, serdeczności i tradycji ceremoniał, skupiający się na istocie wiary i nadziei na rok następny. Na Święta czekano w pełnym powagi skupieniu, bowiem atmosfera tajemniczości i niesamowitości powodowała u każdego szacunek i zrozumienie. Każdy z domowników znał swoje miejsce, miał swoją wyznaczoną rolę i mimo że dzieci nie dostawały drogich i bardzo wymyślnych prezentów, umiano się cieszyć świąteczną atmosferą. Współcześnie, gdy człowiek może mieć prawie wszystko o czym pomyśli, czego zapragnie, Święta przyjmują charakter konsumpcyjny, a cały ich czar ulega zatarciu. Być może nasi przodkowie nie byłiby z tego dumni, niemniej nie raz już historia pokazała, że cały cykl życia ludzi ma tendencję do tworzenia okręgu, dlatego pozostaje mieć nadzieję, że i nam będzie jeszcze dane przeżyć prawdziwe, pełne magii Święta Bożego Narodzenia.

*suchej rzepy nie wiem,
co mi dacie to wezmę
lebo grosz, lebo dwa,
to je dobra kolenda
lebo stówka, lebo dwie
to mi kapsy nie urwie.*

Po jej wygłoszeniu, wręczają połączniczkę – jodłową lub świerkową gałązkę ustrojoną ozdobami z bibuły, bombkami, cukierkami, orzechami lub ciastkami. Podziękowaniem za świąteczne powinszowanie jest tzw kolynda, czyli ciasto, słodczyce oraz pieniądze. Gospodarz, którego odwiedzili połącznicy czuje się wyróżniony, dlatego też wiesza połączniczkę w widocznym miejscu, najczęściej na ścianie w pokoju gościnnym lub nad drzwiami wejściowymi.

Tego samego dnia po południu, po świątecznym obiedzie, z kolędą od domu do domu wyrusza barwna i roześmiana grupa kolędników. W jej skład wchodzi postacie od zawsze utożsamiane z kolędnikami, a więc Pastuszek z gwiazdą, Góral i Góralka, Diabeł, Śmierć, Żyd i Cyganka, są jednak i takie, które weszły do grupy całkiem niedawno, np.: Artysta malarz czy Agent CBA.

Kolędąją zwykle przed domem, czasem zapraszani są do środka.

Również oni podczas składania świątecznych życzeń wręczają połączniczkę i wygłaszają orację:



*Święty Szczepan po kolyndzie
rod chodził,
a święty Jon, Kolędziczek roznosił.
Przemierzają Koniaków do późnych go-
dzin wieczornych, głosząc wesołą nowinę.
W mroku zimowej nocy baczne oko*

dostrzec może świecącą gwiazdę, która
wyznacza szlak ich wędrówki.

Tekst i fot. Robert Garstka

Nowy Rok na świecie

Antonina Makuch

Nowy Rok jest świętowany od tysięcy lat, a zabawy noworoczne organizuje się od XIX wieku, pomimo mocno utrwalonej legendy, która głosi, iż pierwsza zabawa sylwestrowa odbyła się w nocy z 31 grudnia 999 roku na 1 stycznia 1000 roku. Miało to być spowodowane przepowiednią Sybilli, która wyrokowała, że ziemia przestanie istnieć w roku tysięcznym. Kiedy minęła północ i okazało się, że świat wciąż istnieje, ludzie zaczęli dawać upust swej radości, co dało początek tradycji sylwestrowych szaleństw. A jak wyglądają obchody Nowego Roku w różnych krajach świata?

Żydowski Nowy Rok to „Rosh Hashanah” i obchodzony jest w październiku. Specjalne nabożeństwo odbywa się w synagodze. W te dni Żydzi jedzą miód i rybę – miód po to, żeby rok był słodki, a rybę, żeby wszystkiego było pod dostatkiem. Piecze się specjalne okrągłe kromki chleba. Ludzie czyszczą swoje domy i kupują dzieciom nowe ubrania. Rosz Haszana jest dwudniowym świętem, które przypada na dwa pierwsze dni miesiąca Tiszrej. Podobnie jak w Szabat istnieje zakaz wykonywania pewnych czynności (melachy), choć dozwolone są wszystkie czynności związane z przygotowaniem jedzenia (nie wolno rozpalać ognia, tylko odpalać od już istniejącego, np. zapalanej świecy), wolno nosić z miejsca na miejsce najpotrzebniejsze rzeczy. Podobnie jak w Szabat, zapala się świece świąteczne (w obydwu dni) i odmawia odpowiednie błogosławieństwo. Odczytuje się selichot (modlitwy pokutne) i studiuje nauki mające pomóc w odczuwaniu szczerej skruchy oraz w oba dni świąteczne dmie się w szofar (róg), którego dźwięk ma przebudzić dusze.

Hogmanay to szkocka nazwa dnia Nowego Roku. Jego początki sięgają czasów pogańskich i są ściśle związane z wikingim świętem Yule. W XVII wieku obchody nowego roku w Szkocji przeniesione zostały z 25 marca na 1 stycznia. Obecnie hogmanay jest najwspanialszą szkocką uroczystością (obejmującą obchody sylwestrowe i Nowego Roku), bardziej celebrowaną niż np. Boże Narodzenie. Właściwe świętowanie odbywa się w dniach 1 i 2 stycznia, chociaż wiele uroczystości zaczyna się już 29 grudnia. W ciągu tych kilku zimowych dni organizowanych jest mnóstwo festiwali, największy z nich tradycyjnie w Edynburgu, podczas którego odbywa się wspaniały pokaz fajerwerków (jeden z najefektowniejszych na świecie).

Muzułmański Nowy Rok nazywa się Dzień Hijraha przez wzgląd na pamiątkę

podróży odbytej przez Muhammada z Mekki do Jeruzalem. Rok rozpoczyna się pierwszego dnia miesiąca Muharram, a kończy okresem pielgrzymek do Mekki. Czas w islamie liczony jest według kalendarza księżycowego, a więc miesiąc trwa w nim 28 dni, tyle ile obieg księżyca wokół ziemi.

Wyznawcy islamu nie świętują Nowego Roku, a jedynie modlą się i składają sobie życzenia. Wyjątkowo traktuje się dzieci, które dostają prezenty i nowe ubrania.

Hinduski Nowy Rok jest świętem ruchomym, które teoretycznie trwa pięć

Fot. www.sxc.hu



dni. Jednakże jego charakter powoduje, iż święto trwa od przełomu września i października do przełomu października i listopada. Wielu Hindusów obchodzi Nowy Rok w październiku, w tym samym czasie odbywa się „Diwali” – święto światła. Zapala się malutkie świececzki, które nazywają się „diva”, potem puszcza się je jak papierowe łódki na jeziorach i stawach. Dzieciom opowiada się historię o bogach Rama i Sita. W tym okresie Hindusi odwiedzają wszystkich swoich krewnych rozproszonych po całym kontynencie. Obchody Nowego Roku można uznać za zakończone, gdy każdy członek rodziny zostanie obdarowany słodyczami. W każdym regionie Indii Diwali świętuje się inaczej, jest jednak jedna rzecz, która je łączy: oświetlanie migającymi lampkami domów i ogrodów oraz zapalanie małych, glinianych lampek oliwnych jako symbolu zwycięstwa światła dobroci i wiedzy nad ciemnością zła i ignorancji. Obchody Nowego Roku w Indiach pokrywają się z religijnym świętem – powrotem Ramy wraz ze swoją żoną Sitą do królestwa. Według wierzeń mieszkańców Indii toczył strach przed okrutnym demonem Rawaną, którego nikt nie umiał pokonać.

Pochodzenie chińskiego Nowego Roku datuje się na wiele wieków wstecz,

ale dokładne określenie jego początku nie jest możliwe. Znać jest kilka znaczeń słowa Nian, wszystkie one zgadzają się, że wcześniej było imieniem bestii, która zaczęła polować na ludzi w noc przed rozpoczęciem nowego roku. We współczesnym języku chińskim oznacza rok. W Chinach znany jest także „festiwal wiosny”, a jego obchody trwają przez ok. 15 dni.

Nowy Rok to wielkie święto w Chinach. Trwa przez cały styczeń i luty. Podczas święta występują tańczące smoki i lw. Złe duchy przerażone sztucznymi ogniami odchodzą. Ludzie zakładają czerwone ubrania, bo to przynosi szczęście.

W przeddzień Nowego Roku rodziny spotykają się na wspólnym posiłku. Tradycyjnie, w dzień ten żegnano boga ogniska domowego, który rozpoczął swoją podróż ze sprawozdaniem do Cesarza Nefrytowego. W wigilię Nowego Roku palono wizerunek jego oraz konia, na którym miał odlecieć do Niebios. Z czasem tradycja ta przerodziła się w wieczór i posiłek rodzinny. Składa się on tradycyjnie z kilku dań: ryby, kurczaka, dania wegetariańskiego oraz, czasem, specjalnego dania słodkiego zwanego

Fa-choi. Po obiedzie nadchodzi czas rozrywki – organizuje się rodzinne kasyno, pozwalając dzieciom grać w kości, karty, loterie i madžonga i wygrywać przy tym pieniądze. Tego dnia dzieciom pozwala się czuwać do północy. W Hongkongu wielu Chińczyków po kolacji odwiedza kwaciarnię, aby zakupić specjalne kwiaty i owoce, które zapewnią im powodzenie i szczęście.

W Rosji i na Ukrainie, również w Polsce, prawosławni i grekokatolicy witają Nowy Rok 1/14 stycznia (podwójne datowanie, tj. 1 stycznia według kalendarza juliańskiego, ale 14 stycznia według gregoriańskiego). Wyznawcy obrządku wschodniego bawią się na noworocznych balach nocą 13/14 stycznia, zwanych „małankami”, witając „Stary Nowy Rok”.

Na zakończenie warto dodać, iż na orbicie Ziemi wokół Słońca nie istnieje żaden punkt pozwalający precyzyjnie określić, kiedy rok się zaczyna, a kiedy kończy. Dzień 1 stycznia okrzyknięto początkiem Nowego Roku w 1582 roku wraz z wprowadzeniem kalendarza gregoriańskiego we Francji, Włoszech i Hiszpanii. Wtedy właśnie po raz pierwszy uznano 1 stycznia za dzień rozpoczynający Nowy Rok.

Fot. www.sxc.hu



Przedwigilijne refleksje i wspomnienia Między podwawelskim grodem a Sosnowcem

Włodzimierz Wójcik

Pamięci Profesor Ireny Bajerowej



„Ojcie nasz” i „Zdrowaś”
I „Skład Apostolski”, (bis)
Bym do samej śmierci kochał Naród polski.
(bis)

Bo ten Naród polski
Ma ten urok w sobie, (bis)
Kto go raz pokochał, nie zapomni w grobie.
(bis)

Abym gdy dorosnę
Wziął Polkę za żonę (bis)
Bo tylko Polakom Laszki przeznaczone. (bis)

Niech Francuz Francuzkę
Niemiec kocha Niemkę (bis)
Ja zaś wolę Polkę, niżli cudzoziemkę. (bis)

I to wszystko razem
Od matki słyszałem (bis)
Czego nie zapomnę jak nie zapomniałem.
(bis)

Płynie Wisła płynie,
Po polskiej krainie (bis)
A dopóki płynie Polska nie zaginie. (bis)

W wierszu tym zwraca naszą uwagę jakiś dziwny związek frazeologiczny: „niepołomskie lasy”. Łatwo przecież zauważyć, że jest tu mowa o Puszczy Niepołomickiej, szczególnie godnej uwagi wówczas, gdy drzewa iglaste zostają przyprószone pierwszym śniegiem, czyli tuż przed Bożym Narodzeniem, przed Wigilią. Warto przypomnieć, że jest to kompleks leśny położony w Kotlinie Sandomierskiej, w odległości blisko dwudziestu kilometrów od Krakowa. Zajmuje teren położony w widłach Wisły i Raby. Składa się z kilku oddzielnych zespołów leśnych, dawniej stanowiących jedną całość. Zasadniczą część rozciąga się między Niepołomicami, a Proszówkami, Baczkowem i Mikłuszowicami.

Nazwa puszczy niepołomickiej wodzi się od staropolskiego słowa „niepołomny”, czyli niemożliwy do pokonania, zniszczenia, wytrzebiecia. Sądzi się więc, że stąd właśnie pochodzi drugi

człon nazwy puszczy. Wynika z tego, że dawniej puszcza „niepołomna” była lasem trudnym do wykarczowania, do zagospodarowania rolniczego, borem bardzo niedostępnym.

Puszcza, o której mówimy, stanowiła w przeszłości część wielkiego kompleksu leśnego, który rozciągał się od północnej Kotliny Sandomierskiej aż po dolinę Sanu. Ze względu na niewielką odległość puszczy od Krakowa, od XIII do XVIII wieku była ona jednym z najpopularniejszych obszarów, na których polowali polscy władcy. Drogą, zwaną „Królewską” udawali się na polowania w głąb puszczy najwięksi królowie. Polowano wtedy na grubą zwierzynę: niedźwiedzie, tury, żubry i inne. Puszcza też dostarczała drewna, a opiekę nad nią sprawowali wyznaczeni przez starostwo niepołomickie łowczy i leśniczy.

W czasie zaborów Austriacy wycięli stary drzewostan sadząc na to miejsce szybko rosnący las sosnowy. Ogromne spustoszenia w drzewostanie puszczy poczynili również Niemcy, którzy drewno z puszczy wysyłali na fronty II wojny światowej. Okres II wojny światowej zaznaczył się walkami na tych terenach, najpierw żołnierzy września 1939 roku, a potem oddziałów partyzanckich. Wojna pozostawiła też po sobie mogiły żołnierzy polskich oraz zamordowanych Żydów z Bochni i Niepołomic. Puszcza była miejscem wielu masowych egzekucji dokonanych przez Niemców w czasie wojny. Miejsca te upamiętniono pomnikami i cmentarzami. W puszczy można znaleźć cmentarze wojenne. Jeden z nich zlokalizowany jest „na Sitowcu”. Mieści on wspólną kwaterę z grobami żołnierzy i partyzantów poległych w latach 1939–1945.

Jak już powiedziałem, Puszcza była jednym z ulubionych miejsc polowań polskich władców. Polowali w niej: Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, Zygmunt I Stary, wraz z królową Boną, Zygmunt II August, Stefan Batory, Jan III Sobieski, August II Mocny. Jedne z najgłośniejszych łowów w puszczy

Płynie przez moją biografię, przez moje życie Wisła, nazywana królową polskich rzek. Idzie od sędziwego Tyńca, toczy swe wody pod salwatorskim wzniesieniem, obmywa Wzgórze Wawelskie i legendarną Skałkę. Dostojnie zmierza ku Mogile i królewskim niepołomickim puszczo, by rozlać się na całą Rzeczpospolitą. Myśląc o nurcie wiślanym zwykle śpiewamy, wpisaną w naszą krew i mentalność, popularną pieśń „Płynie Wisła, płynie...”. Warto ten wzruszający utwór zacytować:

Płynie Wisła, płynie
Po polskiej krainie, (bis)
Zobaczyła Kraków, pewnie go nie minie. (bis)

Zobaczyła Kraków,
Wnet go pokochała, (bis)
A w dowód miłości wstęgą opasała. (bis)

Chociaż się schowała
W Niepołomskie lasy, (bis)
I do morza wpada, płynie jak przed czasy.
(bis)

Nad moją kolebką
Matka się schylała, (bis)
I po polsku pacierz mówić nauczała. (bis)

niepołomickiej zorganizowano na polecenie Augusta II Mocnego. Podczas polowania, w ciągu trzech dni król upolował dużo dziczyzny. Były to: łosie, jelenie, dziki, sarny, sporo wilków oraz mnóstwo lisów i zajęcy. W czasie polowania król August II spędził noc przy dębie, który później na tę pamiątkę ogrodzono drewnianym płotkiem.

Powiedziałem wyżej, że Wisła związana jest z moim życiorysem i moimi myślami od zawsze. Od łagiskiej „Ochronki” (przedszkola) i szkoły podstawowej, którą ukończyłem w 1947 roku. Natomiast w samo miasto Kraków zacząłem realnie wrastać od roku 1952, a więc od roku rozpoczęcia studiów polonistycznych na Wszechnicy Jagiellońskiej. Mieszkając w II Domu Akademickim przy słynnych Błoniach, miałem przed sobą – jak na dłoni – przepyszne królewskie miasto pełne bezcennych narodowych pamiątek. Największym darem tej fazy mojego studenckiego życia byli Profesorowie o randze hetmanów: Stanisław Pigoń, Juliusz Kleiner, Kazimierz Wyka, Henryk Markiewicz, Maria Dłuska, Mieczysław Piszczkowski, Ewa Ostrowska, Tadeusz Milewski, Witold Taszycki, Zenon Klemensiewicz i jego córka Irena Bajerowa, Maria Brodowska-Honowska. Wielu innych.

Druga stolica Polski, Kraków, terytorialnie oznaczana jest niemal sakralnymi znakami. Kopcami: Wandy, co nie chciała Niemca, legendarnego Kraka, naczelnika Kościuszki, komendanta Józefa Piłsudskiego, wspaniałymi kościołami i kaplicami. Całe rodziny wybierały się do tych świątyń, aby podziwiać szopki. Popularne były szopki w Bazylice Mariackiej i u Franciszkanów. Wielkie zainteresowanie zawsze budziła ruchoma szopka u Kapucynów.

Ilekoć przechodziłem wiślanymi wałami, zmierzając w kierunku Domu Długosza oraz domu, w którym ojciec Wyspiańskiego „miał pracownię”, przywoływałem sobie dramat „Wyzwolenie”. Ze wzruszeniem po cichu powtarzałem słowa „modlitwy Konrada”:

*O Boże! pokutę przebyłem
i długie lata tułaczę;
dziś jestem we własnym domu
i krzyż na progu znaczą...*

*Bożego narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienia
niewoli gnuśne pęta.*

Daj nam poczucie siły

*i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.*

*Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle, mnogo ludzi;
niechże w nie duch twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.*

*Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
twą Polskę objawienia.*

W czasie mych studiów, w klimacie przedwigilijnych nastrojów podwawelskich okolic doskonale mieścił się Konstanty Ildefons Gałczyński, twórca „Zaczarowanej dorożki” przedstawiającej fantazyjny świat Krakowa widzianego w onirycznej poświacie. Podobał się moim rówieśnikom jego czarodziejski i czarowny wiersz pod tytułem „Podobno jest gdzieś ulica”, który należy zacytować:

*A podobno jest gdzieś ulica
lecz jak tam dojść? któredy?
ulica zdradzonego dzieciństwa,
ulica Wielkiej Kołody.
Na ulicy tej taki znajomy,
w kurzu z węgla, nie w rajskim ogrodzie,
stoi dom jak inne domy,
dom, w którym żeś się urodził.
Ten sam stróż stoi przy bramie.
Przed bramą ten sam kamień.
Pyta stróż: „Gdzieś pan był tyle lat?”
Wędrowałem przez głupi świat”.
Więc na górę szybko po schodach.
Wchodzisz. Matka wciąż taka młoda.
Przy niej ojciec z czarnymi wąsami.
I dziadkowie. Wszyscy ci sami.
I brat, co miał okarynę.
Potem umarł na szkarlatynę.
Właśnie ojciec kiwa na matkę,
że już weszła Gwiazda na niebie,
że czas się dzielić opłatkiem,
więc wszyscy podchodzą do siebie
i serca drżą uroczyście
jak na drzewie przy liściach liście.
Jest cicho. Choinka plonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie
blask świeczek złotem zasnuwa,
a z kąta, z ust brata, płynie
kołoda na okarynie:
Lulajże Jezuniu...*

Tego typu rodzinna atmosfera zawsze mnie pociągała. Kiedy po studiach, w roku 1956 (pozostając w stałym związku z ojczystym Zagłębiem) zacząłem zadomawiać się w Krakowie-Nowej Hucie, z żoną i dziećmi respektowaliśmy

wyniesione z miejsc urodzenia normy i sposoby zachowania przed „bożonarodzeniowymi” świętami. W przeddzień Wigilii recytowaliśmy bardzo nastrojowy wiersz Lucyny Krzemienieckiej pod tytułem „Wieczór wigilijny”:

*To właśnie tego wieczoru,
gdy mróz łni, jak gwiazda na dworze,
przy stołach są miejsca dla obcych,
bo nikt być samotny nie może.*

*To właśnie tego wieczoru,
gdy wiatr zimny śniegiem dmucha,
w serca złamane i smutne
po cichu wstępnie otucha.*

*To właśnie tego wieczoru
zło ze wstydu umiera,
widząc, jak silna i piękna
jest Miłość, gdy pięści rozwiera.*

*To właśnie tego wieczoru,
od bardzo wielu wieków,
pod dachem tkliwej kołody
Bóg rodzi się w człowieku.*

Od 1969 roku byłem pracownikiem naukowo-dydaktycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1973 roku zamieszkałem w Sosnowcu. Współtworzyłem Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego. Wszedłem w wiek emerytalny. Wysoki senat śląskiej uczelni nadał mi w roku 2009 tytuł profesora honorowego Uniwersytetu Śląskiego. Z dniem 1 października 2010 los znów powołał mnie do czynnej służby akademickiej. Zostałem profesorem zwyczajnym Wyższej Szkoły „HUMANITAS” w Sosnowcu. Teraz wigilie spędzamy w Sosnowcu, to znów w Będzinie-Łagiszy z naszą wnuczką. W Łagiszy znajduje się legendarna już w środowisku ZAGRODA ZAGŁĘBIOWSKA – „HACJENDA” Włodzimierza i Andrzeja Wójcików. Tutaj odbywają się spotkania ludzi kultury, literatury i sztuki zagłębiowskiego i śląskiego środowiska twórczego. Moi przyjaciele lubią zaglądać do sędziwych zabudowań gospodarczych, między innymi do obory. Słyszeli, że w święty wieczór wigilijny zwierzęta mówią ludzkim głosem.

Syn mój, syn nasz – Andrzej Krzysztof osiadł w naszym krakowskim mieszkaniu, w którym się urodził w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia: 26 grudnia 1968 roku. Często bywa u nas, w Sosnowcu. Ja zaś od czasu do czasu jadę do niego. Ze wzruszeniem przechadzam się krakowskimi ścieżkami mojej młodości. Ale Kraków idący ku nowoczesności, także jest miły mojemu sercu. Jest przedmiotem mojej dumy.

Dlaczego Małopolanie zostali Zagłębiakami a nie Nowoślązakami?

cz. 1

Dariusz Nawrot

Niewielu mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego, pamięta że obszar ten jeszcze w końcu XVIII wieku należał do Małopolski, wchodząc w skład: księstwa siewierskiego, tzw. baronatu koziegłowskiego oraz województwa krakowskiego (część dawnych powiatów: lelowskiego, krakowskiego i książskiego). O zmianie jego przynależności zdecydował trzeci i ostatni rozbiór Rzeczypospolitej. Wojska pruskie stacjonowały na tym obszarze już od wiosny 1794 roku, kiedy to wkroczyły na ziemię Rzeczypospolitej w celu wspólnego z Rosją tłumienia powstania kościuszkowskiego. Ostatecznie w podpisanej 24 października 1795 roku konwencji rozbiorowej między Austrią, Rosją i Prusami postanowiono, że liczące 2230 km² ziemię małopolskie włączone zostaną do monarchii Hohenzollernów.

Nabytek Prus nazwano Nowym Śląskiem, świadomie nawiązując do przynależności księstwa siewierskiego do Śląska w okresie średniowiecza. Nowy Śląsk został włączony do pruskiej prowincji Śląsk i podzielony na dwa powiaty siewierski i pilicki. Na obszarze Nowego Śląska znajdowało się 17 miast i 264 wsie. W powiecie siewierskim było to 102 wsie i 9 miast: Będzin, Koziegłowy, Modrzejów (w 1801 roku utracił prawa miejskie), Mrzygłód, Niwki (w 1801 roku utraciły prawa miejskie), Olsztyn, Siewierz, Sławków i Czeladź. Wszystkie miasta powiatu były miastami królewskimi. W powiecie pilickim było to 162 wsie i 8 miast: Janów, Kormolów, Lelów, Ogrodzieniec, Pilica, Szczekociny, Włodowice, Żarki, z tego 6 prywatnych. Obszar Nowego Śląska według danych z 1796 r. zamieszkiwało 74 634 ludzi, a z 1805 roku – 74 276 osób. Zarejestrowano też 10 576 domów. Na wsi mieszkało 57 787 osób, a w miastach 16 489 osób. Ziemię Nowego Śląska traktowane były przez Prusaków, jako integralna część Księstwa Śląskiego. Poddano je władzom administracyjnym tej prowincji, czyli królewsko-pruskiej kamery wojenno-ekonomicznej z siedzibą we Wrocławiu. W powiatach władzę przejęli landraci ściśle podporządkowani kamerze, zaś miasta oddano pod nadzór specjalnego

radcy podatkowego (stadtrat). Panowanie pruskie – jak wspominali współcześni – było więcej nudne jak uciążliwe. W każdym piśmie urzędowym pozdrawiano mieszkańców w imieniu króla i nakazywano łaskawie nowe podatki w obcym nam języku.

Rządy pruskie na Nowym Śląsku to także początki industrializacji, ponieważ obszar ten obfitował w złoża węgla, rudy żelaza i galmanu. W okresie istnienia Rzeczypospolitej złoża te nie miały większego znaczenia gospodarczego. Po 1795 roku surowce z Nowego Śląska stały się przedmiotem zainteresowania pruskiego Urzędu Górniczego we Wrocławiu. Miały stać się zapleczem dla rozwijającego się przemysłu Górnego Śląska. Z obszaru Nowego Śląska przywożono drzewo, węgiel kamienny z kopalń w rejonie Będzina i Dąbrowy, rudę żelaza z Wojkowic Komornickich, Rogoźnika, Dąbrowy, Zagórza, Sielca. W latach 1796–1797 pruski urząd górniczy w Tarnowskich Górach przejął pokłady węgla w Dąbrowie. Otwarto na tym terenie dwie rządowe kopalnie węgla kamiennego w systemie odkrywkowym: „Reden” w Dąbrowie w 1796 roku i rok później „Hoym” w Strzyżowicach. Na małą skalę oba pokłady były eksploatowane już w czasach Rzeczypospolitej. Początkowo węgiel nadal wydobywano metodą odkrywkową, ale w 1798 roku rozpoczęto na „Redenie” budowę szybu upadowego i sztolni odwadniających. Równocześnie w całym rejonie rozpoczęto próbną wierceń przygotowując się do uruchomienia kolejnych kopalń. Wydobyte wzrosło z poziomu 4 tysięcy korców w 1799 roku do 20 tysięcy w 1805 roku.

Węgiel dostarczano do hut górnosłańskich, początkowo do huty gliwickiej, a od 1802 roku do „Królewskiej Huty”, gdzie podjęto próby jego koksowania. Natomiast do kopalń dostarczano z Górnego Śląska narzędzia i maszyny, w tym pierwszą pompę mechaniczną i maszynę parową zainstalowaną w kopalni „Hoym”. Od 1796 roku rozpoczął się również napływ wykwalifikowanych robotników śląskich i saskich, którzy pracowali w kopalniach jako

szttygarzy i rębacze. Była to jednak grupa nieliczna i resztę kilkudziesięcioosobowej załogi kopalń stanowili mieszkańcy Nowego Śląska. Wielu z nich wcześniej trafiło na Górny Śląsk, gdzie zdobyło potrzebne kwalifikacje. Pruskim inwestycjom państwowym towarzyszyły podobne działania indywidualnych przedsiębiorców. Na przykład pruski generał Schimmelpfening von der Oye zakupił dobra Sielec-Modrzejów i rozpoczął poszukiwania górnicze zakończone budową kopalni w Sielcu. Pruskich inwestorów zaczęli naśladować polscy ziemianie. W 1806 roku hrabia Mieroszewski założył kopalnię węgla kamiennego w Bobrku. Równocześnie eksploatowano pokłady rud żelaza. Działania władz pruskich niewątpliwie służyły integracji gospodarczej Nowego Śląska z prowincją śląską, przede wszystkim z rozwijającym się okręgiem górnosłańskim. W praktyce jednak Nowy Śląsk stał się dostawcą tanich surowców. Natomiast ich transport na Górny Śląsk był bardzo opłacalny dla miejscowych mieszczan i chłopów.

O dalszych losach Nowego Śląska zdecydował wybuch wojny z Francją w 1806 roku. Klęski armii pruskiej pod Jeną i Austerlitz sprawiły, że w pierwszych dniach listopada na obszar Śląska wkroczyły oddziały Wielkiej Armii Napoleona. Wprawdzie główne działania wojenne przeciwko armii pruskiej i rosyjskiej toczyły się na obszarze Prus Wschodnich, ale w celu opanowania Śląska Napoleon odkomenderował IX korpus swej armii złożony z ponad 23 000 żołnierzy, nad którymi dowództwo powierzył swemu 22-letniemu bratu Hieronimowi. Natomiast broniący Śląska Prusacy w 8 twierdzach: Głogów, Wrocław, Brzeg, Koźle, Nysa, Świdnica, Srebrna Góra i Kłodzko rozlokowali ponad 28 000 ludzi. Jednak morale oficerów i żołnierzy po październikowych klęskach armii pruskiej było poważnie osłabione. Szerzyła się niechęć do służby i dezercja obniżająca stan liczebny oddziałów. Obronę prowincji z rozkazu króla Prus kierował książę pszczyński Friedrich Ferdinand von Anhalt-Köthen-Pless.

W tym czasie, po wkroczeniu wojsk francuskich na ziemię dawnej Rzeczypospolitej pozostające pod władzą Prus, natychmiast rozpoczęło się polskie powstanie. Ogarnęło ono swym zasięgiem także Nowy Śląsk, na którym w szeregi powstańców wstępowała nie tylko szlachta wezwana na koni uniwersałem o pospolitym ruszeniu, ale również mieszczenie i chłopci. Już od 13 listopada 1806 roku w okolicach Żarek zaczęły się organizować oddziały insurgentów pod wodzą generała majora małopolskiego pospolitego ruszenia Wojciecha Męcińskiego, a dalej na południe oddziały Michała Ostrowskiego. Zbierający się na obszarze Nowego Śląska powstańcy, to według ówczesnego obserwatora, polscy wojskowi z czasów powstania kościuszkowskiego, jeszcze w dawnych mundurach kawalerii narodowej, a obok nich dezertery z pułków austriackich oraz pruskich. Byli wśród nich Polacy, Kaszubi, Ślązacy. Znaczącą grupą byli poddani cesarza Franciszka I z Galicji, którzy uznali – ponieważ Austria była neutralna w tej wojnie – że to na ziemiach zachodniej Małopolski należącej do Prus należy chwycić za broń w walce o wolną Polskę.

Zarząd Nowego Śląska przejęły polskie organy administracji – Izba Wykonawcza Lelowsko-Siewierska na czele z Gabrielem Taszyckim, w strukturach departamentu kaliskiego. Natomiast władzę zwierzchnią na szczeblu centralnym nad tym obszarem w styczniu 1807 roku przejęła Komisja Rządząca, którą powołał Napoleon dla wyzwolonych

ziemi zaboru pruskiego. Na terytorium podległym nowym władzom, Polacy nie tylko formowali nowe oddziały wojska. Obecność doświadczonych żołnierzy okoliczni mieszkańcy wykorzystywali do załatwienia starych porachunków z sąsiadami ze Śląska. Czeladźianie zorganizowali zajazd na pałac hrabiego Donnersmarcka w Siemianowicach Śląskich, który doszczętnie złupili. Powodem był stary spór graniczny o ziemię na prawym brzegu Brynicy.

Ale polskie działania powstańcze na obszarze południowo-wschodnich rubieży państwa pruskiego nie zostały bez odpowiedzi. Pruskie komendy wojskowe rozpoczęły akcję pacyfikacyjną już na początku grudnia 1806 roku, chcąc w zarodku stłumić insurekcję. Na pograniczu Górnego i Nowego Śląska działania przeciwko polskim powstańcom przeprowadzało 200 huzarów pod dowództwem porucznika Andreasa Witowskiego, a oparciem dla tego oddziału była najbliższa w tym rejonie twierdza pruska w Koźlu. Już w pierwszych tygodniach grudnia Witowski rozpoczął wypad z obszaru powiatu pszczyńskiego na Nowy Śląsk. Część huzarów wtargnęła do Zagórza, o pół mili od granicy śląskiej, a reszta tego oddziału dotarła do Czeladzi i do wsi Pogoń. Porywano polskich ziemian podejrzewanych o zaangażowanie w powstanie: panów Mieroszewskiego, Siemieńskiego, Chruścińskiego i Nowosielskiego. Zrabowano dwory i uprowadzono kilkadziesiąt wierzchowców. W odpowiedzi Polacy wysłali rekonesans w sile dwudziestu kilku koni, aby osłonić się od strony Śląska. Wzywano przy tym do dowodzącego w Wielkopolsce generała Jana Henryka Dąbrowskiego, o przysłanie na pogranicze oddziałów liniowych, które skutecznie obroniłyby tereny Nowego Śląska.

Zaniepokojony wydarzeniami Dąbrowski już 13 grudnia 1806 roku polecił dowódcę wojsk zbierających się w departamencie kaliskim, ażeby na czele najlepszych kawalerzystów zebrali szczegółowe informacje o nieprzyjacieli na Śląsku. Kilka dni później generał wydał podobny rozkaz Męcińskiemu. Około 20 grudnia 1806 roku na Górny Śląsk wkroczył zakon porucznika pospolitego ruszenia Trembeckiego, który raportował, że komendy pruskie w liczbie 180 ludzi znajdują się jeszcze w Bytomiu, Tarnowskich Górach i Gliwicach. Trembecki w każdej wsi i mieście zalecał spokój, mówiąc, iż przez wkroczenie na Śląsk Polacy chcą

obywatelom przynieść prawdziwy pokój i zabezpieczyć ich od pruskich gwałtów, ponieważ ten kraj jest po Odrę polski, a nie pruski. Podczas wyprawy 2–4 stycznia 1807 roku Trembecki aresztował landrata bytomsko-tarnogórskiego Karola Trougotta Henckla von Donnersmarcka za odmowę przysięgi na wierność Hieronimowi Bonaparte. Landrat jako jeniec został osadzony w twierdzy częstochowskiej. W mieście polscy żołnierze pozrzucali z urzędów orły pruskie i nakazali używać polskich godeł. Brak reakcji wojsk pruskich na dotychczasowe wyprawy polskie zdecydował o podjęciu przez Wojciecha Męcińskiego kolejnej akcji na Górnym Śląsku. Wyprawa miała służyć zdobyciu koni i wyposażenia, w tym sukna, dla formujących się na Nowym Śląsku oddziałów polskich. 6 stycznia 1807 roku kilkuset polskich kawalerzystów z szwadronów Gostkowskiego i Trembeckiego ponownie ruszyło na Górny Śląsk. Tym razem na przeszkodzie marszu stanął oddział huzarów Witowskiego, który pokonał polskich insurgentów w Tarnowskich Górach i w okolicach tego miasta. Na wieść o tej klęsce „Pruszak, dziedzic Janowa i Ostrowski, rotmistrz sieradzki, pragnąc honor wojska narodowego ratować od urągania Niemców i Ślązaków”, ruszyli na Tarnowskie Góry. Polacy, grożąc spalaniem miasta i powieszeniem urzędników, zażądali od mieszczan pokaźnej kontrybucji. Zmniejszono ją, gdy odkryto, że dwaj ranni polscy oficerowie znaleźli schronienie w domu jednego z mieszczan.

Te pierwsze działania wojenne na pograniczu wygasły w końcu stycznia 1807 r., a powodem tego było rozpoczęcie przez siły IX korpusu Wielkiej Armii oblężenia Koźła i rozbicie oddziału Witowskiego, który próbował utrudniać działania sił księcia Hieronima. W tym czasie Francuzi odnosili w walkach na Śląsku kolejne sukcesy. Już 3 grudnia poddała się pierwsza ze śląskich twierdz – Głogów. 7 stycznia skapitulował Wrocław. Zawiodły dwukrotne próby odblokowania stolicy Śląska przez księcia Anhalt-Köthen-Pless, który został pobity w grudniu 1806 roku pod Strzelinem i pod Wrocławiem. 8 stycznia 1807 roku skapitulował Brzeg, a 16 lutego Świdnica. W efekcie, po pierwszych dwóch miesiącach działań Francuzi przejęli inicjatywę strategiczną. Napoleon uważnie śledził poczynania Hieronima. Przekazywał instrukcje i ponaglał brata do działania, chcąc jak najszybciej opłacać całość prowincji i wykorzystać jej zasoby w kampanii wiosennej 1807 roku przeciwko Prusom i Rosji. Przez cały czas działań wojennych ze Śląska kierowano ku głównym siłom Wielkiej Armii transporty mąki, zboża, wódki, sukna i wołów.

Andreas Witowski. Fot. arch. autora



To już ostatni artykuł z cyklu prezentującego rodziny zagłębiowskie. O dziejach rodziny Schönów opowiadają: Dorota Starościak, autorka poprzednich dwóch artykułów i Jerzy Schön, przedstawiciel tej niezmiernie zasłużonej dla zagłębiowskiego przemysłu włókienniczego rodziny. Jak się dowiadujemy, dr inż. Dorota Starościak kończy właśnie pisanie książki, poświęconej zagłębiowskim losom swoich bliższych i dalszych przodków. Na jej kartach pojawiają się nie tylko osoby zaprezentowane w artykułach naszego cyklu, ale także wiele innych, nie mniej interesujących, postaci. Książka będzie bogato ilustrowana unikalnymi dokumentami i fotografiami rodzinnymi oraz fragmentami trwającej kilkadziesiąt lat korespondencji Ludwika Solskiego, słynnego aktora scen polskich, z Izabellą Skarbińską, prababką Autorki.

Schönowie i Zarębscy cz. 2

Dorota Starościak

Niezmiernie barwne są losy średniego syna – Aleksandra, żonatego z Elżbietą Cichowską, pasierbicą Stanisława Skarbińskiego seniora. Wychodząc w roku 1938 za wujka Szurę ciocia Dzidzia była na ostatnim roku medycyny, niestety przerwała studia i nigdy ich nie dokończyła. Tak długo, jak się dało, Aleksander był reklamowany od służby w Wehrmachcie z powodu płaskostopia. W roku 1942 zawezwano Wilhelma Schöna i zarzucono mu, że syn wymiguje się od służby ojczyźnie. Krótko potem Aleksander został skierowany na front wschodni i trafił w rejon jeziora Peypus. Na szczęście wspomniana przypadłość uchroniła go od służby na pierwszej linii frontu. Pod koniec 1943 roku otrzymał urlop i przybył do Sosnowca. Zamieszkał w dużym pałacu wraz z żoną i kilkumiesięczną Magdusią. W małym pałacu mieszkał jego ojciec Wilhelm, brat Georg i siostra Maria Luiza. Gdy urlop dobiegał końca, żona

zaprotestowała przeciwko powrotowi męża na front. Aleksander wyruszył w drogę powrotną do jednostki, ale... nigdy tam nie dotarł. W tajemnicy przed ojcem zrzucił mundur i do lutego 1945 roku ukrywał się w komórce dla świń u zaprzyjaźnionego robotnika zakładów włókienniczych swego ojca (według bratanka Jerzego Schöna, ukrywał się na wsi, w komórce pod beczką z kiszoną kapustą, a według pamiętników brata Jerzego – jako robotnik w fabryce w Zawierciu).

To na ten okres datuje się jego współpraca z AK. Po wkroczeniu bolszewików Aleksander Schön został pobity i aresztowany. W swoim pamiętniku jego brat Georg napisał, iż Szura została uwolniona „na prośbę teścia Skarbińskiego”. Po wojnie przez 2–3 miesiące mieszkał z żoną i córkami w rodzinnym pałacu, z którego następnie ich wyrzucono, oferując mieszkanie czynszowe w Sosnowcu przy ul. Modrzejowskiej, koło kina Roxy. By mieć środki utrzymania wujek Szura założył hurtownię tekstyliów, bo jak każdy Schön sprawy tekstyliów miał w małym palcu. Przy okazji zaopatrywał całą rodzinę w dobrej jakości materiały. Z czasem jednak władza ludowa uznała, że cieszy się zbyt dużą popularnością nie tylko wśród włókienników, ale i mieszkańców Sosnowca, w związku z tym zmuszony był na zawsze opuścić rodzinne miasto. Dano mu do wyboru Łódź lub Częstochowę. Wujostwo osiedlili się w Częstochowie, bo stamtąd było bliżej do Grodzka, do mieszkających tam teściów Stanisławowstwa Skarbińskich. Aleksander pracował jako wykładowca Politechniki Częstochowskiej, a także w częstochowskich zakładach włókienniczych. Zmarł w roku 1976.

Nie mniej zajmująca jest historia Paula, który przed wojną uważany był za playboya nr 1 Sosnowca. Podobnie jak wujek Szura otrzymał wezwanie do wojska. Chcąc wymigać się od obowiązku służby na froncie, wyruszył do Krakowa, gdzie w Borku Fałęckim mieszkali teściowie jego brata Borysa, czyli Janina i Mieczysław Zarębscy wraz z córką Donatą (1916–2001), wnukiem Jerzym i siostrą pani Janiny Stanisławą Foltąńską. Po wcieleniu Grodzka do Rzeszy właściciel cementowni i kopalni „Grodziec” – belgijska firma Solvay zaproponowała Zarębskiemu, ówczesnemu dyrektorowi grodzieckiej



Mieczysław Zarębski. Fot. arch. autorki

cementowni, równorzędne stanowisko w swojej fabryce w Borku Fałęckim i w ten oto sposób Zarębscy znaleźli się w Krakowie. Po wojnie Mieczysław Zarębski został dyrektorem technicznym Zjednoczenia Fabryk Cementu i rodzina z Borku Fałęckiego przeniosła się do Sosnowca, do wielkiego mieszkania przy ulicy Pułaskiego, w budynku dawnej siedziby Banku Polskiego.

Trudno dziś ustalić, kto wpadł na tak szatański pomysł, dość powiedzieć, że siostra pani Janiny, Stanisława Foltąńska – późniejsza żona Jana Pogorzelskiego, a więc szwagierka Zofii Karszowej i Stefy Skarbińskiej – udała się z Pauliem Schönem w kierunku fabryki sody kaustycznej Solvay, tej samej, w której pracował Ojciec Święty Jan Paweł II, i tam, wykorzystując ręcznie przekładane zwrotnice na torach prowadzących do fabryki, Paul własnoręcznie złamał sobie nogę. Zemdlął z bólu, ale uznał, że warto było, bo złamana noga skutecznie

Elżbieta i Aleksander Schön. Fot. ze zbiorów Muzeum w Sosnowcu





Centrum Wyszkożenia Kawalerii Grudziądz, początek lat 30. Borys – pierwszy z lewej w drugim rzędzie. Fot. arch. autorki

uchroniła go od służby wojskowej.

Wojna rozproszyła członków rodziny Schönów. W roku 1945 Wilhelm z Elsą, Paulem (Pawłem), Georgiem (Jerzym) i Marią Luizą opuścili Sosnowiec. Wilhelm zginął w tajemniczych okolicznościach w wypadku samochodowym w Szwajcarii, wracając z Francji w towarzystwie trzech innych osób ze znaczną sumą pieniędzy. Według pamiętnika syna Georga (Jerzego) Schöna, Wilhelm został zatrzymany przez policję francuską i zabrany na przesłuchanie. Nie wytrzymując napięcia nerwowego wyskoczył z jadącego jeepa i zginął. Po pewnym czasie pieniądze wraz z przeprosinami trafiły do autora pamiętnika. Pozostali członkowie rodziny wyemigrowali przez Wiedeń do Brazylii i tam ułożyli sobie życie na nowo. W kraju, poza Aleksandrem Schönem i jego rodziną, pozostała wspomniana już wdowa po Borysie, czyli Donata Maria Schön z synem Jerzym. Po roku 1960 Donata oraz Jerzy z żoną Urszulą zamieszkali w Warszawie.

Jerzy Schön wspomina wzruszającą opowieść o zasługach dziadka Wilhelma, jaką usłyszał podczas swojego pobytu w USA od Ernesta Brühla, przedwojennego fabrykanta tekstyliów w Bielsku, zamieszkałego po wojnie w Stanach Zjednoczonych. Otóż, Wilhelm utrzymywał bliskie kontakty z Bielskiem, bo mieścił się tam drugi oddział jego fabryki, prowadzony przez Włodzimierza Schöna, czyli wujka Wołodę. Ernest Brühl był bliskim przyjacielem

Wilhelma i Wołodii Schönów. Ponieważ był pochodzenia żydowskiego, Niemcy przejęli jego fabrykę i skonfiskowali cały majątek, a on i rodzina byli zagrożeni wywiezieniem do obozu. Otrzymał tę wiadomość, Wilhelm wsiadł w samochód, przyjechał do Bielska, udał się do władz administracyjnych miasta oraz banku i od ręki, za gotówkę... kupił fabrykę Brühla, a jego samego... mianował jej administratorem. W ten oto sposób, jako rodowity Niemiec, wymusił na władzach zalegalizowanie pobytu Brühla i jego rodziny w Bielsku.

W rodzinie Schönów wielokrotnie pojawiają się rosyjsko brzmiące imiona, jak Szura, Borys czy Wołodia. Ten rusofilizm nie wyszedł Schönom na dobre. Przykładem są dzieje Szury czy Borysa, ale najdramatyczniej los doświadczył wujka Wołodę. Gdy po Powstaniu Warszawskim powrócił do rodzinnego mieszkania, znalazł ciała żony i dwóch synów tak poćwiartowane przez własowców, że musiał ich szczątki zbierać do walizek.

Wiele lat po wojnie, w demokratycznej już Polsce, Związek Żołnierzy AK zwrócił się do sosnowieckiego samorządu z wnioskiem o nadanie jednej z ulic imienia Elżbiety (Elsy) i Wilhelma Schönów. Decyzją radnych w roku 2005 małżonkowie Schön, Niemcy z pochodzenia, wielce zasłużeni w okresie międzywojennym dla miasta i jego mieszkańców, wspierający finansowo polskie podziemie podczas okupacji, powrócili do Sosnowca jako patroni

jednej z ulic. Szkoda tylko, że miasto nie zadbało o umieszczenie stosownych tabliczek na całym odcinku ulicy, a nie jedynie w części środkowej.

W pięknym tekście zatytułowanym „Ku pamięci rodziny Schön”, zamieszczonym na stronie Urzędu Miasta Sosnowiec (<http://sosnowiec.cmdok.dt.pl>, strona Urzędu Miasta Sosnowiec, Archiwum Wiadomości, wpis z 26.08.2005r.) czytamy:

„Mimo że z pochodzenia byli Niemcami, w domu kulturowali polskie tradycje.

W trakcie II wojny światowej czynnie wspierali polskie podziemie. Jeden z ich synów walczył w armii gen. Andersa. Drugi, siłą wcielony do wojska niemieckiego, zdezerterował i walczył w szeregach AK. Wilhelm Schoen kierował rodzinną firmą włókienniczą na Środulcu w latach międzywojennych i podczas okupacji hitlerowskiej. Obok działalności gospodarczej małżonkowie uczestniczyli w życiu społecznym i kulturalnym miasta. Od 1917 r. Wilhelm był członkiem Rady Miejskiej, zasiadał także w radzie Izby Przemysłowo-Handlowej dla Województwa Kieleckiego, która rozpoczęła działalność w Sosnowcu w 1927 r. Elżbieta organizowała w pałacu różne imprezy. Przygotowywała przedstawienia teatralne dla dzieci i dorosłych, prowadziła kółka literackie. Według relacji świadków Schoenowie chętnie służyli pomocą potrzebującym. W okresie okupacji wypłacali np. pensje rodzinom pracowników aresztowanych przez gestapo. Wilhelm wspomagał finansowo polskie podziemie, a Elżbieta prowadziła ożywioną działalność charytatywną, utrzymując sierociniec sióstr karmelitanek w Sosnowcu. Prowadziła tam kuchnię, która wydawała bezpłatne posiłki i organizowała tzw. „święconkę” dla najbardziej potrzebujących. Według relacji Zofii Domanowskiej w pałacu na Środulcu ukrywał się Zygmunt Walter-Janke, komendant Okręgu Śląskiego AK. Tutaj także schronienie znalazło wiele rodzin wysiedlonych ze stolicy po upadku Powstania Warszawskiego”.

Po latach programowej, zideologizowanej niepamięci, warto przypominać zasłużone rodziny, które swą prospołeczną, patriotyczną postawą w czasie wojen i powstań, działalnością zawodową, oraz zaangażowaniem i aktywnością w życiu publicznym przyczyniły się do rozwoju Zagłębia, zapisując piękne karty w jego historii. Ich pozytywistyczna praca dla dobra wspólnego zasługuje na trwałe miejsce w pamięci nie tylko lokalnej społeczności. Stanowiła również – i wciąż stanowi – wzór do naśladowania dla następnych pokoleń.

WSPOMNIENIA KAZACHSTAŃSKIE

Wiesław Blicharski

Boleść ludzi, z którymi dzieliliśmy wydarzenia wstrząsające, zasługuje na znacznie szerszą i dogłębną analizę – talentu jednak nie stało. Tę małą więc część historii, jaką zdołałem ocalić od zapomnienia, poświęcam moim Bliskim i Przyjaciołom.

Buran to potężna zawieja śnieżna z mrozem sięgającym minus 60 stopni Celsjusza. Bardzo silny, mroźny wiatr w połączeniu z dużym opadem śniegu potrafi zmrozić i zasypać śniegiem wszystko, co tylko zatrzyma się w bezruchu. Odpoczynek w podróży podczas takiej zawiei równał się śmierci. W ten sposób zginęło wielu ludzi, w tym także Polaków, również wiele zwierząt.

Jak się buran rozduje, to potrafi „duć” kilka dni. A kiedy wiatr się wyciszy, śnieg przestanie padać, wychodzi słońce i oświetla ten bezkresny biały step, a biel aż kluje w oczy. Zasypane i zawiane jest wszystko. Dopiero po jednym lub dwóch dniach stają się widoczne odkopane ziemianki i ścieżki. Po takim buraniu zewnętrzna warstwa śniegu jest tak zmrożona i ubita przez wiatr, że po przejściu po takiej skorupie śladów nie było widać. Pod skorupą było zwykle do kilku metrów śniegu, a jak się załamała pod stopami, był duży problem aby wygrzebać się ze śniegu. Kiedyś po buraniu właśnie dowiedzieliśmy się, że na polu sąsiedniego kolchozu są nie zebrane słoneczniki, których kolchoźnicy nie zdążyli sprzątnąć z pola. Poszliśmy tam, bo była to nie lada gratka. Szliśmy po zaspach utworzonych przez zamieć, a nie wszędzie skorupa śnieżna była na tyle twarda, żeby utrzymać ciężar ciała. Często zapadaliśmy się w śnieg głęboko, co było bardzo wyczerpujące. Na miejscu okazało się, że całe pole słonecznikowe jest zasypane śniegiem, ale wiele główek słonecznikowych było ponad powierzchnią śniegu. Były bardzo zmrożone, że niemal po dotknięciu ziarna się wysypywały. Wystarczyło podłożyć worek pod główkę słonecznika i postukać, wszystkie ziarna wypadały. Uzbieraliśmy tyle słonecznika ile zdołaliśmy unieść. Po takiej dostawie mieliśmy szczęśliwie na dłuższy czas, jakby na to nie patrzeć, było to bardzo dobre uzupełnienie naszego skromnego jadłospisu. Innym znów razem Zbyszek z chłopakami poszli do lasu po gałęzie na opał. Zobaczyli tam rozszarpaną, ale nie zjedzoną do końca przez wilki krowę. Wrócili do domu, zorganizowali jakieś siekiery, bo mięso było zmrożone, oraz narty zrobione ze zwykłych desek

przymocowanych do nóg sznurkami i wyruszyli po to mięso. Ile mogli naszarpać i unieść, tyle przynieśli. Nikt z nich nie zważał, że mogą zostać rozszarpani przez wilki. Po powrocie uczta była przednia. Czasami tylko udawało się złapać na sidła zająca, bo nie byliśmy zbyt doświadczonymi kłusownikami. Nie było to zresztą zakazane, kto tylko miał smykałkę i odpowiedni sprzęt, mógł kłusować. Do łapania zająca wystarczyło trochę drutu, który się wyżył w ogniu, aby stał się elastyczny i robiło się z tego drutu sidła – wnyki.

Rozstawianie tych sidła w miejscach gdzie biegały zające to cała sztuka. Ale złapać zająca to nie wszystko, trzeba było jeszcze upilnować, żeby go ktoś inny nie podebrał.

Jeszcze kilka buranów, jeszcze kilka eskapad po zaspach śnieżnych, to po chrust, to po jakieś zmarznęte ochłapy lub cokolwiek nadającego się do zjedzenia i kolejna zima zbliżała się ku końcowi. Wiosną będzie lżej. Ale zanim nadeszła wiosna przyszła choroba. Nie pamiętam już, kogo najpierw zmogła. Nie pamiętam też jaki był przebieg mojej choroby – był to tyfus płamisty. Wszy były wszechocobecne, a ponieważ one roznosiły chorobę nie ominęła prawie nikogo na fermie. Mamusia rozchorowała się jak już zaczynała się wiosna, jeszcze śnieg nie zaczął tajać, ale już nie padał i nie wiało. Słońce grzało coraz mocniej. Mamusia leżała z wysoką gorączką cała rozpalona, nie wiem kto i czym ją leczył. Pamiętam, że bardzo jej się chciało pić. Mówiła, że bardzo chciała by się napić mleka. Ale przecież mleka nigdzie nie było. Zobaczyłem przez okno krowę, krowę Kazachów, co mieszkali obok. Nie zastanawiałem się, wziąłem garnuszek, wyszedłem i nadoiłem prawie pełny mleka. Kazaszka nie zauważyła, obeszła się bez konsekwencji a mamusia wypyla ze smakiem. Niestety nie było to lekarstwo i w chorobie nie pomogło – chociaż kto wie. Kazachowie trzymali krowy i kury, ale ani sut – mleka, ani dżumurdka – jajka sprzedać nie chcieli. Zwyczajnie nie mieli nadwyżek. Ale bardzo lubili prawdziwą herbatę prasowaną – czaj kirpicznyj. Czasem, jak udało nam się zdobyć taką herbatę, następowała wymiana, wtedy i rematczyku dorzucili. W chorobie następ-

owało pogorszenie, i mamusię zabrali do Kokpektów – do szpitala. Szczęśliwie tak się stało, bo przecież tam jednak był lekarz i jakieś środki lecznicze pewnie miał. Kiedy najciężej chorych wywieźli do szpitala, na fermie zaczęła się dezynfekcja. Wszystkie lepianki, gdzie była choroba, odymiali dymem z siarki – zapalony dość duży kawałek siarki pozostawiali w każdej izbie, szczególnie ją później zamykając. Ten dym wżerał się w ściany tak, że było go czuć bardzo długo. Nie wiem jak długo mamusia leżała w tym szpitalu, ale jak wróciła zdrowa do domu, to już śniegu nie było i było dość ciepło.

Tak więc kolejna ciężka zima 1942 roku dobiegła końca. Była jeszcze cięższa od poprzedniej, ponieważ dodatkowo musieliśmy walczyć z chorobą.

Nie wiedzieliśmy wówczas, nie chcieliśmy wiedzieć, że jeszcze więcej tych zim będziemy musieli tam przeżyć. Zawsze myśleliśmy, to były właściwie marzenia, że wiosną będzie lepiej, że nas stamtąd zabiorą, że to była ostatnia zima. Niestety nie ostatnia, trzeba było jeszcze przetrzymać następne cztery zimy, a każda z nich była równie ciężka do przetrwania.

A na razie była wiosna, było już wprowadzone na wypasy w góry, zbliżało się lato. Chyba latem, albo jeszcze wiosną przywieźli na fermę nowych zesłańców – Czezeńców pochodzących z gór Kaukaskich. Nie rozumieliśmy dlaczego swoich ludzi deportowali z ich miejsca pochodzenia i pobytu. Nie stanowili oni dużej grupy – 30 może 40 osób. Nie dominowali więc ilością, ale wyróżniali się wzrostem i ubiorem oraz charakterystyczną postawą górali kaukaskich, nie tylko pod względem fizycznym. Byli to ludzie skryci w sobie, zastraszeni i w sposób widoczny nie lubiący (jest to łagodne określenie) systemu stalinowskiego.

Kiedy mówili o swoim zesłaniu, to aż iskry sypały się im z oczu co wskazywało na nienawiść do panującej władzy. Spora ilość młodych mężczyzn w tej grupie narodowościowej, budziła nasze zaciekawienie i zdziwienie. Trwała przecież wojna, a oni należeli do Kraju Rad. Dlaczego więc nie byli w wojsku? Rozwiązania tej zagadki nie poznaliśmy do końca. Przypuszczam, że odmówili służby wojskowej i dlatego zostali zesłani.

Wierzyć, nie wierzyć, ale poczytać można... Zagłębiowskie godki

Kontynuujemy prezentację wybranych *Podani i Opowieści z Zagłębia Dąbrowskiego* z publikacji Śląskiego Instytutu Naukowego (1984 rok), zebranych i opracowanych przez Mariannę (†) i Dionizjusza Czubałów – długoletnich pracowników naukowych polonistyki Uniwersytetu Śląskiego.

Jak diabły nie dały wypalić diabła

Był tu w Siewierzu taki jeden garcarz, fachowiec dobry. Ja go tam nie znałem, bo to było dawno, tylko ojciec mi o nim opowiadał. Ten garcarz to lubił robić takie figle: pieski, koty, gwizdki. No i raz zrobił diabła. Takiego ładnego diabła zrobił, wysuszył go, ładnie wymalował i chciał go wypalić w piecu razem z garkami. Palił, palił, a jak to palenie już się miało ku końcowi, to strzeliło w tym piecu, jak z armaty. Diabła rozerwało, garki potłukło, cały piec rozwalilo. I do dziś dnia mówią, że diabły nie dały wypalić diabła.

Jak garcarz Maltazar ulepił diabła

Rokitka to był diabeł z Zagłębia, tu był po wsiach znany. To był taki chuligan. Rozbijał, rzucał kamieniami, skakał, przenosił różne rzeczy, podglądał. Był małego wzrostu, trochę garbaty, jedno oko miał wybite, dwa zęby wybite, wargę górną miał rozciętą, róg jeden zbity i jedną nogę utraconą. Jak w piekle był, to zaczepiał inne diabły. Tego za ucho złapał, tamtego w nogę ugryzł, temu smołę rozlał, wlał czegoś za dużo, a tam były diabły silne, rozrośnięte, to go łapali i niesamowicie bili.

Lucyfer wysłał go, żeby rządził w całym Zagłębiu. On był taki pełen humoru i robił wszystkim tu takie małe złośliwości. Jak mu jaka baba nie dała czegoś, to zakręcił wiatrem i dach przeniósł aż do drugiej wsi. Siano suszą — diabeł nie dostał mleka — to zakręcił i przeleciało siano z Rogoźnika do Niegowonic. Jak im tak dokuczał, to przeklinali, a jak przeklinali, to szli do piekła i piekło było pełne. Lucyfer go chwalił, że on tak ludzi klócił. Poszedł raz do garcarzy w Siewierzu i bardzo mu się u nich spodobało. Siadł na progu, zaczął dzwonić łyżką po garku, to garcarka mu zaraz wynosiła pajdę chleba z masłem albo ze skwarkami, albo ze słoniną, tak że tu był bardzo zadowolony. Ale jak która nie chciała mu dać jeść albo garcarz wyganiał go i nie dał mu się ogrzać przy piecu, to spuszczał deszcz i zalewał piece. Garki się nie wypaliły, szerniały, rozmyły się i była strata.

Garcarze zawsze się z Rokitką rozliczali. A jak się rozliczali? Zawsze raz w roku, we Wigilię spotykali się na rynku. Na kościół

dawali, ale i dla Rokitki zawsze coś zostawiali. Jednego razu garcarz Maltazar, który najpiękniejsze garnki i misy robił, który najpiękniej je malował i szklął, powiedział: Co się będziecie, chłopcy, Rokitką martwić. Dosyć tego. Wszyscy się Rokitki bali, a on nie. Miał z pięciu czeladników, miał przygotowaną najlepszą glinę, bo miał swoją kopalnię gliny (i tam też miał drogie kamienie, lecz nikomu się nie przyznawał), więc nie bał się nikogo.

Ja go wypalę i raz diabli wezmą Rokitkę. Zaniesiemy go do kościoła i on tu już więcej nie przyjdzie.

Założył się z garcarzami, że w ciągu pięciu tygodni zrobi i wypali diabła Rokitkę. Wyrobił swoją najlepszą glinę, w oczy mu wstawił drogie kamienie i suszył go, suszył go powoli, a to drzewem z wiśni, a to z wierzby. A to był diabeł tak podobny do tego prawdziwego, że jak go jeden

zobaczył, to zemdlał po strachu. Maltazar był zadowolony. W środku wybrał z niego, żeby lepiej wysechł. Wsadził go do pieca. W piecu zrobił 12 palenisk. Z początku zapalił trzy i dosuszał go. Najpierw szedł dym czarny, potem coraz bielszy, więc zapalił następne paleniska, bo wiedział, że to trzeba powoli palić. I znów jak dym zbiegał, zapalił wszystkie paleniska. Podłożył dobrze drzewa sosnowego, żeby nabrał żywicznego zapachu. Nagle zaczęło huczeć i usłyszał z pieca: ha, ha, ha! chi, chi, chi! i krzyk ogromny. Piec wyleciał w powietrze. Wszystkie, ogień i cegły wyleciały i powstała Góra Siewierska. Nigdy już tych cegieł nie pozbiali. Maltazarowi oczy wypaliło. Jak upadł, śmiech Rokitki słyszał. I jeszcze słyszał, jak mówił:

Tyś mnie chciał, mały człowieczku, w piecu wypalić? Za karę nie będziesz już wypalał! I odtąd już się im nie wiodło.

Rys. Ireneusz Bator, ilustracja z książki *Podania i Opowieści z Zagłębia Dąbrowskiego*



Dylematy regionalnej tożsamości

Przypadek Górnego Śląska

Marek S. Szczepański, Anna Śliz

*W życiu spotykamy różnych ludzi,
w miejscu pracy, podczas urlopu, w po-
wszechniej krzątaninie.*

*I oni nagle odchodzą. Wyjeżdżają, zapo-
minają, jakby nie istnieli*

Jan Twardowski, *Bliscy i obcy*

Współczesne procesy globalizacji i metro-
polizacji sprzyjają przemieszczaniu się ludzi
pomiędzy różnymi kulturowymi światami.
Zmiana środowiska społecznego i kultu-
rowego wymusza modyfikację tożsamości
człowieka w kierunku adaptacji do nowej
rzeczywistości społecznej.

Dowartościowanie w naukach społecz-
nych, pojęcia tożsamości i najnowsze jego
interpretacje nie powodują bynajmniej odr-
zucenia tradycyjnego pojmowania zarówno
tożsamości indywidualnej, jak i społecznej
oraz różnorodności jej odmian. Tożsamości
te są pokrewne względem siebie, ale z całą
pewnością najistotniejsze pośród nich są:
tożsamość indywidualna, tożsamość spo-
łeczna (zbiorowa) czy kulturowa.

Tożsamość kulturowa jest jedną z od-
mian tożsamości społecznej (zbiorowej),
którą należy pojmować jako względnie
trwałą identyfikację pewnej grupy ludzi
i pojedynczych jej członków z określonym
układem kulturowym tworzoną przez
zespół idei, przekonań, poglądów, z kon-
kretnymi zwyczajami i obyczajami, z danym
systemem aksjologicznym i normatywnym.
Owa identyfikacja powinna umacniać we-
wnętrzną jedność grupy i stanowić o jej spe-
cyfice. Tożsamość taka wyraża się w zdaniu:
Jesteśmy tacy jacy jesteśmy, jesteśmy inni,
a to że jesteśmy inni, ma stanowić powód
do dumy, a nie do zawstyżenia. Z kolei toż-
samość regionalna i, przez analogię, lokalna
są szczególnymi przypadkami tożsamości
społecznej (zbiorowej) i kulturowej opartej
zarazem na tradycji regionalnej (lokalnej),
odnoszonej do wyraźnie zdefiniowanego i de-
limitowanego terytorium, regionu (miejsca),
jego specyficznych cech społecznych, kultu-
rowych (symbolicznych), gospodarczych czy
nawet topograficznych, wyróżniających go
spośród innych regionów (miejsc). W tym
znaczeniu tożsamość regionalna bywa łączo-
na, przynajmniej w niektórych przypadkach,
z tożsamością etniczną (grupą etnograficzną,
grupą etniczną). Tak na przykład dzieje się
w odniesieniu do Górnoślązaków czy Ka-

szubów. Można zatem przyjąć, że tożsamość
społeczna powstaje na bazie tożsamości
indywidualnych.

Bez wnikania w zawile spory termi-
nologiczne, przyjąć należy, że istnieją dwa
typy społecznej tożsamości: emocjonalna
(przeżywana) oraz funkcjonalna. Ta pierwsza
oparta jest przede wszystkim na codziennym
doświadczeniu człowieka oraz jego zwią-
kach z lokalną czy regionalną społecznością.
Ważna jest także komunikacja i bliskość
interpersonalna. Tożsamość funkcjonalna
wynika natomiast z gry interesów i ujawnia
się zazwyczaj w przypadkach gwałtownych
zagrożeń zewnętrznych skutkujących we-
wnętrzną mobilizacją zbiorowości.

W kręgu tożsamości zbiorowych mieszczą
się także rozważania i dylematy, których pod-
miotem jest tożsamość narodowa, rozumiana
w sensie kontynuacji czyli eksponowania
trwałości, przeszłości, koncentracji na tery-
torium oraz kanonie wybranych elementów
kultury, która zmierza do eksponowania
odrębności. Tożsamość narodowa pozo-
staje więc w ścisłym związku ze wspólnym
pochodzeniem, kulturą i świadomością naro-
dową, która jest podzielana przez jednostki
przekonane o przynależności do ethnos.

Tożsamość europejska i globalna wobec naro- dowej i regionalnej

W świecie zanikania granic państwowych
i powstawania nowych form wspólnotowych,
jak na przykład Unia Europejska, rodzą się
warunki sprzyjające budowaniu nowych
poziomów tożsamości. Wśród nich istotna
jest tożsamość kontynentalna (europejska),
która stanowi, gdyby odwoływać się do skali
i zasięgu procesu i zjawiska, jeden z sześciu
wymiarów tożsamości: indywidualnej, lo-
kalnej, regionalnej, narodowej, kontynen-
talnej czy wreszcie globalnej (planetarnej).
Ważne jest, aby w tym procesie akcentować
różnicowanie lokalne i regionalne Euro-
py, jej mozaikowość etniczną, narodową,
religijną, kulturową i cywilizacyjną. Tym
samym szczególnie istotne jest eksponowanie
otwartości na te różnicowania i odrzucenie
postawy nagannego europocentryzmu czy
ekskluzywności. Ale równocześnie musimy
eksponować to, co wspólne, co nas łączy
jako mieszkańców jednego kontynentu.
Jednocześnie należy wyzbywać się bojaźni
podobnej do tej, która towarzyszy polskim
eurosceptykom. Lękają się oni utraty toż-

samości narodowej, co zdaniem Richarda
Hilla, badacza kultur europejskich, jest
niedorzeczne.

Tożsamość globalna, wiąże się z proce-
sami przenikającymi całość życia współcze-
snych społeczeństw. Chodzi tutaj o więzi
o zasięgu światowym, stymulowane decyzy-
jami politycznymi i zjawiskami z poziomu mię-
dzynarodowego podziału pracy. Współczesny
człowiek staje więc w obliczu wyzwań idei
samorealizacji, która wierzy w indywidualizm
jednostki, toteż w kształtowaniu własnej
tożsamości nie musi się imperatywnie od-
woływać do świata zewnętrznego a jedynie
do własnego „ja”.

Przybliżenie rozumienia różnych pozio-
mów tożsamości traktujemy bardziej jako
zapowiedź kolejnych rozważań, równocze-
śnie w prezentowanym tekście skupiamy się
przede wszystkim na tożsamości regionalnej,
która stanowi główną oś prezentowanych
analiz.

Udział społeczności regionalnej bądź
lokalnej we współczesnych procesach glo-
balnych wyraźnie rzutuje także na przeobra-
żenia w sferze tożsamości. Najważniejszy
jest fakt, że w społeczeństwach sieciowych
coraz wyraźniej traci znaczenie terytorium
(miejsce). Do najistotniejszych konsekwencji
tego stanu należy wielość dyskursów oraz
pluralizm i różnorodność kultur, która tra-
ci pozycję czynnika silnie integrującego.
Tradycyjne spojrzenie na tożsamość to
spojrzenie przede wszystkim przez pryzmat
terytorium, jak również poprzez opozycje:
„my” – „oni”, „swoi” – „obcy”, „tutejsi” – „nie-
tutejsi”. Zazwyczaj pierwszym elementem
tych dychotomii przypisane jest bardziej
pozytywne wartościowanie niż tym drugim.

Górnośląska wielokulturowość a regionalna tożsamość

W zaprezentowanej analizie tożsamości
w ujęciu tradycyjnym i w warunkach unie-
ważniania terytorium interesująca wydaje się
być refleksja nad tożsamością województwa
śląskiego i jego mieszkańców. Funkcjono-
wanie województwa śląskiego po reformie
administracyjnej w 1999 roku, wskazują na
poważne kłopoty z integracją w obecnych
granicach regionu, zwielokrotnionych złym
stanem infrastruktury i infostruktur chociaż
ostatnie lata wyraźnie sprzyjają poprawie
tych sfer życia śląskiej przestrzeni społecznej.
Pomimo tego wielu mieszkańców dawnych

województw bielskiego i częstochowskiego, którzy zostali włączeni w ramy województwa śląskiego wciąż nie chce uznać takiego ich ulokowania. Niektórzy z nich to gwiazdy socjometryczne, lokalne autorytety, o dużych zdolnościach perswazyjnych. Tymczasem władze regionalne winny dążyć nie tyle do integracji zbiorowości i troski o budowanie tożsamości przeżywanej, co raczej zabiegać o zrozumienie wspólnych interesów poszczególnych subregionów województwa śląskiego (bielskie, częstochowskie, katowickie, rybnickie). Te ostatnie mogą tworzyć zręby tożsamości o funkcjonalnym i utylitarnym charakterze. Pojawić się wówczas mogą takie na przykład stwierdzenia: nie akceptuję obecnych granic administracyjnych regionu, ale mój interes ekonomiczny, dobro mojej miejscowości wymaga solidarnego działania z władzami regionalnymi. Tożsamość funkcjonalna winna zyskać przewagę w takich przypadkach nad emocjonalną.

Ciekawie także brzmią argumenty przytaczane przez przeciwników ostatniej reformy administracyjnej kraju i kształtu nowych województw, zwłaszcza śląskiego. Można powiedzieć, że w tej grupie dominuje lęk przed ogromnymi problemami związanymi z przebudową tradycyjnych branż przemysłu, ulokowanych na terenie dawnego województwa katowickiego. Te obawy są tak dojmujące, że Górny Śląsk w wielu wypowiedziach jawi

się jako czarna dziura, wchłaniająca pasożyt niczo wszelkie fundusze województwa. Tym samym w opiniach przeciwników mamy do czynienia ze szczególną grą o sumie zerowej, w której sukces katowickiego oznaczał będzie nieuchronnie klęskę bielskiego czy częstochowskiego. Lęk przed katowicką konkwistą towarzyszą również odwołania do historycznych dążeń obecnego regionu bielskiego do Małopolski czy Częstochowy do historycznego obszaru staropolskiego. W niektórych częściach województwa zawiązują się grupy inicjatywne, zmierzające do zorganizowania referendów, legitymizujących zabiegi o rewizję regionalnych granic, a podziw dla skutecznej obrony województwa opolskiego wciąż powraca jako znakomity przykład, że mogło być inaczej. Trudno zatem oczekiwać w tej sytuacji na przyspieszony proces integracji regionu, nawet w wymiarze funkcjonalnym, i powstawanie trwałych elementów tożsamości regionalnej.

Proces tym bardziej trudny, że współczesny świat redefiniuje pojęcie tożsamości jako odwołującej się przede wszystkim do wspólnie podzielanego terytorium (realnego bądź wyobrazonego), które naznaczone jest wspólnotą dziejów, bohaterów, językiem czy wreszcie silnym poczuciem „my”. Wraz z procesami globalizacji i metropolizacji rodzą się nowe oblicza tożsamości gdzie naczelną rolą przypada przenikaniu się różnorodnych

kultur, ale wspólne terytorium rzeczywiste bądź unieważniane wciąż pozostaje istotnym. To efekt procesu migracji, gdzie jednostki będące tragarzami rozmaitych systemów kulturowych zamieszkują wspólną przestrzeń społeczną. Staje się ona metaforyczną mozaiką kultur, a ulokowane w jej ramach jednostki przeobrażają własną tożsamość poprzez kontakt z poszczególnymi elementami tejże mozaiki. W polskiej rzeczywistości znamienitym tego przykładem jest region Śląska, którego dzisiejsze problemy z tożsamością wynikają jednak przede wszystkim ze zmiany granic terytorialnych a nie wielokulturowości.

Śląsk pozostaje najbardziej wyrazistym regionem wielokulturowym w Polsce. To zarówno silny element wyróżniający, jak i tworzący fundament dla kształtowania się tożsamości. Zjawisko wielokulturowości w procesie swojego trwania miało wprawdzie zróżnicowane oblicze, ale stanowiło stały element dziejów Polski a nade wszystko regionu śląskiego.

Region i jego tożsamość kształtowała się tu przede wszystkim pod wpływem trzech kultur: polskiej, niemieckiej i czeskiej. Wszelkie regiony pogranicza kulturowego zmieniały w ciągu wieków przynależność państwową i administracyjną, znajdowały się pod wpływem różnych systemów politycznych i gospodarczych. W rezultacie

PO KONGRESIE KULTURY WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

List otwarty do Szanownego Pana Tadeusza Siernego

Z przyjemnością, ale i z rosnącym niepokojem przeczytałem Pana raport na temat literatury województwa śląskiego, umieszczony w materiałach Kongresu Kultury. W ad hoc pisanym liście trudno o spokojną analizę faktów, ale piszę go na gorąco, bo chciałbym przekazać emocje, które mną kierują po lekturze.

Nie umiem ocenić wartości materiału, po prostu nie znam na tyle tego środowiska, ale raport zdecydowanie promuje kulturę śląską w rozumieniu narodowości śląskiej. Dodatkowo używa Pan w nim kolokwialnie i wielokrotnie zwrotu „kultura śląska” lub jemu podobnych, co prowadzi czytelnika do błędnego w założeniu wniosku, że w województwie śląskim mieszkają przede

wszystkim Ślązacy, a przy okazji Zagłębiacy, Podbeskidzianie itp.

Zastanawiam się i proponuję Panu podjęcie dyskusji, czy czasem to właśnie ten kolokwializm – podobny do „polskich obozów zagłady” nie jest dziś jednym z kluczowych problemów śląskiej, czteromilionowej metropolii.

Poniżej cytuję z forum kongresowego (dodam, zaskakująco ubogiego) w tej sprawie:

Jedną z kluczowych spraw dla rozwoju społeczności i kultury są miejsca, które naturalnie przyciągają ludzi. Nie chodzi mi tylko o kulturę wysoką, ale także masową – nawet jarmarczną. Mieszkam w czteromilionowej metropolii i nie znam żadnego miejsca, do którego można by przyjść ze znajomymi i usiąść na ławce, patrząc na mimów, gitarzystów, breakdancerów, itp. Londyn ma Covent Garden, Berlin miał Ku'damm – Śląsk – moim zdaniem – nie ma ani jednego takiego miejsca. Przerzuci, która gwarantowała, że imprezy tam się odbywające będą miały zawsze widzów, a widzowie zawsze znajdą tam coś ciekawego.

Jestem ciekaw czy macie swoje typy? Może kandydatury (Nikiszowiec, Bytomski rynek)? Może postulaty, aby spróbować koncentrować wokół pewnych miejsc imprezy i wydarzenia, aby „wyrobić” wśród mieszkańców nowe zwyczaje. Oczywiście mam pełną

świadomość, że jest to proces długotrwały i trudny. Choćby sprawy komunikacji wymagają lat; do takiego miejsca powinno się bez problemu dotrzeć autobusem, rowerem, pieszo i ewentualnie samochodem. Powrót – nawet w godzinach bardzo późnych – też nie może być skomplikowany.

W moim odczuciu kreowanie śląskości, jako pomysłu na kulturę w tym województwie, to już przegrany pomysł. Na dodatek pomysł, który pociągnie za sobą dalsze, jeszcze gorsze skutki.

Nie są przy tym ważne liczby, choć jak Pan wie, ich nie da się dla śląskości obronić, ale sama schizofrenia sytuacji, w której jedna z najmniejszych społeczności w województwie usiłuje narzucić swoje kulturowe dziedzictwo społecznościom większym – jak zapewne Pan wie, choćby Zagłębiacy i częstochowianie stanowią większą grupę, a oba te regiony od wieków są związane silnie z Małopolską – otóż sama ta sytuacja w moim odczuciu rujnuje świadomość i poczucie regionalizmu wśród mieszkańców województwa.

Dla pokazania przykładu: niedawno w czasie przygotowań do debaty w stylu „Ślązacy kontra Zagłębie” w jednym z będzińskich liceów przeprowadzono ankietę na temat związku uczniów z Zagłębiem.

zamieszkującą je ludność cechują niejednoznaczne i różnicowane opcje narodowe, a narodowy indyferentyzm nie jest zjawiskiem marginalnym. Takie różnicowane opcje narodowe występują również i dzisiaj na Górnym Śląsku, chociaż na fakt ten zwrócił uwagę, jeszcze przed drugą wojną światową, ksiądz Emil Szramek mówiąc o Śląsku, że jest narożnikiem, w którym narosły różne pokłady świadomości. W tych społecznych przestrzeniach miesza się ze sobą kultura danego narodu i kultura, lub kultury sąsiadów. Osobliwością wielokulturowości pogranicza jest istnienie mniejszości etnicznych i narodowych, które w stopniu najwyższym tworzą wielokulturowość określonej społecznej przestrzeni. Dzisiejszej budowie społeczeństwa obywatelskiego w Polsce towarzyszy coraz silniej odczuwany respekt dla mniejszości narodowych i etnicznych, zamieszkujących kraj i region śląski. Tworzą one ciekawy kulturowo i cywilizacyjnie kontrpunkt dla polskiej większości.

Na fundamencie mniejszości etnicznych i narodowych

Wielokulturowość Górnego Śląska i jej wpływ na kształtowanie się tożsamości regionu jest faktem społecznym, którego fundament stanowią mniejszości narodowe i etniczne o różnicowanej kulturze, i które wspólnie tworzą zwarty kulturowy pejzaż

regionu. Dzieje ich miejsca w obszarze górnośląskim sięgają czasów Piastów śląskich, kiedy proces kolonizacji zwiększył liczbę ludności niemieckiej w miastach i na wsi, oraz w klasztorach żeńskich i męskich. Coraz częściej posługiwano się niemieckim językiem, oraz otaczano rycerstwem i duchowieństwem niemieckim. Wzbudzało to niezadowolenie ludności polskiej, która do XVII wieku stanowiła większość mieszkańców Śląska a kolejno stawała się wyłącznie oazą w [...] Niemczyźnie po lewej stronie Odry. Podporządkowanie księstw górnośląskich Koronie Czeskiej włączyło te ziemie w domenę kultury czesko-niemieckiej, gdzie język czeski obowiązywał do XVIII wieku, a od XVI towarzyszył mu język niemiecki. W rezultacie wojen śląskich w XVIII wieku ziemie górnośląskie znalazły się w większości w granicach Prus, które nie zmieniły wielokulturowości tej ziemi zamieszkiwanej przez Polaków, Niemców, Morawian (Czechów) i Żydów. Wraz z procesem industrializacji Górnego Śląska na teren ten napływała coraz liczniejsza rzesza Niemców zatrudnianych jako kadra techniczna, nauczyciele i kupcy. Życie Polaków, Niemców, Czechów i Żydów na Górnym Śląsku, podobnie jak cały górnośląski świat, zmieniało swój status z upływem kolejnych wieków i lat. Najtragiczniejszy w relacjach między ludnością polską, niemiecką, czeską i żydowską okres

to czas drugiej wojny światowej i lata tuż po jej zakończeniu. Wówczas to ludność niemiecka, zamieszkująca ziemie Górnego Śląska, została przesiedlona do Niemiec a na terytorium Śląska coraz liczniej przybywała ludność z terenów Polski centralnej i wschodniej. Górny Śląsk pozostawał zatem wielokulturowym tygłem. Przedstawicielom mniejszości narodowych i etnicznych zamieszkujących teren Śląska towarzyszyła coraz bardziej liczna rzesza Polaków, którzy na bazie procesu industrializacji migrowali z różnych kulturowych regionów Polski w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków życia. Lecz jednocześnie w latach 70. ubiegłego wieku w ramach łączenia rodzin z terytorium Górnego Śląska wyjechała liczna, w sumie ponad dwustutysięczna grupa ludności autochtonicznej osiedlając się w Niemczech, w przemysłowych ośrodkach Westfalii i Północnej Nadrenii. Wraz z tą ludnością terytorium górnośląskie opuszczała bardzo już skromna liczebnie mniejszość żydowska, udająca się bądź to do krajów Europy Zachodniej czy Stanów Zjednoczonych Ameryki, bądź na terytorium państwa Izrael.

Okres realnego socjalizmu w Polsce to w ogóle okres uruchamiania i podejmowania wysiłku w celu homogenizacji różnicowanego pod względem kulturowym i narodowym Górnego Śląska. Działalność

W debacie, w roli ekspertów, wzięli udział: Jerzy Gorzelik, Piotr Krawczyk (redaktor serwisu zaglebie.info), poseł Grzegorz Dolniak oraz Adam Lazar starosta powiatu będzińskiego. Wyglądało to mniej więcej tak:

O czymś, czego nie ma? Tę debatę trudno było przeoczyć, zwłaszcza jeśli jest się uczniem Kopernika, a w dodatku dzielnie zasila szeregi przyszłej klasy bezrobotnej (klas humanistycznych). Z samego rana, na kilka godzin przed rozpoczęciem całej imprezy, komisyjnie zawieszono plansze z aktualnym tematem: „Wspólna przyszłość w silnym europejskim regionie ważniejsza od lokalnych podziałów i uprzedzeń”.

Typowy dialog tego dnia:

– To znaczy o co właściwie będą się tym razem kłócić?

– Nie mam pojęcia.

Ja, szczerze powiedziawszy, też nie miałam. Skojarzyłam tylko, że od dłuższego czasu część profesorostwa wykazuje pewną wzmożoną aktywność w doszukiwaniu się oznak lokalnego patriotyzmu, pytając głównie, czy znamy może kogoś, kto zna kogoś, kto będzie znał kogoś znajomego się na Zagłębiu. W miarę możliwości z doktoratem i habilitacją w tej dziedzinie.

W każdym razie zaproszone grono okazało się tak szacowne, że aż nam w trakcie głośniki zachrypiły. W końcu to była na-

prawdę spora debata, na całą aulę i dwie godziny, i z prawdziwym niezrozumiałym tematem. Siadłam więc sobie z brzegu sceny w miejscu dla prasy i już miałam zacząć notować, kiedy dotarło do mnie, co też takiego popiskuje moja szyszynka (a może to było kresomózgowie?): „Górą Zagłębie! Dokopujemy krupniokom!”, nuciła sobie lokalno-patriotycznie. Jednak zdrowy rozsądek, poza tym, że lekko zażenowany zachowaniem nieobytej siostrzyczki, poczuł się w obowiązku zasyczeć: „Jacy MY?”

Ano właśnie. Według ostatnio przeprowadzonej w szkole ankiety, jedynie 10% uczniów deklaruje, że czuje się Zagłębianinem. Zagłęb... no. Nie powiem, żeby to było dużo jak na warunki Kopernika, co to od fundamentów aż po sufit wrośnięty jest w będziński krajobraz. Chwila, moment... Barteeeeek, co to według ciebie, jest Zagłębie?

– Będzin, Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec i okolice wioski.

– Znajdź mi synonim do „wioski”, bo to idzie do druku.

– Wiochy?

Rodzi się pytanie: kim więc ci licealiści się czują? I co zrobić, żeby poczuli się związani z ziemią, na której mieszkają. Obojętne, czy to jest wieś zagłębiowska, rudzki familok czy mieszkanie w apartamentowcu w czteromilionowej aglomeracji.

W moim odczuciu to poważna i fatalna wada Pańskiego raportu. On zostaje na lata, Pan wie, że poprzedni kongres odbył się 12 lat temu. Historia Pana oceni.

Niech Pan spojrzysz jeszcze na tę wklejkę z forum pokongresowego:

Fantastyczna dyskusja wokół tego, czy kultura może być śląska. Moim zdaniem nie. Kultura może być co najwyżej robiona na Śląsku, ale jest z założenia kosmopolityczna <http://www.dziennikzachodni.pl/opinie/308978,dzis-pytanie-czym-jest-slaskosc-w-kulturze-i-jak-ja-promowac,id,t.html>

Warto się zastanowić, czemu w tym wątku pojawiła się tylko jedna opinia i czemu tylko taka?

Jeszcze jedno pytanie: W raporcie brak jakiegokolwiek spojrzenia na pracę, zwłaszcza poetycką, twórców nieprofesjonalnych, wśród których, jak sam Pan zauważa, wielu może być autorami choćby na miarę regionalną, wybitnymi. To poważna ułomność i też radzę się nad tym zastanowić, zwłaszcza w kontekście tyle co odbytego Art Naif-u na Nikiszowcu. Będę z niecierpliwością czekał na Pana odpowiedź. Liczę na ciekawą dyskusję.

Pozdrawiam
Krzysztof Macha

ówczesnych władz to między innymi wprowadzanie odpowiedniego systemu szkolnego i oświatowo-kulturalnego, oraz specjalnie zaprogramowane media. Kulturowanie tradycji przywiezionych i podtrzymywanych przez mniejszości narodowe i etniczne odbywało się głównie w sferze prywatnej, często pod opieką Kościoła. To Kościół katolicki i duchowieństwo było ostoją i miejscem uzewnętrzniania tożsamości narodowych i etnicznych. Światem publicznym była polska kultura narodowa, której hegemonii nie mogły zakłócić w najmniejszym stopniu kultury mniejszości narodowych. Dopiero wejście Polski na drogę wolności i demokracji stworzyło atmosferę pluralizmu kulturowego, którego rezultatem jest dzisiejsza wielokulturowość. Górny Śląsk ewoluował od stanu zróżnicowania kulturowego poprzez pluralizm kulturowy do stanu wielokulturowości. To faza obiektywnej i publicznej działalności na rzecz zachowania tożsamości etnicznej i narodowej.

Region śląski stał się terenem kontaktu różnych kultur otwarcie manifestowanych przez mniejszości narodowe i etniczne. To kulturowe zróżnicowanie wpłynęło na ukształtowanie tożsamości regionu śląskiego. Łączy ona w sobie zarówno płaszczyzny tradycyjnego rozumienia tożsamości, jak i będące efektem współczesnych procesów globalnych, które coraz wyraźniej zmierzają do unieważnienia terytorium. Tożsamość regionu śląskiego to jego mieszkańcy, którzy swoją biografią tworzą specyfikę Śląska. Specyfika ta to przede wszystkim mniejszości narodowe zamieszkujące terytorium Górnego Śląska. Są to nade wszystko mniejszości niemiecka i śląska. Przedstawiciele pozostałych grup mniejszościowych nie stanowią znaczących społeczności, chociaż wymienić należy przedstawicieli mniejszości czeskiej, romskiej czy żydowskiej.

Kreśląc górnośląski pejzaż, którego widocznymi elementami są przede wszystkim mniejszości śląska i niemiecka ważnym staje się ich kulturowe i społeczne miejsce, które w znaczącym stopniu jest rezultatem obowiązującej w Polsce od roku 2005 ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych, oraz o języku regionalnym. Zgodnie z ustawą zabrania się stosowania środków mających na celu asymilację osób należących do mniejszości, jeśli środki te byłyby stosowane wbrew ich woli. Alternatywą jest wielokulturowość, czyli akceptacja kulturowej różnorodności, której tragarzami są przedstawiciele mniejszości narodowych i etnicznych.

Silesia Superior: wspólnota poróżniona czy zróżnicowana?

Skomplikowane dzieje regionu śląskiego w sposób nader wyraźny wpłynęły na kształtowanie się tożsamości jego mieszkańców. Problem ten wypłynął ze szczególną siłą

wraz z początkiem polskiej transformacji. Odradzanie się śląskiej tożsamości po okresie realnego socjalizmu przyjęło zarówno wymiar publiczny czyli instytucjonalny, jak i prywatny. W publicznym dyskursie głos zabrali przedstawiciele świata nauki i kultury, polityki i lokalni działacze. Toczące się spory wokół śląskiej narodowości i tożsamości wywołały spory wśród samych Ślązaków. Nie wszyscy z entuzjazmem przyjęli powstanie dwóch organizacji, których przywódcy zażądali odnowienia śląskiej autonomii. Jej fundamentem jest powtarzający się mit o śląskiej krzywdzie, kolonialnym traktowaniu regionu, trwałym etosie pracy i kulturowej odrębności.

Po roku 1989 dyskusje na temat tożsamości Śląska i regionalizmu radykalizowały się a dysputy o silnym poczuciu historycznej i kulturowej odrębności stworzyły grunt dla odrodzenia się lub powstania instytucji zarówno o charakterze kulturowym, jak i o charakterze politycznym. Wśród tych drugich ważną rolę odgrywają Ruch Autonomii Śląska i bardziej radykalny w swoich działaniach oraz oświadczeniach Związek Ludności Narodowości Śląskiej. Działalność obu tych organizacji wzbudza wiele kontrowersji przede wszystkim ze względu na dążność do legalnej rejestracji Śląskiego Narodu, który stanowiąby autonomiczny i samoistny byt społeczny, ulokowany wszakże w granicach politycznych państwa polskiego. Należy także pamiętać o Związku Górnośląskim, który powstał w roku 1989 i nawiązuje do idei Wielkiego Śląska. Do swoich członków kieruje między innymi następujące słowa: [...] kto czuje się uczuciowo związany z Górnym Śląskiem i traktuje ten region jako miejsce życia dla siebie, swoich dzieci i przyszłych pokoleń. A u podłoża Związku leży [...] zamiar obrony wartości kulturowych i cywilizacyjnych Górnego Śląska, powstałych na gruncie chrześcijańskim.

Kształtowanie się tożsamości regionu śląskiego to proces stały, który dzisiaj przeżywa swój wyrazny renesans. Tożsamość Śląska i jego mieszkańców to rezultat historycznie wpisanych mniejszości narodowych i etnicznych, które współcześnie wzmacniane są kulturową różnorodnością ulic miast śląskich. W ich przestrzeni organizowane są festiwale lokalnej kultury czy imprezy, które silnie akcentują historyczny i współczesny charakter Śląska. Kultura śląska będąca fundamentem śląskiej tożsamości objawia się poprzez rozmaite obrazy. Najważniejszym jest szeroko pojmowana kultura popularna. Są to wszelkiego rodzaju festyny, śląskie biesiady, kulturowanie zwyczajów i lokalnych uroczystości, jak chociażby odpusty. Ślązacy kultywują własną kuchnię, jak również śląską muzykę prezentowaną najczęściej poprzez „śląskie szlagiery”. Odrębnym elementem śląskiej tożsamości pozostaje gwara, która

odegrała najistotniejszą rolę w okresie prób wykorzenienia kultury śląskiej. Ważnym elementem śląskiej tożsamości pozostają kontakty i więzi zarówno rodzinne, jak i sąsiedzkie. To w obrębie tych światów śląska gwara jest szczególnie pielęgnowana stając się językiem śląskich rodzin. Ta rodzinna wspólnotowość kształtuje świadomość własnych korzeni i przywiązania do przodków co w znacznej mierze stało się motywem deklaracji śląskiej narodowości w 2002 roku oraz chęci uznania gwary śląskiej za odrębny język Ślązaków.

Równocześnie musimy pamiętać, że daleko idącej modyfikacji uległ czynnik wspólnego gospodarowania. Kiedyś był to świat tradycyjnego przemysłu, kopalni i hut i wszystkiego co wiązało się z wydobywaniem węgla czy odlewaniem stali. Dzisiaj kopalnie szyby coraz częściej są zastępowane nowoczesnymi instytucjami i firmami a drogowa i mieszkaniowa infrastruktura zyskuje bardziej nowoczesne oblicze. We współczesnym świecie wartym podkreślenia jest także fakt istnienia śląskiej wspólnoty w świecie wirtualnym. Strony Ślązaków powstają nie tylko w Polsce czy Niemczech ale w wielu krajach gdzie przed wieloma laty wyemigrowała ludność z regionu śląskiego. Obraz śląskiej tożsamości zawiera zatem w sobie zarówno elementy tradycyjnych płaszczyzn wyznaczających tożsamość regionalną, jak i elementy podkreślające rolę nowoczesnych technologii. Ślązacy stają się więc wspólnotą wyobrażoną ze względu na poczucie regionalnej odrębności i własnej tożsamości. Łączy ich przede wszystkim wspólnota ducha i wspólnie podzielana sfera symboliczna. Na znaczeniu traci tymczasem wspólna realna przestrzeń zamieszkiwania, wspólne terytorium.

Tożsamość górnośląską charakteryzuje kilka podstawowych cech. Z jednej bowiem strony wpływa na jej trwanie tradycja regionalna obecna w pokoleniach najstarszych i podlegająca erozji w grupach najmłodszych mieszkańców, z drugiej zaś widać wyraźnie wewnątrzregionalne zróżnicowania i konflikty. Wynikają one z odmiennej oceny przeszłości i zróżnicowanych projekcji co do przyszłego kształtu politycznego, kulturowego, społecznego i gospodarczego regionu. Czy ma być on obszarem z nadaną autonomią, nawiązującą do okresu międzywojnia, czy regionem wpisanym do unitarnej państwa? Na te debaty nakładają się podziały administracyjne przeprowadzone w 1999 roku, kiedy to w granicach województwa śląskiego znalazły się zgola nieśląskie subregiony. Wszystko to sprawia, że badacz dynamiki tożsamości bez trudu znajdzie elementy wspólnotowe, ale również bez wysiłku dostrzeże zróżnicowania i ostre, często, podziały wewnątrzwojewódzkie.

Konferencja „Górnictwo 2010” Węgiel na parkiecie

Henryk Kocot

Polskie „czarne złoto” – węgiel, było wiodącym tematem konferencji „Górnictwo 2010”, która odbyła się w Katowicach, 15 października. Jej organizatorem było Polskie Towarzystwo Wspierania Przedsiębiorczości oraz miesięcznik gospodarczy „Nowy Przemysł”.

Obserwując tendencje światowego rynku wydobywczego tego surowca, okazuje się, iż węgiel z roku na rok staje się coraz cenniejszym surowcem. Po ubiegłorocznym kryzysie polskie kopalnie z mozołem odbijają się od dna. Wiele czynników wskazuje na to, iż górnictwo przyniesie w bieżącym roku ok. 1 miliarda zł dochodu. Podobna sytuacja była w 2005 roku. Właśnie wtedy po raz pierwszy przymierzano się do debiutu na Giełdzie Papierów Wartościowych. Niestety, stanęło wówczas tylko na przymiarkach. Tylko lubelska kopalnia „Bogdanka” notowana jest na parkiecie. Śląskie kopalnie czekają na swoją okazję, która właśnie się nadarza.

Jak stwierdził Jarosław Zagórski, prezes Jastrzębskiej Spółki Węglowej, warunki do debiutu na GPW są sprzyjające i należy je wykorzystać. Wszystkie firmy górnicze, by utrzymać wydobywanie, nawet na tegorocznym poziomie zysku – 1 mld zł, potrzebują pieniędzy na inwestycje, bez których znowu popadną w recesję. Według danych szacunkowych do 2015 roku na nowe pokłady węgla, nowe maszyny i urządzenia

oraz konsolidację kopalń potrzeba będzie ok. 15 mld zł. Przy braku finansowania zewnętrznego oraz ponoszenia nakładów amortyzacyjnych, kopalnie z konieczności muszą zaciągać zobowiązania, a te – jak wiemy – trzeba później spłacać. Dlatego pieniądze uzyskane z giełdy pozwolą używać takie środki.

Z kolei Jerzy Podsiadło, prezes zarządu Węgłokoks podkreślił, iż w tym roku Polska wyeksportuje ponad 10 mln ton węgla, czyli więcej niż zakładano. Niestety, daleko jeszcze do tłustych lat eksportowych. Złożyło się na to wiele czynników, m.in. osłabienie złotówki w stosunku do euro i dolara oraz – co najważniejsze – ogromny popyt na węgiel w Chinach i Indiach. Zauważył także, iż w bieżącym roku dojdzie do zrównoważenia bilansu w eksporcie i imporcie czarnego surowca.

Od czego trzeba zacząć, by polskie górnictwo ponownie znalazło się na topie? Odpowiedzi na to pytanie udzieliła nam biorąca udział w konferencji, wiceminister gospodarki, Joanna Strzelec-Łobodzińska: Górnictwo należy restrukturyzować i musi to być proces ciągły. Prywatyzacja firm branży górniczej pozwoli w końcu zadebiutować im na GPW. Największe szansa wejście na parkiet ma JSW i główny eksporter krajowego węgla – katowicki Węgłokoks.

Joanna Strzelec-Łobodzińska, wiceminister gospodarki. Fot. K. Kocot



Krótką historia telefonii komórkowej

Tadeusz Kowal

Próby stworzenia telefonii komórkowej podejmowano w latach 40. i 50. ubiegłego wieku. Pierwszy prototyp telefonu komórkowego wykonała w 1956 roku szwedzka firma Ericsson. Ważył on niespełna 40 kg, a kształtem przypominał walizkę. Telefon ten kosztował tyle samo, co samochód. Pierwsza sieć telefonii komórkowej powstała w Sztokholmie, miała mały zasięg działania, ok. 30 km i posiadała 100 abonentów. W miarę postępu technicznego (technologicznego) zarówno wymiary jak i ceny telefonów komórkowych ulegały znacznemu obniżaniu, a sieć telefoniczna sukcesywnie zwiększała swój zasięg.

3 kwietnia 1973 roku w Nowym Jorku firma Motorola wprowadziła do obrotu swój pierwszy telefon komórkowy Dyna TAC (DYNAMIC Adaptive Total Area Coverage). Telefon ten ważył już 0,8 kg i miał wymiary cegły. 16 września 1975 r. opublikowano amerykańskie zgłoszenie patentowe US 3,906,166 firmy Motorola pod tytułem „Radio telephone system”. 21 sierpnia 1983 roku Federalna Komisja Łączności dopuściła na rynek Dyna TAC 8000X. Natomiast 3 grudnia 1992 roku wysłano po raz pierwszy wiadomość SMS.

Telefon komórkowy – to rodzaj aparatu telefonicznego przenośnego, komunikującego się z siecią przy użyciu fal radiowych (zasadniczo w zakresie mikrofal). W technologii sieci komórkowych słowo „komórka” oznacza obszar zasięgu pojedynczej stacji przekątnikowej – obsługa telefonu jest automatycznie przekazywana z jednej komórki do następnej w trakcie przemieszczania się osoby używającej telefonu komórkowego. Jest rozwinięciem lekkiego, ręcznego radiotelefonu. Współczesny telefon komórkowy, oprócz realizowania podstawowych funkcji prowadzenia rozmowy, z reguły jest wyposażony w wiele dodatkowych opcji, m. in.:

- wykorzystuje właściwości sieci (np. SMS lub ich rozwinięcie takie jak EMS, MMS, cyfrowa transmisja danych),
- opierają się na dodatkowym oprogramowaniu, np. budzik, notes, organizator, kalkulator,
- posiada dodatkowe, wbudowane urządzenia, np. dyktafon, radio, odtwarzacz MP3, GPS, kamera czy aparat fotograficzny (aparaty pracujące w technologii 3G oferują możliwość prowadzenia telekonferencji),

- łączą z Internetem,
- mają własne gry,
- niektóre typy posiadają możliwość obsługi dwóch kart SIM jednocześnie.

W telefonie komórkowym najczęściej istnieją trzy warstwy oprogramowania:

System operacyjny – telefony pracują pod kontrolą systemu operacyjnego, np. Android, Symbian, Linux, Maemo, iPhone OS, Microsoft Windows Mobile, Nucleus, REX, OSE, Brew Mobile Platform.

System operacyjny jest odpowiedzialny za zarządzanie pamięcią, wątkami, komunikacją z warstwą sprzętową.

Platforma

Na systemie operacyjnym zazwyczaj działa platforma, która ułatwia szybkie tworzenie oprogramowania na telefony i posiada wiele podstawowych funkcji telefonu.

Są to Np.:

- MOTOMAGX (firmy Motorola; oparta o system Linux),
- MontaVista (firmy Motorola, oparta o system Linux),
- Series 60 (firmy Nokia; dostosowana do systemu operacyjnego Symbian),
- UIQ (firmy UIQ; dostosowane do systemu operacyjnego Symbian),
- APOX (firmy Infineon; umożliwia stosowanie wielu systemów operacyjnych),
- BREW (firmy Qualcomm; dla systemu operacyjnego REX),
- Android (otwarta platforma stworzona pod przewodnictwem Google; oparta na systemie operacyjnym Linux),
- Bada OS (firmy Samsung Elektronics).

Oprogramowanie telefonu

Jest to warstwa tworzona przez producenta indywidualnie dla każdego telefonu i odróżniająca go od innych telefonów. Producent często tworzy „łaty” do oprogramowania i umieszcza je na swojej stronie internetowej. Należy je wówczas pobrać i wgrać w telefon.

Warstwa oprogramowania

Warstwa dodatkowych aplikacji, które użytkownik może samodzielnie tworzyć, wgrywać oraz kasować.

Dzięki możliwości wykorzystania języka programowania Java firmy Sun istnieje możliwość tworzenia aplikacji dla telefonów komórkowych. Dla telefonów nowszych generacji udostępnione są środowiska deweloperskie (np. dla systemów Symbian, Linux), które umożliwiają tworzenie aplikacji bezpośrednio na platformę systemową obsługującą dany telefon.

Ze względu na obudowę telefony komórkowe dzielimy na:

- brick lub candybar (ang. „cegła” lub „batonik”) – standardowy telefon bez części ruchomych (np. Sony Ericsson K750i),
- clamshell – telefon z klapką (np. Sony Ericsson W300i),
- slider – telefon rozsuwany (np. Nokia

5200),

- swivel – telefon obrotowy (np. Sony Ericsson W550i),
- touchscreen – telefon dotykowy (np. iPhone),

Do telefonów stosuje się różnego rodzaju karty pamięci typu Flash EEPROM, m.in. Memory Stick, MultiMedia Card, Secure Digital.

Telefon o rozbudowanych funkcjach organizera i przeglądarki, zawierający arkusz kalkulacyjny itp. nazywa się smartphonem.

W Polsce pierwszym operatorem telefonii komórkowej systemu NMT (Nordic Mobile Telephone) została PTK Centertel Sp. z o.o., która powstała w grudniu 1991 roku.

NMT450i to analogowy system radiokomunikacji ruchomej, należący do rodziny systemów telefonii komórkowej pierwszej generacji. Początkowo stosowany jedynie w krajach skandynawskich. Pierwotnie był przystosowany do pracy w paśmie 450 MHz. Wersja NMTi systemu NMT także pracuje w paśmie 450 MHz, posiada jednak wiele unowocześnień pochodzących z wersji NMT-900. Sieć PTK Centertel została uruchomiona w rekordowym wówczas w Europie czasie – 18 czerwca 1992 roku.

GSM (ang. Global System for Mobile Communications) – najbardziej popularny standard telefonii komórkowej, nazywany także DCS – Digital Communications System – standard GSM, w którym transmisja mowy i danych może odbywać się w paśmie częstotliwości 1710–1880 MHz. Jest on drugim po GSM-900 najbardziej rozpowszechnionym standardem GSM na świecie. Obecnie używany jest w większości państw europejskich, azjatyckich, afrykańskich, w Australii i Oceanii oraz w niektórych krajach Ameryki Południowej i Środkowej.

Pracująca w cyfrowym systemie GSM 1800 sieć Idea Centertel została uruchomiona 1 marca 1998 roku. Dwa lata później, 1 marca 2000 roku, po uzyskaniu koncesji GSM-900 stała się siecią dwuzakresową GSM 900/1800, działającą pod nazwą Idea. W grudniu 2000 roku PTK Centertel uzyskał koncesję na budowę sieci telefonii komórkowej trzeciej generacji UMTS.

Pojawiają się nowi operatorzy komórkowi, powstaje rynek operatorów komórkowych. Powstają sieci Plus GSM, Era GSM i Play.

We wrześniu 2005 roku nastąpiła zmiana nazwy handlowej operatora PTK Centertel (ang. rebranding), w wyniku którego w miejsce marki Idea została wprowadzona marka Orange.

26 października 2005 r. Telekomunikacja Polska wykupiła od France Telecom 34% udziału w spółce i niniejszym stała się wyłącznym właścicielem PTK.

Rynek telefonów komórkowych dynamicznie się rozwija, rośnie liczba abonentów.

Z badań przeprowadzonych w Polsce w 2006 roku, penetracja telefonii komórkowej – czyli stosunek aktywnych kart SIM do liczby mieszkańców, wynosiła 96,27% (średnio w pozostałych krajach UE wynosiła w 2006 roku 107,4%).

Do końca 2009 roku penetracja telefonii komórkowej wzrosła według danych GUS do 117,76%. Po czwartym kwartale 2009 roku w Polsce działało 44,9602 mln kart SIM.

Pierwszy telefon komórkowy Dyna TAC firmy Motorola.



Nowa wizytówka regionu Zabytki po liftingu

Paweł Sarna



W 2006 roku powstał Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego, który łączy różne miejsca regionu zarówno w sensie przestrzennym, jak i kulturowym, pokazując jego olbrzymie bogactwo oraz zróżnicowanie. W październiku tego roku do ponad trzydziestu zabytków znajdujących się do tej pory na Szlaku dołączyło sześć nowych, z czego trzy stanowią obiekty z Zagłębia Dąbrowskiego

Archeologia przemysłowa – coś dla odkrywców

Turystyka przemysłowa jest dzisiaj bardzo modna i – nie ukrywajmy! – bardzo dochodowa, choć wymaga też sporych nakładów. Pierwsi byli Brytyjczycy, którzy uznali, że niszczące dotąd, niechciane perły techniki nie muszą być problemem, a wręcz przeciwnie, można na nich zarobić. Trzeba tylko najpierw zainwestować. Za ich przykładem poszli inni. Przede wszystkim w Europie Zachodniej i USA, także w Australii, tak zwana archeologia industrialna rozwija się coraz prężniej.

Nigdzie w Polsce nie ma tak wielu różnego rodzaju interesujących obiektów jak w naszym regionie – kopalnie, fabryki, ale także osiedla robotnicze (jak na przykład Nikiszowiec, zabytek, powstały w latach 1908–1924, coraz lepiej znany poza granicami regionu – w tej scenarii kręcił swoje filmy Kazimierz Kutz, tutaj wykonano większość ujęć „Angelusa” Lecha Majewskiego). Wraz z dymiącymi hałdami, kopalnianymi szybami, kominami fabrycznymi, tymi elementami, które tak naprawdę znikły już z tutejszego krajobrazu, w niepamięć odchodzą utrwalone skojarzenia Śląska i Zagłębia. Jest to także problem, bo bezpowrotnie giną obiekty, często unikatowe w skali światowej. Zainteresowanie turystów i mieszkańców archeologią industrialną może być dla wielu z nich ratunkiem. Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego świetnie wpisuje się w te tendencje.

Czym jest Szlak Zabytków Techniki? Jest to projekt realizowany przez Wydział Promocji Regionu, Turystyki i Sportu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. W procesie jego tworzenia uczestniczyły także Śląskie Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach oraz Śląska Organizacja Turystyczna. Jak można przeczytać na

oficjalnej stronie (www.zabytkitechniki.pl): Docelowo Szlak Zabytków Techniki ma stać się najbardziej interesującą trasą turystyki industrialnej w kraju i jako jeden z głównych markowych produktów turystycznych województwa śląskiego charakteryzować region na turystycznej mapie Polski i Europy.

Obiekty znajdujące się na Szlaku corocznie odwiedza ponad pół miliona turystów, a sam Szlak uhonorowany został wieloma prestiżowymi nagrodami. W 2007 roku nagrodzono go Certyfikatem Polskiej Organizacji Turystycznej, a w 2008 roku przyznanym po raz pierwszy Złotym Certyfikatem Polskiej Organizacji Turystycznej. Na początku 2010 roku został włączony do Europejskiego Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego (ERIH). Czy jest szansa, że Szlak stanie się nową wizytówką województwa? – To już jest taka nowa wizytówka. To najciekawsza trasa turystyki industrialnej w Polsce, produkt, który mocno wyróżnia region, element nowej tożsamości – mówi A. Hajduga, Zastępca Dyrektora Wydziału Promocji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego.

Nasza wielka czwórka

DWORZEC KOLEJOWY W SO-SNOWCU znajdujący się w centrum miasta przy ul. 3 Maja był do niedawna jedynym obiektem z terenu Zagłębia Dąbrowskiego na Szlaku Zabytków Techniki. Powstał jako stacja odnogi ząbkowicko-katowickiej Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Neoklasycystyczny budynek dworca, wzorowany na budynku Dworca Wiedeńskiego w Warszawie, pochodzi z 1859 roku. W pobliżu znajduje się kościół „kolejowy” i cerkiew prawosławna. Na przełomie lat 60. i 70. XX wieku znacząco go przebudowano, kolejne zmiany nastąpiły

w latach 1997–2002.

W październiku tego roku do obiektów znajdujących się dotychczas na trasie dodano sześć kolejnych, które uznano za najlepiej spełniające oczekiwania co do wartości historycznej, stanu zachowania, a także dostępności turystycznej w tym istniejącej infrastruktury. Oficjalne ich przedstawienie, wręczenie certyfikatów przynależności do Szlaku Zabytków Techniki odbyło się 4 listopada podczas konferencji w hotelu Angelo w Katowicach.

Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi, Kopalnia Ćwiczebna Muzeum Miejskiego „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej oraz Huta Szkła „Zawiercie” w Zawierciu – to zabytki zagłębiowskie, które znalazły się na Szlaku.

KOPALNIA ĆWICZEBNA MUZEUM MIEJSKIEGO „SZTYGARKA” W DĄBROWIE GÓRNICZEJ powstała w 1927 roku jako obiekt szkoleniowy Państwowej Szkoły Górniczej i Hutniczej im. Stanisława Staszica. Odbywały się tu zajęcia geologii oraz miernictwa podziemnego dla przyszłych sztygarów. Składa się ona z wyrobisk zlokalizowanych na trzech poziomach połączonych pochylniami. W zabytkowych wyrobiskach, których łączna długość wynosi 800 m, eksponowane są maszyny i urządzenia górnicze używane w drugiej połowie ubiegłego wieku, wśród nich m.in. agregaty, drzewiarki, wozy dostawcze, kombajn węglowy. Od zamknięcia kopalni „Paryż” w 1995 roku jest jedynym miejscem w Dąbrowie Górniczej, gdzie młodzież może się zapoznać z tradycjami górniczymi i zobaczyć, jak wyglądała praca pod ziemią. Warto przypomnieć, że w plebiscycie „Perły w Koronie Województwa Śląskiego 2010” Kopalnia Ćwiczebna zajęła 6 miejsce. Na ten temat pisaliśmy w poprzednim numerze czasopisma.

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA” W CZELADZI (ul. Dehnelów, teren kopalni „Saturn”). Elektrownia była czynna jeszcze do połowy lat 90. XX wieku. Zbudowana została w XIX wieku przez księcia Hugo von Hohenlohe, była częścią majątku



Certyfikaty przynależności do SZT. Fot. N. Wójcik

Towarzystwa Górniczo-Przemysłowego „Saturn”. Do świetności doprowadzili ją Karol Wilhelm II Scheibler i Alfred Biedermann, czyli „królowie łódzkiej bawełny”. Galeria w dawnej elektrowni działa od września 2005 roku, w jej wnętrzach prezentowane są m.in. wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby czy fotografii.

HUTA SZKŁA „ZAWIERCIE”
W ZAWIERCIU działa od 1884 roku, jest jednym z najbardziej znanych i cenionych polskich producentów szkła kryształowego. Jej początki zakładu wiążą się z nazwiskiem właściciela ziemskiego Andrzeja Chmielewskiego, który w latach 70. XIX w., w swoim majątku rozpoczął produkcję szkła użytkowego. W 1884 roku firma „S. Reich i Spółka” przejęła i rozbudowała zakład. W 1900 roku powstało Towarzystwo Akcyjne „Fabryki Szkła w Zawierciu”. W czasie I wojny światowej z powodu rabunkowej gospodarki nie prowadziła działalności ale wznowiła ją po jej zakończeniu, nie przerywając produkcji podczas kolejnej wojny. Okres powojenny wiąże się z jej nacjonalizacją. W 1998 roku hutę przekształcono z przedsiębiorstwa państwowego w spółkę akcyjną. Po okresie upadłości znaleźli się nowi inwestorzy. Zwiedzający mogą zobaczyć pracę zakładu i bieżącą produkcję wyrobów kryształowych, dostępna jest także ekspozycja muzealna przedstawiająca zabytki z minionych lat.

Organizatorzy SZT zapewniają wsparcie promocyjne, szkolenia oraz warsztaty. Na promocję od 2006 roku wydano ponad 5 mln złotych w tym na imprezę o nazwie Święto Szlaku Zabytków Techniki, czyli Industriada 2,5

mln, do tego trzeba dodać sumy, które były wydatkowane przez właścicieli poszczególnych obiektów oraz samorządy. Samo dołączenie wiąże się oczywiście z kosztami po stronie starającego się – najpierw trzeba wydać około 10 tys. zł (koszty tablic informacyjnych, znaków dojazdowych, wydawnictw promocyjnych, strony internetowej). Projekt jest przewidziany jako dodatkowa motywacja dla tych, którym już się udało.

Zagłębiowski szlak – tak!

Czy jeszcze jakieś obiekty z Zagłębia Dąbrowskiego mają szansę na dołączenie do Szlaku w najbliższym czasie? Czy trzy nowe obiekty na Szlaku będą dobrym przykładem dla innych? Jak wyjaśnia A. Hajduga, nowe obiekty w ciągu 2–3 lat nie pojawią się na szlaku, możliwe, że spośród znajdujących się, te które nie będą zwiedzane lub nie będą spełniały wymogów, zostaną usunięte. W 2010 roku skreślone zostały dwa. – Będziemy też chcieli wyłonić „gwiazdy techniki”, które byłyby centrami informacji. W każdym z nich można będzie się dowiedzieć wszystkiego o wszystkich innych. Wymaga to kooperacji – mówi A. Hajduga.

Mniej więcej rok temu nie tylko w mediach sporo można było przeczytać o planach powstania Zagłębiowskiego Szlaku Zabytków Techniki. Starostwo Powiatowe w Będzinie wskazało 35 obiektów. Na podstawie tych materiałów przy współpracy z zagłębiowskimi organizacjami pozarządowymi dokładniejszy projekt opracował Dariusz Walerjański, Dyrektor Międzynarodowego Centrum Dokumentacji i Badań nad Dziedzictwem

Przemysłowym dla Turystyki w Zabrzu. Szlak miałby być uzupełnieniem w skali lokalnej dla projektu wojewódzkiego. A może także konkurencją?

Wydział Promocji Urzędu Marszałkowskiego nie tylko przychylnie patrzy na takie starania, ale zachęca do nich, zapewniając o współpracy.

Gorąco kibicujemy tej i podobnym inicjatywom, będziemy kontynuowali temat na naszych łamach.

Przedstawicielom trzech instytucji, których obiekty znalazły się na Szlaku Zabytków Techniki, zadaliśmy następujące pytania:

1 Skąd wziął się pomysł dołączenia obiektu do Szlaku Zabytków Techniki – czy było jakieś zaproszenie, czy była to inicjatywa własna?

2 Jak wyglądały starania o dołączenie? Co stanowiło największe trudności?

3 Jakiego wsparcia udzielono projektowi i kto Państwa wspierał?

4 Jakich profitów można się spodziewać z dołączenia do Szlaku?

5 Czego życzy sobie Państwo w Nowym Roku?

Arkadiusz Rybak
dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka”

1. Była to inicjatywa własna, chociaż Kopalnia Ćwiczebna była weryfikowana kilka lat temu przy okazji tworzenia szlaku. Wtedy obiekt był zamknięty i odpadł. 2 lata temu zgłosiliśmy ponowny akces, który uzyskał poparcie dopiero w momencie otwarcia Kopalni do zwiedzania 2 stycznia 2010 roku. Braliśmy udział także w Industriadzie 2010 roku, co było dodatkowym atutem.

2. Starania to oczywiście podanie o przyjęcie oraz zapewnienie poparcia innych środowisk, np. Stowarzyszenie na Rzecz Zagłębia Dąbrowskiego, Starostwo Powiatowe Będzin, władze Dąbrowy Górniczej, parlamentarzyści. Najtrudniej było spełnić warunek otwarcia do zwiedzania. Trzeba było wykonać remont odwadniania i zasilania elektrycznego Kopalni, opracować instrukcje zwiedzania i wyznaczyć trasę.

3. Parlamentarzyści, stowarzyszenia, władze miasta Dąbrowy Górniczej. Starostwo będziński.

4. Objęcie Kopalni programem promocji szlaku (druk ulotek, mapek oraz tablic informacyjnych przy głównych drogach).

5. Jak największej liczby zwiedzających oraz wykonania planowanych



Wystawa malarstwa Lecha Kołodziejczyka w galerii „Elektrownia”. Fot. A. Ławrywianiec

inwestycji (izolacja wilgociowa wyrobisk, wykonanie szybu wyjazdowego z Kopalni na terenie przy Muzeum).

Wiesława Konopelska – wiceprezes Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalnych w Czeladzi

1. W 2005 roku Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych podpisało porozumienie z Miastem Czeladź dotyczące sprawowania opieki merytorycznej nad obiektem zabytkowej elektrowni kopalni „Saturn”. Wtedy to w Urzędzie Marszałkowskim powstał zamysł utworzenia SZT. Oczywiście było, że podejmiemy starania, by elektrownia, w której rozpoczęła działalność galeria, znalazła się na mapie zabytków techniki

województwa śląskiego. W skali województwa, a raczej regionu śląskiego jest to unikat, związany z „prawdą i legendą” Reymontowskiej „Ziemi Obiecanej”, z właścicielami łódzkiej bawełny i fabryk włókienniczych. Porozumieliliśmy się w tej sprawie z Urzędem Marszałkowskim. Przez kolejne lata staraliśmy się, by w drugiej turze elektrownia „zasłużyła sobie” na wprowadzenie jej na szlak, podobnie jak blisko 30 obiektów wcześniej wytypowanych.

2. Działalność galerii nie była ukierunkowana na „bycie na szlaku”. Naszym głównym celem była i jest prezentacja sztuki – od sztuk pięknych, poprzez taniec, multimedia, a wszystko to na najwyższym poziomie. Systematycznie sygnalizowaliśmy nasze zainteresowa-



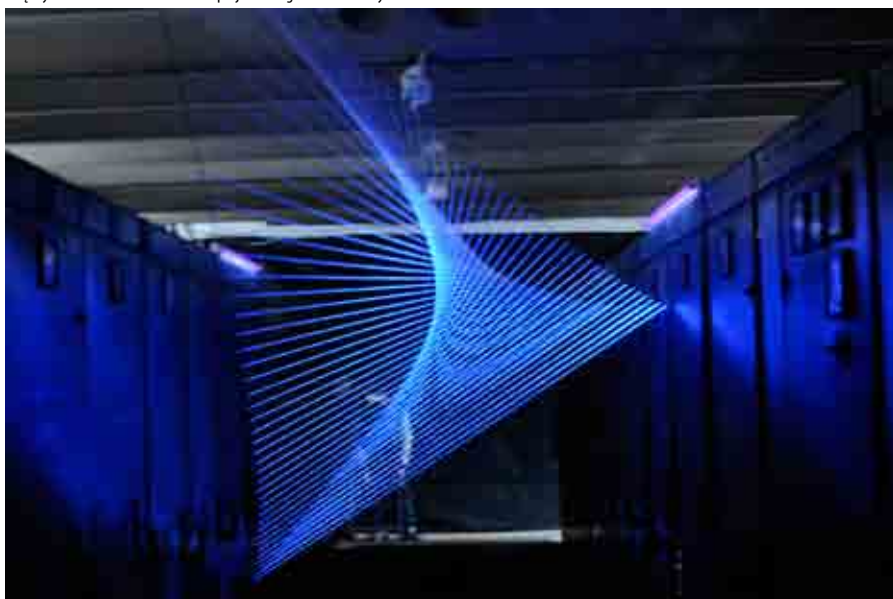
Zygmunt Brachmański Fot. arch. galerii „Elektrownia”

nie wejściem obiektu na STZ, bowiem „Elektrownia” to nie tylko galeria, ale również obiekt wyposażony w imponujące maszyny i urządzenia z początku XX wieku. Wyznajemy zasadę poznawania sztuki poprzez zainteresowanie techniką i odwrotnie – „wyznawcy” sztuki mogą poznać niezwykle urządzenia oraz historię nie tylko kopalni „Saturn”.

3. Wsparcia udziela przede wszystkim samorząd gminy Czeladź, starostwo powiatowe w Będzinie, ale pozyskujemy również finanse w konkursach Urzędu Marszałkowskiego oraz od sponsorów prywatnych. Jeśli chodzi o ocenę działalności galerii, mamy rekomendacje wielu znakomitych osobowości artystycznych (prof. Adama Romaniuka z ASP w Katowicach, Henryka Bzdoka i Adama Dutkiewicza – prezesa i wiceprezesa ZPAP, art. grafika Jerzego Beceli i innych). By jednak znaleźć się na STZ, należało pomyślnie „zaliczyć” audyt zewnętrzny. Ten audyt przeszliśmy – jak się okazało – pozytywnie. Jednym z atutów była nasza urozmaicona i systematycznie prowadzona na wysokim poziomie działalność.

4. „Bycie” na Szlaku to „samonapędzająca” się promocja prowadzona według reguł i zasad przyjętych przez urząd Marszałkowski i kampanię promocyjną z tym związaną. To także obowiązki związane z obsługą znacznie większej ilości odwiedzających (jak dotąd było to około 3 tys. rocznie). To zadania promocyjne i promujące STZ, które bierze na siebie „Elektrownia”. „Bycie” na szlaku dane jest tylko na 3 lata. Trzeba więc dużego

Międzynarodowe Triennale Grafiki – projekt Energia. Fot. A. Ławrywianiec





Galeria „Elektrownia”: wystawa rzeźby ślaskiej – Bronisław Chromy i Jerzy Fober. Fot. Z. Sawicz.



Hale Huty Szkła „Zawiercie”. Fot. arch. Huta Szkła „Zawiercie”



skupienia uwagi i sił, by kontynuować tę atrakcyjną formę istnienia galerii.

5. W Nowym Roku oczekujemy pozytywnych opinii związanych z przyznaniem funduszy europejskich na modernizację galerii, a także wraz z wigilijną gwiazdką na niebie chętnie wypatrzylibyśmy sponsora strategicznego naszej działalności. Pomysłów na działalność nam nie brakuje, bowiem mamy już szczegółowo zaplanowane następne 1,5 roku.

Jadwiga Rogielska – Huta Szkła Zawiercie Sp. z o.o.

1. Już 4 lata temu, kiedy tworząno szlak zabytków techniki, Wydział Rozwoju i Promocji miasta Zawiercie, zwrócił się do zarządu Huty z propozycją włączenia obiektu do Szlaku. Rozpoczęto wówczas przygotowania, ale upadłość huty przerwała ten proces. Kolejna szansa pojawiła się dopiero rok temu, kiedy huta zmieniła właściciela. Zgłoszono ponowny akces przystąpienia do Szlaku. Tym razem, po rocznych staraniach i pozytywnej weryfikacji, udało się włączyć hutę do SZT.

2. Poza przystosowaniem huty do zwiedzania, należało poprawić infrastrukturę i promocję obiektu. Odnowiono muzeum szkła, wzbogacając go o nową izbę prezentującą historię huty, uruchomiono punkt informacji turystycznej przy zakładowym sklepie z pamiątkami, zaprojektowano i wydrukowano ulotki promujące obiekt. Rozpoczęto również produkcję pamiątki z regionu – jakim jest kryształowy amonit. W czerwcu 2010 roku wraz z miastem huta zorganizowała w Zawierciu Industriadę – pierwsze święto SZT.

3. Cały projekt wspiera miasto. Sama huta jednak wiele zainwestowała w poprawę swojego wizerunku. Poza zaangażowaniem finansowym huty, również miasto wspomaga ten projekt.

4. Przede wszystkim to ogromny potencjał promocyjny, zarówno dla huty, jak i miasta. Wspólna promocja SZT daje szansę rozwoju atrakcji turystycznych w samym mieście. Realizacja projektu „Kryształowa Huta” wygeneruje nowe miejsca pracy, przyciągnie turystów do miasta, zwiększy popyt.

5. Realizacji projektu „Kryształowa Huta”, co związane jest z pozyskaniem środków na rewitalizację zabytkowego budynku. Mamy nadzieję, że takie środki uda się pozyskać i w przyszłym roku rozpocznie się interesująca inwestycja.

Górnnicze tradycje

Karczma piwna

Tekst i zdjęcia Henryk Kocot

Górnictwo daje się jedynie porównać z tymi zajęciami, których treścią jest codzienna walka z żywiołem. W górnictwym stanie pracować muszą ludzie twardzi, mocni moralnie, zdolni do zespołowego działania, kiedy trzeba najwyższego poświęcenia. Zjeżdżający w podziemia kopalniane górnik, zagrożony utratą życia, zawsze polecał się Bogu, swemu patronowi i św. Barbarze, patronce górnictwa, gdyż Barbara święta o górnictwach pamięta.

Jeszcze kilkanaście lat temu w Zagłębiu fedrowało 11 kopalń. Dziś węgiel wydobywa się tylko w kopalni „Kazimierz – Juliusz” w Sosnowcu. I właśnie tylko jej załoga pielęgnuje jeszcze z pieczołowitością górnictwo tradycje. Do jednej z nich należą Zebrania Zacnych Gwarków, pospolicie zwane karczmą piwną. Aby zrozumieć ich sens, trzeba przybliżyć historyczny rodowód piwnych biesiad.

W starych ośrodkach górnictwa kopalnicze mieli swoje stałe miejsce zebrania. Służyły do tego celu gospody. Już w XIII wieku w złotonośnym zagłębiu istniało bractwo Srebrnego Kiołka mające swój dom we Lwówku. Tam spędzano czas wolny nad kufelkiem piwa, przy pogawędkach i żartobliwych opowieściach. Podobne gospody istniały w Olkuszu, Bochni i Wieliczce. Ostatnie miasto zasłużyło sobie na osobliwą tradycję. Zabawy urządzało tu w podziemiach. Raz do roku na owe biesiady zjeżdżała Jego Królewska Mość wraz z miłośniczką panującą małżonką.

Chociaż później skasowano zwyczaj wydawania obiadów z kuchni przy żupie, długo jeszcze ostała się tradycja bezpłatnego wydawania piwa. I to w całkiem niemałych ilościach. Przywileje królewskie przewidywały dawkę ok. 1 litra dziennie. Kwartę piwa do obiadu i wieczerzy otrzymywali także pensjonariusze szpitali górnictwa.

Król Zygmunt I zmienił ten obyczaj, ku ubolewaniu samych zainteresowanych. Odtąd dostawali piwo tylko cztery razy do roku – na św. Michała, Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świąta. Jak się okazuje decyzja królewska miała swoją głębszą motywację. Kopalnicze mając łatwy dostęp do trunków, poczęli ich wyraźnie nadużywać. Osobliwie z piwem połączono uroczystość górnictwa czyli obchodzenie święta Barbary.

Prócz wursztu (kielbasy), zymły (bulek) dostawali górnicy obowiązkowo „cztery srogię piwa”. Zbierali się wspólnie, śpiewali, gwarzyli i prawili wice.

Mylili się każdy uważając Zebranie Gwarków, iż jest ono knajpą piwną. Otóż gromadzą się na tym osobliwym forum wyłącznie panowie, bowiem często pikantny, a nawet sprośny żart nie uchodzi uszom niewiasty. Fuchrowie, czyli uczestnicy zaproszeni na biesiadę mogą sobie poczytać za nie lada wyróżnienie. Tym większy zaszczyt, iż biesiadują wspólnie ze starymi strzechami. I jak dawniej należy zachować pewne formy szacunku i dystansu wobec starszych, ich wieku, zasług i doświadczenia. Mile widziane są zdrowa satyra i cięty dowcip. Karczma to społeczność dobrze zorganizowana i wysoce zdyscyplinowana. Władzę absolutną stanowi Wysokie i w Sprawach Piwnych Nigdy Nieomylnie Prezydium. Wybierane jest ono w części nieoficjalnej przez aklamację pieśni „Wstępuj – wstępuj Prezesie mój”.

Uczestnicy biesiady podzieleni są na dwie odrębne Tablice Piwne, z których jedna nosi nazwę Tablicy Wyższej, druga zaś Tablicy Niższej. Władzę nad nimi sprawują Kontrapunkty, powoływani przez Wysokie Prezydium, bądź pieśnią przez uczestników zebrania. Ponadto powołuje



**ŚWIĘTA BARBARA PATRONKA
GÓRNICZEGO STANU**

się Kantorów, oddzielnie dla obu Tablic. Troszczą się oni by pieśń towarzyszyła zgromadzonemu przez całe spotkanie, by była przedmiotem rywalizacji obu tablic. Zadaniem Wysokiego Prezydium jest ocena wzajemnych wysiłków, czyli kto lepiej wykona pieśń. Stosowany jest tu system kar i nagród, tak zbiorowych jak i indywidualnych.

Członek Tablicy Piwnej może poprosić o głos. Ma do tego prawo, co nie oznacza, iż zawsze bywa do niego dopuszczony. Samowolne zabieranie głosu bądź gadulstwo, bywa z reguły surowo karane. Kary bywają różne. Na przykład może to być wypicie





kufla wody z mydłem, kufla rycyny lub wywaru z moczu prezesa, zakucie w dyby lub zesłanie do ustawionej w rogu Sali „wygódki”, czyli zasrania piwnego, gdzie delikwent o suchej gębie przebywać musi. Niekiedy do wymierzenia kar prezes powołuje swoją gwardię przyboczną, która polecenie ukarania niesforne go gwarka z lubością wykonuje. Karą ostateczną jest wykluczenie z zebrania.

Jednak prezes głównie wynagradza. Nagradza za dobrze wykonaną pieśń przez tablicę, za dobry i cięty dowcip bądź za wygrany konkurs. Jednym z najwyższych wyróżnień jest uściśnięcie dłoni prezesa, chociaż i tu trzeba uważać, czy prezes nie ma ukrytej w dłoni drucianej szczotki.

Prosząc o głos, członek Tablicy zwraca się każdorazowo do swego Kontrapunkta

w formie „Rogo vocem pro me” (proszę o głos dla mnie). Z kolei prośbę tę Kontrapunkt może (choć nie musi) wnieść do Wysokiego Prezydium, które postanowieniem „Habeas” (udzielam) lub „Non habeas” (nie zezwala) dopuszcza do głosu lub nie. Bardziej rygorystyczną formą zakazu jest zwrot „Non Habeas Sedeas an magnas” (nie zezwala, siedź na dupie).

Program zebrania obejmuje część oficjalną i część nieoficjalną. Pierwsza ma charakter poważny choć dopuszcza pieśni, jak i niefrywolne dowcipy. Odbывается tutaj też tradycyjny skok przez skórę – przyjęcie do górniczego stanu. Natomiast część nieoficjalna stanowi konglomerat dowcipu, krasomówstwa, satyry, wiązanych pieśni, często pikantnych żarcików i mocno frywolnych przyśpiewek.



Przez cały czas karczmy trwają konkursy. Decydującym konkursem w rywalizacji obu tablic jest główny konkurs picia piwa. Wytypowani przez kontrapunktów gwarkowie stają do siebie plecami i na dany znak wypijają na czas duży dzban piwa bez odrywania ust od dzbana. Nagrodą za to jest medal starego pijaka. Zwycięzca ponadto okrutnym mirem pośród gwarków się cieszy.

Uczestnicy, którzy pierwszy raz biorą udział w takim spotkaniu przechodzą chrzest piwny polegający na zdaniu egzaminu z zadawanych przez prezesa i kontrapunktów różnych podchwytliwych pytań, a następnie „zmyciu głowy” obfitym



kwantem piwa i nadaniu delikwentowi imienia piwnego, którym przez cały rok szczyścić się może.

Na koniec zebrania Prezes ogłasza werdykt i tablicę zwycięską. Zwycięska tablica śpiewa pieśń – „Niech żyje nam Prezydium”. Można by faktycznie pomyśleć, iż na tym koniec tej wspaniałej górniczej imprezy. Nic bardziej mylnego. Przegrani wykorzystują moment i regulaminową pieśnią „Do dupy z tym Prezydium” dokonują zamachu stanu. Po takim dictum Prezesowi nie pozostaje nic innego jak tylko abdykować i ogłosić anarchię piwną. Teraz już bez żadnej władzy, ale i bez odpowiedzialności gwarkowie bawią się dalej.



W obronie karpia

Tradycja! Tradycja! – śpiewał Topol w musicalu o Tewie Mleczarzu. Trudno o bardziej tradycyjne święta niż Boże Narodzenie. Wielkanoc, bez wątpienia religijnie jest bardziej nasycona metafizyką. Lecz Gody – to najpierw wspólne oczekiwanie na pierwszą gwiazdkę, potem wspólne kolędowanie, dzielenie się opłatkiem, którego sensem są słowa niegdyś haftowane na makatkach „Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda”. Wreszcie wspólna Pasterka. Czyż może być piękniejsze przeżycie religijne od nagle rozświetlonego ołtarza i grzmiących gromko organów, które wzywają do wspólnego, radosnego *Bóg się rodzi!*?

I jakże słodko być ważnym elementem wspólnoty – po łacinie: *communis*.

– Apage Satanas! – czyli idź precz szatanie” – oburzył się prezes i postanowił pod żadnym pozorem nie uczestniczyć we wspólnocie. Przecież jest UNO – jedyny! Jak Bóg. Niedawno był podwójny, lecz bez brata nie ma wspólnoty. A naród się cieszy, że ich nie było trzech! To byłaby dopiero trójca! Jest więc święte oburzenie zamiast wspólnoty, która buduje.

Bardziej jeszcze oburzyli się miłośnicy karpia. Liczyli na wspólną konsumpcję. Tymczasem wraz z nadchodzącym adwentem pojawiają się obrońcy biednej rybki, która ma niezwykle dostojną historię. Karp pojawił się w efekcie naturalnej poliploidyacji – czyli zwiększenia liczby chromosomów w jądrze komórkowym – na przełomie trzeciorzędu i czwartorzędu. Jako zabytek powinien zatem korzystać ze szczególnej ochrony. A to znaczy, że smakosze powinni obejść się smakiem. Uwolnić karpia! Uwolnić karpia! Uwolnić karpia!

A co ze śledziem? Z dorszem? Langustą? Też przecież biedne i żywe. Tradycja polska nakazuje przecież pościć w wigilię. Tradycja! Tradycja! Więc na wigilię zieleninę: smaczne i zdrowe sałatki owocowe. Obżerać się nie wypada w dobie mody na anorektyczną sylwetkę. Jeśli jednak ktoś chciałby napchać żołądek, nie musi się przejmować tradycją. Są przecież hamburgery, McDonaldy, pizzerie? Nawet Kościół, Matka nasza, odstąpił przecież od postu wigilijnego, piątkowego, adwentowego. Jedzcie na zdrowie indyki, szaszłyki, kebaby i giosy. A karp? Do stawu. Niech sobie pływa.

Zamiast karpem, zakąś frytką,
Karp niech pływa z inną rybką,
Lecz nie z flądą, lecz nie z flądą.
Na kolację wigilijną
Zjedz ofertę familijną
Z miną mądrą, z miną mądrą.
Krok po kroku, krok po krocisku,
Najpiękniejsze w całym roczku,
Idą święta, idą święta.
Karp niech pływa gdzieś w jeziorze,
Kiedy ranne wstaną zorze.
Taka puenta, taka puenta.

A gwiazdka pomyślności niechaj przyniesie wszystkim Czytelnikom cały olbrzymi wór prezentów, a w nim spełnienie marzeń, nawet tych, które wydawały się absolutnie nierealne. W noc wigilijną wszystko jest przecież możliwe: zwierzęta mówią ludzkim głosem, politycy milkną, a ludzie przez kilka chwil uśmiechają się do siebie. Oby jak najdłużej.

Zbigniew Adamczyk





Szyfr Jana Matejki

Dariusz Rekosz

Wydawnictwo Replika

Szyfr Jana Matejki to książka Dariusza Rekosza powstała na fali popularności *Kodu Leonarda da Vinci* Dana Browna. Została wydana w 2007 roku, nie jest więc to nowa pozycja na rynku. Zarówno *Szyfr...* jak i jego amerykański pierwowzór, okres największego zainteresowania ma już za sobą. Kto więc miał *Kod...* przeczytać i zobaczyć jego słynną ekranizację z Tomem Hanksem i Audrey Tautou w rolach głównych już to zrobił.

Pewnie też więcej do nich nie powróci, gdyż propozycje to raczej popularne niż wysokoartystyczne, z których można by wynieść jakieś głębsze wartości. Czy podobnie jest z książką polskiego autora? Czy mimo upływu prawie trzech lat od czasu jej wydania, warto ją wciąż polecać tym osobom, które jak dotąd nie miały okazji się z nią nie zapoznać?

Oczywiście, że tak! *Szyfr Jana Matejki* to nie tylko przełożenie na rodzimy grunt wątków zawartych w zagranicznym bestsellerze. Mamy co prawda tajemnicze morderstwo popełnione nocą w muzeum, misterną zagadkę, której rozwiązania podejmują się główni bohaterowie, narażając swoje życie. Mamy też, co najważniejsze, jak dotąd dobrze strzeżoną przez tajny zakon, tajemnicę dotyczącą losów ludzkości, wskazówek do rozwiązania której, szukać należy w obrazie słynnego artysty. Waler powieści nie polega także na przeniesieniu akcji na tereny Polski (brutalne zabójstwo kustoszki Krystyny Sprawy ma miejsce w Muzeum Zamkowym w Będzinie, a niektóre postaci posługują się nie do końca czystą polszczyzną) ani na zastąpieniu Leonarda da Vinci, znakomitym XIX wiecznym malarzem – Janem Matejko.

Tym, co najcenniejsze w utworze Dariusza Rekosza jest warstwa słowna. Autor w doskonały sposób bawi się słowami i skojarzeniami. Za pretekst służą mu zwłaszcza nazwiska bohaterów, które poprzez swoją dwuznaczność są przyczyną wielu nieporozumień a także momentów humorystycznych. I tak mamy

Sprawę, którą ktoś *załatwił* czy Józefa Świątego – bynajmniej nie świętego. Największą jednak pomysłowością wykazał się pisarz wywodząc chińską dynastię Wan-dzin-sana z rodu Piastów, a konkretnie jako potomków Wandy, co podobno nie chciała Niemca. Stąd Wan-dzin-san czyli na początku po prostu Wandzi-syn. Mało tego, wskazówki, że tak właśnie wygląda prawdziwa historia Polski ukrył misternie w swoich obrazach sam Matejko.

Szyfr Jana Matejki nie jest więc zwykłą parodią wątków zawartych w pierwowzorze zza oceanu. Autorowi nie chodziło tylko o przeniesienie akcji do Polski, ale o przerysowanie całej fabuły, co udało mu się doskonale dzięki warstwie dialogowej i czasami absurdalnym scenom. Jednocześnie humor momentami rubaszny (zabójstwo dokonane przy pomocy dwóch wibratorów) czy motyw nieco homofobiczne (stowarzyszenie ZK – Zabić Kitajca, czyli chińskiego pretendenta do polskiego tronu), nie przeszkadzają w lekturze powieści. Wręcz przeciwnie, wzbogacają ją. W nich właśnie tkwi cały jej urok. Nic więc dziwnego, że za namową czytelników Dariusz Rekosz pokusił się o napisanie drugiej części przygód bohaterów *Szyfru*....

Warto więc sięgnąć po książkę, zwłaszcza w długie i mroźne wieczory – a takich niestety nam nie zabraknie, by oderwać się na chwilę od przytłaczającej rzeczywistości. Rozrywka gwarantowana.

Marta Jonek





Zrób sobie raj

Mariusz Szczygieł

Wydawnictwo Czarne

Jesteś Czechofilem? Koniecznie przeczytaj tę książkę. Nie jesteś, ale chciałbyś dowiedzieć się czegoś nowego o naszych południowych sąsiadach – sięgnij po nią. Gardzisz *Pepikami*, uważasz ich za naród niebohaterskich zjadaczy knedlików – zrewiduj swoje postrzeganie braci Czechów.

Najnowsza książka reportera *Gazety Wyborczej* to zbiór esejów, reportaży i felietonów, a także po części pamiętnik *niechlujnego Czechofila* jak określa siebie samego autor. Mariusz Szczygieł na luzie, a jednocześnie w sposób bardzo osobisty opowiada o współczesnych Czechach.

Tematem przewodnim książki jest stosunek braci Czechów do Boga. Nasi sąsiedzi szczycą się mianem *najbardziej ateistycznego kraju świata* i choć należy to sprostować, bo takie miano w pierwszej kolejności należy się Szwedom, to ateizm jest u nich tak naturalny jak u Polaków katolicyzm. Na pytanie *Jak się państwu żyje bez Boga* odpowiadają reporterowi reprezentanci różnych płci i zawodów, dzięki czemu udaje się autorowi uzyskać wielość w sprawie wiary wśród Czechów. Jednocześnie czytelnik nie ma wrażenia, że wypowiadający się

ludzie to osoby specjalnie wybrane na użytek z góry obranej przez autora tezy. *Niechlujny Czechofil* wypytuje o Boga: księgową, dyrektora francuskiej firmy, absolwenta wyższej uczelni, ale równocześnie rozmawia też z katolikami: policjantem, który planuje *coming out* katolika czy polskim księdzem rezydującym na Morawach (najbardziej religijnym regionem w Czechach).

Wśród przedstawicieli *najbardziej zateizowanego narodu świata* nie brakuje osób wierzących, jednak są one w zdecydowanej mniejszości, często też ukrywają się ze swoją wiarą. Można tu wyśledzić pewną analogię do narodu polskiego, tyle tylko, że mniejszość tą stanowią w Polsce ateści. Obydwie mniejszości, jakkolwiek reprezentujące odmienne przekonania, nie są powszechnie akceptowane i choć nie można tu mówić o jakichkolwiek prześladowaniach tych grup, to jednak zarówno w Polsce jak i w Czechach noszą one łatkę *Innego*.

O ile fenomen Czechy-ateisty zajmuje dużą część książki, to wiele miejsca poświęca Mariusz Szczygieł też artystom czeskim, którym to podczas rozmów również, choć może nie w tak bezpośredni sposób zadaje pytanie o kwestię wiary. Jedną z najciekawszych części tej książki jest fragment poświęcony współtwórcy nurtu fekalizmu – Egonowi Bondiemu (właściwie Zbynkowi Fiserowi). Artysta ten *upoetyzował odchody*, a nurt fekalizmu okazał się jego odpowiedzią na oficjalną propagandę leninowsko-marksistowską. Historia życia autora takich cytatów jak: *Z delikatną ostrożnością pierdę, żebym się nie zesrał* lub *Pokojoy, pokojowy, pokojowy jak papier toaletowy*, obejmuje również część życia autora, w której to przyznaje się do współpracy z bezpieką. W opowieści artysty o współpracy ze zniechodowanym systemem, można dostrzec podobny sposób postrzegania reżimu jak w niedawno wyświetlanym w kinach *Czeskim błędzie*. W Polsce osoba współpracująca z bezpieką, tak jak Bondy czy bohater filmu Jana Hřebecka została wykluczona z życia publicznego i uzyskała status *współpracownika* nadany przez IPN, co ostatecznie usankcjonowałoby jej status w społeczeństwie. Czesi tymczasem nie negują takiego zachowania, bardziej szukają

usprawiedliwienia dla takiej osoby i nie wydają nigdy ostatecznych wyroków. Tak też się stało właśnie z Bondym.

Mariusz Szczygieł polemizuje z obrazem Czechy zarysowanym w świadomości przeciętnego Polaka, który swojego sąsiada postrzega jako lekkoducha i tchórze, który nie podjął walki z Hitlerem i nie poświęcił Pragi, tak jak Polacy – Warszawy. Tymczasem nasi sąsiedzi okazują się ciekawymi indywidualistami, potrafiącymi zdystansować się od świata, gdy zaś my, Polacy, wychodzimy na bogobojnych konformistów, zdolnych jedynie do działań stadnych. Jest to oczywiście duże uproszczenie, jednak dobrze oddaje stosunek obu narodów do siebie. Jednocześnie autor daleki jest od oceny zarówno swoich rodaków jak i naszych sąsiadów i mimo, że nie pozostaje obiektywny bo jego miłość do czeskiego charakteru objawia się dość często, to jednak nie jest nachalny w swojej fascynacji, a raczej zaraża nią innych.

Na koniec godna skomentowania wydaje się okładka książki. Składany Jezus Chrystus w foliowej torebce, autorstwa Davida Cernego czeskiego rzeźbiarza, przedstawiciela sztuki krytycznej, znanego ze swojej kontrowersyjności, któremu autor poświęca rozdział pt. *Wkurzacz czeski*. Wygląda na to, że wśród braci Czechów pojęcie tabu nie istnieje, a na pewno nie jest tak silnie jak wśród innych nacji. A rozdział o czeskim rzeźbiarzu, skłoni nie tylko do zapoznania się z dorobkiem artystycznym artysty, ale również zmobilizuje przyszłych podróżujących w tamte strony, do własnych poszukiwań w przestrzeni publicznej czeskich miast dzieł tego rzeźbiarza.

Obraz narodu czeskiego zarysowany przez Mariusza Szczygła jest trudny do uchwycenia w recenzji. Po tą książkę trzeba po prostu sięgnąć samemu, by przekonać się, że Czesi to nie tylko knedliki, Szwejk, Vondrackova, ale też potęga hokeja, Egon Bondy, Jan Saudek czy David Cerny. To również zupełnie inny stosunek do śmierci, pochówku jak i pogrzebu, ale nic więcej już nie zdradzę, bo to należy pozostawić do odkrycia przyszłym czytelnikom.

Ala Siwik

Wkraczając w mrok:

Harry Potter i Insygnia Śmierci część I

Adam Andrysek



Dla kogo jest ten film? Kto powinien, a kto nie powinien go oglądać? Czyje oczekiwania spełni, a czyje zawiedzie? To jedynie kilka z wielu pytań, które w trakcie seansu najnowszej adaptacji *Harry'ego Pottera* powracały w mojej głowie co najmniej kilkakrotnie. Najważniejsze z nich – *dla kogo jest ten film*, nie jest pytaniem nowym. Problem związany z docelowym odbiorcą kolejnych części powieściowego cyklu autorstwa J. K. Rowling oraz filmowych adaptacji pojawił się już w przypadku *Czary Ognia* (a może nawet wcześniej), narastając z każdym kolejnym dziełem, by w pierwszej części finału ujawnić się widzowi z całą mocą, znacząco wpływając na końcową ocenę filmu.

Książka *Harry Potter i Insygnia Śmierci*, wbrew temu, do czego próbowali przekonywać nas wydawcy, bynajmniej nie jest lekturą przeznaczoną dla dzieci. W rzeczywistości kolejne części sagi kierowano przede wszystkim do stałego czytelnika, którego pozwolę sobie nazwać *rówieśnikiem Pottera*. Określenie owo sugeruje wiek docelowego odbiorcy, który wraz z premierami kolejnych tomów dorastał równoległe z ich bohaterami. Konsekwencją opisanego procesu był coraz mroczniejszy charakter kolejnych przygód czarodzieja, których kulminacją stał się brutalny, prawie depresyjny i wyjątkowo niepokojący finał w postaci *Insygniów Śmierci*.

Nieco inaczej sprawa wygląda w przypadku kolejnych filmowych adaptacji, w których wspomniany przeze mnie „rówieśnik Pottera” sukcesywnie spychany był na plan dalszy, w centralnym punkcie pozostawiając widownię stricte dziecięcą. Podobnie jest niestety w najnowszym dziele Davida Yates’a, trzeba jednak przyznać, że *Insygnia Śmierci część I* to jak dotąd najmroczniejsza ekranizacja książek Rowling. Trudno nie zauważyć, że reżyser dwoił się i troił, by usatysfakcjonować obie grupy odbiorców: nie mógł sobie przecież pozwolić na utratę dziecięcej widowni, dzięki której film zarabia ogromne pieniądze; nie chciał jednocześnie sfrustrować widzów starszych. Na ekranie obserwujemy więc dwie i pół godziny ciągłego balansowania między sekwencjami typowymi dla dobrego thrillera, a fragmentami komicznymi. Po każdej *intensywnej* scenie otwiera się *zawór bezpieczeństwa* – ewidentny ułkon w stronę młodych widzów. Czy należy traktować to jako wadę? Niekoniecznie, lecz „ugrzeczniczenie” powieściowych *Insygniów Śmierci* jest niepodważalnym faktem, a zarazem wyraźnym zabiegiem marketingowym, który niesie w sobie zarówno pozytywne, jak i negatywne konsekwencje.

Kolejna sporna kwestia dotyczy konstrukcji scenariusza. O ile w przypadku (między innymi) *Zakonu Feniksa*, najdłuższej książki cyklu, oryginalna fabuła w procesie adaptacji została poddana wielu zmianom i skrótom (najczęściej złym w skutkach), o tyle najnowszy film z pietyzmem przenosi na ekran prawie każdą stronę pierwowzoru. Powracające jak bumerang sekwencje ukrywania się Harry’ego i jego przyjaciół w lasach, długie, statyczne, posępne ujęcia, ciemne, ponure barwy – to wszystko tworzy udzielającą się widzom atmosferę ciągłej monotonii i przygnębienia. Owod doskonałe oddanie nastroju powieści jest jedną z największych zalet filmu. Każdy kij ma jednak dwa końce. Czasem nagromadzenie scen refleksyjnych staje się zbyt duże, skutkiem czego rytm całości ulega zachwianiu. Na szczęście sytuacje te mają miejsce sporadycznie.

Brawa należą się odtwórcom głównych ról. Daniel Radcliffe, Emma Watson oraz Rupert Grint wyjątkowo przekonująco przedstawiają swoich bohaterów oraz emocje, które im towarzyszą. Każde zachowanie jednostki w mniejszym bądź większym stopniu wpływa na pozostałą dwójkę, powodując określone konsekwencje, niejednokrotnie prowadząc także do konfliktu w postaci gwałtownego wybuchu złości, czy zwątpienia w powodzenie misji. Sceny dramatyczne, wymagające szczególnego skupienia, zagrane są umiejętnie, brak w nich sztuczności i zbędnego patosu, którego bardzo często młodzi aktorzy nie potrafią unikać. Szczególnie silne wrażenie wywołało na mnie jedno krótkie, lecz niesamowicie intensywne, przerażające *prawdziwe* ujęcie – Hermiona (Emma Watson) torturowana przez Bellatrix Lestrange (Helena Bonham Carter)...

Reasumując, z filmu *Harry Potter i Insygnia Śmierci część I* zdecydowanie bardziej usatysfakcjonowani będą widzowie starsi, *rówieśnicy Pottera*, oraz dorośli. Mało w tej części *magii w magii*: dawny, czarujący, fascynujący świat zastąpiono aż nazbyt „prawdziwą” rzeczywistością. Harry, Hermiona i Ron na przemian walczą oraz ukrywają się przed Voldemortem i jego poplecznikami, natomiast różdżki, które w poprzednich ekranizacjach służyły głównie do rzucania zaklęć w szkole, tym razem pełnią funkcję pistoletów, z których opozycyjne strony konfliktu ostrzeliwują się wzajemnie. W przeszłości to świat mugoli był światem obcym, niegościnnym, podczas gdy Hogwart pełnił funkcję schronienia, ucieczki od samotności. Teraz – jak głoszą plakaty reklamowe – nigdzie nie jest bezpiecznie, Harry, Hermiona i Ron walczą samotnie. A to dopiero początek końca...

Nieprzypadkowy autor, nieprzypadkowa publiczność – to wszystko

Paweł Sarna

Jak uciec od nudnych, sztampowych spotkań poetyckich? Mają w sobie coś ze sztywnych wieczorków rodzinnych, to fakt. Po jednej stronie autor, ewentualnie plus prowadzący, po drugiej milcząca – *prosimy o brawa* – publiczność. Autor czyta, prowadzący wchodzi w zaaranżowaną dyskusję, a czasem pseudodyskusję z autorem, publiczność słucha. *Prosimy o brawa, prosimy*. Punkt obowiązkowy: *czy mają Państwo jakieś pytania do autora?* Powtórka pytania z rozwinięciem: *czy mają Państwo jakieś pytania do autora? Bo jeśli nie, to może kończymy?* Ewentualne pytanie retoryczne: *Czy na pewno nie? Może pan z pierwszego rzędu, pan z lewej. Pani?! Jak uciec. I dokąd?*

Niedawno wymieniałem ze znajomą kilka e-maili na temat tego, co się dzieje w Katowicach. A dzieje się akurat tyle, żeby starczyło na krótką korespondencję, choć ostatnio chyba i tak jakby więcej, jako że Katowice starają się o miano Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Zapytała mnie owa znajoma: *Gdzie są koncerty młodych grup, festiwale, jam session? Gdzie spektakle kilkuosobowych grup teatralnych, słamy poetyckie, standing comedy? Gdzie wystawy młodych twórców zajmujących się innymi dziedzinami niż malarstwo, grafika, tj. wystawy street artu, artystów tattoo, ilustratorów i komikarzy?* Fakt, oferta szczególnie bogato nie wygląda. Znajoma skrzyknęła kilkanaście osób z różnych środowisk, głównie studentów, i zaczynają coś robić, licząc, że miasto wesprze, w końcu ma powód. Spytała też, czy się włączę, oczywiście odparłem, że tak, choć – tego jej nie powiedziałem – bardziej liczę na aktywność tych kilkunastu osób, tych studentów z ASP, muzyków, pełnych energii zapaleńców. Leniwy jestem czy drętwy, a może już stary? – zastanawiam się. Leniwy i sztywny to byłem zawsze, stary czuję się od matury, więc nic się nie zmieniło. A więc po prostu jak zwykle było mi głupio odmówić.

Przy tej okazji za to przypominałem sobie, że w 2004 roku też byłem współorganizatorem czegoś, co nazywało się *Igrzyska Poetyckie*. Impreza odbywała się na scenie teatru Gu-Galander, a rozgrywka była słowno-cielesna, czyli zawodnicy walczyli ze sobą na wiersze, na pięści, na miecze, a wszystko oczywiście na niby. Ja walczyłem w ringu z Wojtkiem Rusinkiem. Przed walką ktoś napisał coś takiego, co jak miemam jeszcze znajdę gdzieś w sieci – chwila, chwila, oooooo jeeeeest: *no moim zdaniem najciekawszy będzie pojedynek między rusinkiem a sarną. sarna to takie dwa rusinki. a jak go połknie – to będą już 3 rusinki* (pisownia oryginału). Za to po spotkaniu ktoś podszedł do mnie i powiedział, że lubi moje wiersze, ale nie w takim wykonaniu. Nie wiem, być może ja się nie wczułem w rolę, być może ów osobnik był tradycjonalistą, ale w sumie to sam bawiłem się średnio.

Z kolei bardzo miło zapamiętałem pewne moje spotkanie poetyckie, na które prowadzący nie dotarł, a ze strony organizatorów była tylko księgowa. Cała publiczność tylko dla mnie. Opowiedziałem więc, skąd przychodzę, kim jestem i dokąd zmierzam, przeczytałem kilka wierszy, a potem usłyszałem z sali coś, czego się nie spodziewałem: **jeszcze!**

W gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko tradycyjnym spotkaniom poetyckim, wcale nie muszą być nudne. Nie mam też nic przeciwko bardziej dynamicznym imprezom. Warunek jest jeden: nieprzypadkowi autorzy, nieprzypadkowa publiczność. I jeszcze nieprzypadkowe miejsce. To wszystko.

Kulturalnie w sieci

Karol Kućmierz

Świat kultury w Internecie, czyli pisanie o najnowszych wydarzeniach, wydawnictwach, dziełach i artystach, promowanie nowych, wartościowych zjawisk, analiza i krytyka – to świat bez reguł, autorytetów i jednoznacznie określonej opiniotwórczości. Narzędzia do działania są ogólnie dostępne, teoretycznie każdy może odnieść sukces umiejętnie korzystając z sieci blogów, twitterów i serwisów społecznościowych. Prawa internetowej dżungli są trudne do sprecyzowania i elastycznie naginają się do coraz nowszych zjawisk, memów i tendencji, które pojawiają się i znikają, czasem zanim zdążymy zarejestrować ich zaistnienie. Poszukiwanie recepty na dobrą stronę internetową to swoista wyprawa do legendarnego El Dorado – minął już okres, w którym każdy pomysł na internetowy biznes wydawał się niewyczerpaną i skazaną na sukces żyłą złotą. Dzisiaj więcej osób zdaje sobie sprawę, że nie każdy może zostać Zuckenbergiem. Skala działań stała się dużo skromniejsza i bardziej nieformalna. Blog, Twitter, profil na Facebooku, MySpace, internetowy zin – to wszystko równoprawne platformy do twórczej lub krytycznej działalności.

Wśród polskich stron internetowych zajmujących się kulturą i sztuką jest podobnie jak na całym świecie. Wybór wydaje się niemal nieograniczony, dostępne jest całe spektrum skali od opisu niszowych zjawisk po ogólne, bardziej teoretyzujące refleksje. Jakim kryterium się kierować, jak wartościować, szukających tych najciekawszych i wyjątkowych portali?

W tak skomplikowanym i efemerycznym medium na pewno warto zwrócić uwagę na względną trwałość. Jeśli jakaś strona jest popularna w sieci od lat, ciągle przyciąga odbiorców, jest aktywna i aktywizuje innych, to znaczy, że coś jest na rzeczy.

Cała reszta kryteriów jest raczej subiektywna. Podejmowane przez portale zagadnienia i tematy, zawartość merytoryczna, styl, wygląd zewnętrzny, trafność opinii – mogą być odbierane przez każdego w osobisty sposób. Dlatego zamiast silić się na obiektywność i hierarchizowanie, można stwierdzić, że kategoria „lubię to” to najodpowiedniejszy i dominujący dyskurs w sieci i według niego wyróżniać swoje najciekawsze strony. Co też, niniejszym, czynię na potrzeby tego artykułu.

Najbardziej interesująco i konkurencyjnie przedstawia się krajobraz portali o tematyce muzycznej, zarówno popularnej i alternatywnej. Jedną z najstarszych, najbardziej zasłużonych i jednocześnie kontrowersyjnych stron jest serwis **Porcys** (porcys.com). Pod redakcją krytyka-erudyty Borysa Dejnarrowicza Porcys rzucił wyzwanie drukowanemu piśmiu o muzyce, proponując bezkompromisowy system oceniania i wyrazisty styl pisarski, dopuszczający wulgaryzmy, prowokacje, anglojęzyczne wtrącenia czy recenzje konceptualne.

W połączeniu z ogromnym osłuchaniem członków redakcji serwis niewątpliwie wpłynął na sposób postrzegania muzyki alternatywnej wśród swoich czytelników, nawet mimo początkowej irytacji. Oprócz recenzji, które stanowią podstawę można na Porcys znaleźć felietony, wywiady, relacje z koncertów oraz bardzo istotne rankingi i podsumowania. Wyrazistość i kontrowersje to jednak nie wszystko – najistotniejsze jest zwracanie uwagi na artystów mało popularnych, niedocenianych oraz niezwykle interesujących. Z drugiej strony bezlitośnie krytykuje się twórców bardziej uznanych i osiadłych na laurach, wbijając szpile konserwatywnym fanom rocka. Oczywiście z biegiem lat gust redakcji stopniowo ewoluował i dokonał pewnych istotnych



przewartościowi. Początkowo promowano głównie muzykę niezależną i bardziej eksperymentalną, jednak pulę z czasem rozszerzono o pop, hip-hop i inne odmiany muzyki popularnej.

Nie miało to jednak związku z żadną komercjalizacją serwisu. Raczej uznano, że misja edukacyjna w dużej mierze się powiodła i warto także pisać o tym, co ciekawe i fascynujące niezależnie do szufladki gatunkowej. Czy ocenia się utwór Britney Spears, czy też Sufjana Stevensa – należy oddać mu sprawiedliwość. Zaczęto aktywnie promować polską muzykę, przybliżając co ciekawsze zjawiska zanim jeszcze doczekają się oficjalnej reprezentacji w postaci wydanej płyty. Zmodyfikowano także formułę recenzji – często jeden tytuł ocenia jednocześnie czterech autorów, co pozwala na różnorodność punktów widzenia. Ważny elementem jest także społeczność czytelników Porcys, szczególnie aktywna na forum, a także na orbitujących wokół blogach. Porcys prowadzi również cotygodniową audycję w warszawskim Radiu Kampus, której można słuchać w sieci oraz uzupełniającą stronę Porcysmedia, która zajmuje się popkulturą w szerszym zakresie.

Największym rywalem Porcys jest portal **Screenagers** (screenagers.pl). Przez dłuższy okres był on dość konserwatywny w stosunku do konkurencji, jednak w ostatnim roku znacznie poszerzono zakres zainteresowań muzycznych, zmienił się skład redakcji oraz grafika. Screenagers oferuje podobne formy – recenzje, wywiady, relacje, podsumowania, a także bardzo ciekawe przeglądy twórczości poszczególnych wykonawców. Jednak widocznie różni się stylem, przez co stanowi świetne uzupełnienie. Śledząc na bieżąco oba portale trudno przegapić najistotniejsze zjawiska świata muzyki.

Całego obrazu dopełniają inne, rozwijające się serwisy – **Uwolnij Muzykę** (uwolnijmuzyke.pl), **Nowa Muzyka** (nowamuzyka.pl), **Niezał Codzienny** (niezalcodzienny.pl) oraz liczne blogi, takie jak poświęcony promowaniu polskiej twórczości – **Don't Panic, We Are From Poland** (wearefrompoland.blogspot.com), czy platformy takich krytyków jak **Mariusz Herma** (ziemianiczja.pl) lub **Bartek Chaciński** (chacinski.wordpress.com).

W dziedzinie filmu dominują dwa duże i popularne serwisy – **Stopklatka** (stopklatka.pl) i **Filmweb** (filmweb.pl), więc prawdopodobnie każdy miłośnik kina się z nimi zetknie. Oferują w dużych ilościach rozmaite typy tekstów – newsy, recenzje, felietony, wywiady, artykuły. W związku z tym warto zwrócić uwagę na bardziej osobiste i refleksyjne spojrzenie na kino, które zapewnia blogosfera. **Ostatni hotel po prawej stronie** to blog krytyka **Michała Oleszczyka** (michaloleszczyk.blogspot.com), na którym można przeczytać jego różnorodne przemyślenia na temat filmów, luźniejsze wypowiedzi, felietony, recenzje i notki, wszystko skupione w jednym miejscu. W komentarzach odbywają się także ciekawe dyskusje z czytelnikami. Dla oryginalnego spojrzenia na film z punktu widzenia zagadnień mody, kostiumów i stylu warto odwiedzić **Cinema Undressed** (cinemaundressed.wordpress.com). Można dowiedzieć się ciekawych rzeczy o modzie w najnowszych produkcjach, o ikonach stylu, legendarnych strojach, słynnych femme fatale czy historii kostiumów w Hollywood. **Plakaty filmowe** (plakaty.blox.pl) to z kolei szczegółowe i fascynujące analizy najciekawszych plakatów filmowych – tych najlepszych, tych najgorszych, alternatywnych i artystycznych, plagiatów oraz przeróbek.

Na koniec warto zwrócić uwagę na serwisy w pewien sposób unifikujące doświadczenia kulturalne w sieci, zajmujące się szerokim spektrum zjawisk. Internetowe czasopismo **Dwutygodnik** (dwutygodnik.com) udostępnia wartościowe i profesjonalne artykuły, obejmujące literaturę, film, teatr oraz sztukę. Magazyn kultury popularnej **Esensja** (esensja.pl) publikuje natomiast rozmaite teksty o filmach, komiksach, grach, muzyce, książkach oraz promuje twórczość polskich autorów. Dzięki tego typu stronom łatwiej się odnaleźć w rozległym strumieniu kultury i wyłuskiwać to, co oryginalne i wartościowe.





Andriana Triana po raz trzeci

21 października, w ramach 10. urodzin Jazz Clubu Hipnoza, po raz trzeci w ciągu niespełna roku wystąpiła przed katowickim audytorium **Andriana Triana**. Publiczność kolejny raz mogła wysłuchać występu artystki, która zdobyła serca słuchaczy nie tylko swoim głosem, ale także niespotykaną otwartością i naturalnym ciepłem. Po poprzednich występach można było czuć pewien niedosyt – wokalistka była wtedy przed wydaniem debiutanckiej płyty, co odbiło się na ilości zagranych przy towarzystwie gitar akustycznych utworów.

Tym razem – w towarzystwie całego zespołu – Andriana uraczyła słuchaczy znacznie dłuższym programem opartym o materiał z solowej płyty oraz znane wcześniej utwory powstałe podczas współpracy Andriany z grupą Bonobo.

W dniu koncertu Andriana obchodziła urodziny. Na zakończenie występu artystce przyniesiono tort i odśpiewano gromkie *Sto lat*. Triana była kompletnie zaskoczona i wzruszona.

Bardzo udany koncert zakończył się chóralnym odśpiewaniem utworu *Ain't nobody* Chaki Khan. Taneczne afterparty, na którym główne skrzypce zagrał Kid Kan Evil (DJ znany z *Ninja Tunes*, przyjaciół Andriany) zwińczyło świetny występ. Nie pozostaje nic innego, jak czekać na kolejny koncert Andriany w Polsce.

Tekst i zdjęcia: Marcin Bajda



Kronikarz świata odchodzącego

Pożółkłe pocztówki, stare fotografie, skrzywione gwoździe, obdrapane deski i numerki z drzwi mieszkań, które dawno opustoszały. „Przedmioty, które nagle utraciły swoje miejsce i przestały być potrzebne”. Zostawione w pośpiechu. Jakich i czyich historii były częścią? Kto i do czego mógłby je jeszcze wykorzystać?

Od 15 października do 14 listopada w Zamku Sieleckim w Sosnowcu trwała wystawa obrazów Jacka Rykały zatytułowana „Żółte światło pustych miejsc”, podczas której goście mogli podziwiać osobliwe kolaże – olejne wizje ocienionych bram i świetlistych podwórek wmontowane w drewniane ramy, niektóre zbudowane z połączonych desek, części szuflad i ramek, pustych bądź wypełnionych starymi zdjęciami i zardzewiałymi tabliczkami.

Jacek Rykała w pewnym sensie maluje czas, który przemija – „fragmenty czy strzępy rzeczy, które zostały w domach do wyburzenia (...) to przedmioty, na których zostało odcisnięte piętno czasu przeszłego” (film dokumentalny o twórczości artysty pt. „Przestrzeń, w której żyjemy”). Ich zachowanie i wykorzystanie w sztuce może być formą walki z przemijaniem.

Rykała, kronikarz świata odchodzącego, przyjął za temat prezentowanych obrazów pewne cytaty z przemijającej rzeczywistości, porzucone, niepotrzebne przedmioty, a także

własne wspomnienia oraz wyobrażenia cichych miejskich zakątków. Łącząc wszystkie te elementy, rzeczywiście i wyobrażone, stworzył szereg przedstawień podwórek śląskich czy zagłębiowskich, będących czymś na kształt tęsknoty – jak sam mówi, są to mity miejsc, co do których chciałby, by staniały. Rykała „gromadzi rozsypań” – każde podwórko, które stworzył jest złożone z wielu miejsc, przestrzeni i czasów.

Jak stwierdził kiedyś Tadeusz Konwicki: „Rykała z pełną powściągliwością pasją szuka poezji w śladach bytowania ludzkiego, przygląda się czule zniszczonym przez życie starym bramom, wydeptanym stopniom schodów, wyszlizganym poręczom, zaciekom na ścianach, kępkom traw rozsadzających odwieczne bruki”. Tworząc uniwersalny mit miasta młodości opierając się na wspomnieniach własnej okolicy z dzieciennych lat i przedmiotów z opuszczonych domów, Rykała dociera ze swoją sztuką do odbiorców z różnych części świata, którzy – tak jak on – przywołują we wspomnieniach miejsca, które przeminiły wraz ze swoim czasem.

W wizji artysty ciasne podwórko, rozsypujące się komórki, bramy, ławki i ceglane mury są zatopione w kojącym żółtym świetle, wszystko przepełnione jest ciszą i spokojem. Zastygłe przedmioty nie czekają na swoich właścicieli, one po prostu konstatują ist-

nienie tamtego świata, świata zatopionego w bezczasie.

Uroczyste otwarcie wystawy Jacka Rykały miało miejsce 15 października w Zamku Sieleckim w Sosnowcu. Po wernisażu część gości przeniosła się do Teatru Zagłębia, gdzie odbył się benefis artysty z okazji 60. rocznicy jego urodzin, w trakcie którego zaprezentowano sztukę pt. „Mleczarnia”, której autorem i reżyserem jest Jubilat.

Patronat honorowy nad wystawą objęli: Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałek Województwa Śląskiego oraz Prezydent Miasta Sosnowca. Wystawie towarzyszyła publikacja albumu poświęconego twórczości Jacka Rykały pt. „Żółte światło pustych miejsc”, której wydawcą jest Galeria Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki.

Ewa M. Walewska

Jacek Rykała – artysta malarz, poeta i reżyser teatralny (spektakle: „Dom przeznaczony do wyburzenia” oraz „Mleczarnia”), prorektor i profesor zw. malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, urodzony w 1950 roku w Sosnowcu. Laureat wielu nagród, m.in.: I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Malarstwa im. Z.R. Pomorskiego i nagrody na X i XV Festiwalu Malarstwa Polskiego w Szczecinie, został także odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę. Jego prace były prezentowane w blisko 50 wystawach indywidualnych i 250 zbiorowych na całym świecie, a w 2002 roku został wyróżniony indywidualną wystawą w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Mgła – motocykl / Mist – A Motorbike, 2002, oil + collage, 105,5x222 cm, własność artysty / the artist's property.





Nasza Klasa / Our class, 2008, oil + collage, 102x242 cm, własność artysty / the artist's property.

Mgła – Będzin / Mist – Będzin, 2001, oil + collage, 181x225 cm, własność artysty / the artist's property..



W SIECI

Mark Zuckerberg, twórca wartego miliardy dolarów portalu społecznościowego Facebook, swój sukces zbudował na zaspokajaniu podstawowej ludzkiej potrzeby porozumiewania się. Z najnowszego filmu Davida Finchera wynika tymczasem, że człowiek, który przeniósł życie społeczne na zupełnie inny poziom, sam jest osobą nadzwyczaj nietowarzystką.

Historia sukcesu najmłodszego miliardera świata zaczyna się tak: pewnego wieczoru Mark (Jesse Eisenberg) został porzucony przez swoją dziewczynę, Ericę Albright. Jej radykalna decyzja sprawiła, iż rozgoryczony młody student Harvardu siadł do komputera i nie tylko obraził swą byłą na blogu, ale również, niejako przy okazji, stworzył serwis Facemash. Ten okazał się strzałem w dziesiątkę, gdyż możliwość porównywania atrakcyjności studentek jak magnes przyciągnęła akademicką społeczność – uczelniane serwery wytrzymały napór użytkowników tylko przez kilka godzin. Zuckerberg został zauważony zarówno przez władze Harvardu (co skończyło się zawieszeniem w prawach studenta na pół roku), jak i bliźniaków Winklevoss (podwójna rola Armiego Hammera), którzy zaproponowali młodemu programiście stworzenie elitarnego portalu społecznościowego. Zuckerberg propozycję przyjął, po czym, wraz z przyjacielem Eduardo Saverinem (Andrew Garfield), założył własną stronę opartą na podobnym pomysśle. Facebook przyniósł Zuckerbergowi majątek, ale kosztował utratę przyjaźni Eduardo – po sukcesie portalu bohater „Social Network” spotyka się z nim już tylko w czasie procesu sądowego.

To właśnie sprawy wytoczone przeciwko Zuckerbergowi stanowią rusztowanie, na którym Fincher buduje swój film. Marka pozywa nie tylko Eduardo, ale i oburzeni kradzieżą pomysłu Winklevossowie. Wyjaśnienia stron składane w czasie dwóch procesów to czas te-
raźniejszy filmu, historię powstania Facebooka poznajemy w retrospekcjach. W świadomości widza, nawet nieznanego historii młodego miliardera, Zuckerberg niemal od początku seansu skazany jest na porażkę. Niebotycznie bogaty dwudziestopięcioletni, niezależnie od pokazywanych na ekranie kolejnych sukcesów, i tak w końcu zasiądzie naprzeciwko otoczonego prawnikami przyjaciela.

Fincher konstruuje swego bohatera, opierając się przede wszystkim na jednym – jego kompleksach. Zuckerberg nie ma dziewczyny, nie jest wysportowanym wioślarzem, w końcu – nie należy do żadnego z elitarnych klubów Harvardu. Trudno nie porównywać go do blond półbogów Winklevossów: kajaka-
rzy – olimpijczyków z wysoko postawionej rodziny. Twórca Facebooka jest zamknięty

w sobie, zakompleksiony i niezwykle mściwy. Kreując Marka Jesse Eisenberg ogranicza się do kilku zaledwie min – jego nieprzenikniona twarz tyleż fascynuje, co niepokoi. Osobność Zuckerberga, ale także przepełniające go rozgoryczenie, doskonale ilustruje sekwencja pokazująca proces powstawania Facemash. Obrazki z szalonej imprezy elitarnego bractwa (do którego tak bardzo chciałby dostać się bohater) zderzone zostają tutaj ze sceną, w której komputerowy pasjonat, popijając



kolejne piwo, wpatruje się w ekran monitora. Najpierw wylewa swe żale na blogu, a potem, w nowym przypływie nienawiści do Eriki, tworzy stronę upokarzającą mieszkające w akademikach dziewczyny.

W pewnym momencie Zuckerberg spotyka na swojej drodze Seana Parkera (Justin Timberlake), twórcę rewolucyjnego portalu internetowego Napster. Strona co prawda od dawna nie istnieje, a i Parker dni chwały ma już za sobą, jednak Mark z miejsca daje się uwieść mefistofelicznemu urokowi kolegi po fachu. Sean roztacza wokół siebie atmosferę sukcesu, kusi bohatera filmu wizją ogromnej fortuny, proponuje niekonwencjonalne i ryzykowne metody. Tych nie uznaje Eduardo, który przez swą rozwagę i ostrożność powoli odstawiany jest na boczny tor. Jedyny przyjaciel Zuckerberga musi ustąpić miejsca człowiekowi ucieleśniającemu wymarzony przez Marka ideał. Towarzystwo Parkera – geniusza programowania i autopromocji, który w dodatku spotyka się z modelką Victoria's Secret – to dla twórcy Facebooka lekarstwo na wszelkie kompleksy.

„Social Network” to jednak nie tylko historia najmłodszego miliardera świata, ale też szkic do portretu generacji Facebooka. Fincherowi udało się zarówno pokazać potrzeby młodych ludzi, na które odpowiedział Zuckerberg, jak i zarysować pierwsze efekty

dokonujących się w sposobach komunikacji przemian. Symptomatyczną sceną jest ta, w której Eduardo cieszy się, że pewna dziewczyna zwróciła się do niego z prośbą o „facebooknięcie”, czyli dodanie do znajomych na portalu: Facebook zagościł w języku, a ten jest według niektórych badaczy podstawowym narzędziem kształtowania świadomości. Wielka rewolucja w społecznych zachowaniach i sposobach myślenia właśnie się rozpoczęła. Interesujące, że później ta sama dziewczyna

wytknie Eduardo, iż na portalu ciągle figuruje on jako „wolny”, a przecież spotyka się z nią – życie na Facebooku zaczyna toczyć się na takich samych prawach, co życie w „realu”.

Jednak główna oś fabularna filmu – historia młodego chłopaka, który zyskał majątek, ale stracił przyjaciół i ukochaną dziewczynę – nie wydaje się na tyle pociągająca, by oprzeć na niej niemal dwugodzinny film. David Fincher ratuje jednak „Social Network” dzięki umiejętności, które nabyć musiał jeszcze jako twórca teledysków: historia Zuckerberga opowiedziana zostaje w sposób porywający, reżyser raz po raz demonstruje nadzwyczajną wrażliwość nie tylko na obraz filmowy, ale i rytm oraz tempo narracji. Sekwencja, w której Mark tworzy Facemash, to prawdziwy majstersztyk, przykład stuprocentowej świadomości języka filmu i wykorzystania oferowanych przez niego możliwości. Historia Zuckerberga przybrana została w formę, która pozwala na długie chwile zapomnieć o jej nachalnie umoralniającym wydźwięku. I to przede wszystkim maestria Finchera pozwala mi podsumować „Social Network” słowami, których na Facebooku używa się, by wyrazić swoje uznanie: lubię to.

Social Network Davida Finchera

Bolesław Raciński

REGIO FUN FILM FESTIVAL

I edycja Międzynarodowego Festiwalu Filmowego REGIOFUN odbyła się w dniach 17–21 listopada 2010 roku w Katowicach. Organizatorem była Instytucja Filmowa „Silesia – Film”.

W ramach festiwalowego konkursu pokazano 36 filmów – 15 fabuły, 10 dokumentów, 7 animacji i 4 filmy krótkometrażowe. W kategorii filmów fabularnych i dokumentów przyznano po 3 nagrody pieniężne (5000 euro, 3500 euro, 2000 euro), w kategorii animacji i filmów krótkometrażowych – po jednej nagrodzie głównej (5000 euro). Wszystkie nagrody, zgodnie z ideą REGIOFUN jako Festiwalu producenckiego, przyznane zostały producentom wyróżnionych produkcji. Filmy oceniało międzynarodowe, 11-osobowe jury w składzie: Charlotte Appelgren, Grainne Humphreys, Irena Strzałkowska, Anna Więckowska, Brandon Harris, Jonathan Davies, Jan Erik Holst, Jerzy Armata, Andrzej Orzechowski, Zdzisław Kudła, Marcin Wrona.

Podczas gali zamykającej Festiwal statuetki „Złote Kadry Silesii” wręczono producentom nagrodzonych filmów. W kategorii filmów fabularnych pierwszą nagrodę otrzymała Ada Solomon, producent filmu „THE HAPPIEST GIRL IN THE WORLD” (reż. Radu Jude) opowiadającego historię rumuńskiej dziewczyny, która w warunkach rodzącego się kapitalizmu odnajduje swoje miejsce.

Miejsce drugie przyznano Magdalenie Nowackiej producentowi filmu „EWA” (reż. Adam Sikora i Ingmar Villquist). – To piękna wzruszająca opowieść o rodzinie, o miłości, która pokonuje wszystko, co stanie na jej drodze” – mówiła jedna z jurerek, Irena Strzałkowska. Trzecie miejsce otrzymał Cyriac Auriol, producent filmu „AGUA FRIA DE MAR” (reż. Paz Fabrega). To z kolei film o skomplikowanych relacjach dzieci z rodzicami. W kategorii filmu dokumentalnego pierwszą nagrodę otrzymali Luc i Jean-Pierre Dardenne, producenci filmu „VICTOR”, drugą przyznano producentowi Christianowi

Frei „SPACE TOURISTS”, Natomiast trzecią Michałowi Majerskiemu, producentowi filmu „OBERSCHLESSEN – KOŁOCZ NA DROGĘ”. W kategorii filmów krótkometrażowych nagrodzono Carsten Strauch, producenta filmu „FLIEGEN”. W kategorii filmów animowanych nagrodę przyznano producentom filmu „Szafa Zbigniewa” (Hugh Wechman, Magdalena Bargieł). Nagrodzone filmy „Szafa Zbigniewa” i „Ewa” powstały m.in. dzięki wsparciu finansowemu Śląskiego Funduszu Filmowego. Prestiżową nagrodę publiczności otrzymała „Mała matura 1947” w reżyserii Janusza Majewskiego. „To wielki honor i wielka przyjemność” – powiedział odbierając nagrodę producent filmu Włodzimierz Niderhaus – Dyrektor Wytwórni Filmów Fabularnych i Dokumentalnych. „Mała matura 1947” to historia o dorastaniu i dojrzewaniu pokolenia młodzieży w Polsce w pierwszych latach powojennych.

W programie Festiwalu znalazła się także retrospektywa belgijskiego funduszu filmowego Wallimage (w jej ramach pokazano 4 filmy).

Integralną częścią REGIOFUN była kolejna, V edycja przeglądu „Celuloid, Człowiek, Cyfra” – tym razem poświęcona twórczości wybitnego dokumentalisty Andrzeja Fidyka, eksperta Śląskiego Funduszu Filmowego. Retrospektywa obejmowała 7 filmów dokumentalnych. Zwieńczeniem był uroczysty benefis Andrzeja Fidyka w katowickim Kinoteatrze Rialto.

Na część branżową REGIOFUN złożyły się dwa istotne wydarzenia: Konferencja przedstawicieli Regionalnych Funduszy Filmowych z Polski i Europy oraz Forum Look for Fund – czyli

spotkanie branżowe dla producentów i przedstawicieli RFF-ów realizowane w systemie szeregu spotkań „one to one”.

Gościem honorowym Festiwalu była amerykańska dokumentalistka i producentka Cass Warner – wnuczka Harry



Statuetki „Złote Kadry Silesii” autorstwa artysty rzeźbiarza Jacka Sarapaty. Fot. arch. „Silesia – Film”

M. Warnera, współzałożyciela wytwórni Warner Bros.

Patronat honorowy nad Międzynarodowym Festiwalem Filmowym REGIOFUN objął Parlament Europejski.

Organizatorem I edycji Festiwalu REGIOFUN była Instytucja Filmowa „Silesia – Film”, która utworzyła pierwszy w Polsce Regionalny Fundusz Filmowy. Obecnie w całym kraju działa 12 takich funduszy. Są one ważnym partnerem nie tylko dla polskich, ale i międzynarodowych producentów filmowych. Druga edycja festiwalu REGIOFUN odbędzie się w dniach 16–20 listopada 2011 roku.

Cass Warner – honorowy gość festiwalu REGIOFUN. Fot. arch. „Silesia – Film”



Krzysztof Macha OPOWIADANIE WIGILIJNE

Dzwonek zaczął dzwonić długim warczeniem, a on usłyszał go jak zawsze. Niby spał, a przecież nie zdarzyło się, żeby ktoregokolwiek dnia z tych ośmiu miesięcy ktoś musiał go budzić, szarpać za rękaw, czy wołać.

— A więc wszystko będzie, jak zawsze – pomyślał M., kiedy spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest szósta. – W Wigilię regulamin obowiązuje bez zmian. Dzień, jak co dzień.

Dwadzieścia minut później stali stłoczeni na środku, a dwódcą patrzył im w twarz.

— Siedmiu, wodzu! — Bosman, jak zwykle zameldował celę.

— Siedmiu? Nie widzę jednego! — chorąży wsunął nogę za próg i rozejrzał się dokładniej w żółtym świetle żarówki — Aha! Dzień dobry, panowie. Wesołych Świąt!

— Hy, hy, hy, hy — ciężkim śmiechem wybuchł Półglówek, który podobnie, jak pozostali, uznał to za świetny dowcip. Kłapa zamknęła się i znów zrobiło się ciemno, bo Bosman zdążył jeszcze zawołać, żeby wyłączyli fazę. Ruszyli do swoich koji. Po minucie Wilk głębokim chrapaniem poinformował wszystkich, że apel już za nimi.

Leżał na plecach, przykryty dwoma kocami i czuł chłód przedostający się do środka szparami okna. Na dworze wciąż było ciemno, ale w pomarańczowym świetle lamp widział budkę wartowniczą na sąsiednim dachu i cień strażnika, który od czasu do czasu wydłużał się o rękę.

— Ciekawe, czy duży mróz dzisiaj? — zaczął się zastanawiać, bo lodówkę mieli na parapecie między kratami, a szybko i jeśli było zbyt zimno, to wszystko zamarzało na kość; zaś gdy temperatura była wyższa, ciepło celi ogrzewało wędliny i sery na tyle, że pokrywały się pleśnią w krótkim czasie. W rakiecie dostał karpia przyrządzonego na trzy sposoby: panierowanego, smażonego oraz w galarecie. Były też śledzie w oleju, które nie sprawiały tego typu kłopotów i sandacz w białej zalewie. Do tego oczywiście ciasto i kutia, a przede wszystkim kawałek opłatka.

Rozmawiali wczoraj pod celą o swoich wolnościowych wigiliach i wyszło, że u każdego obchodzono je inaczej. Tradycyjne trzynaście dań raz opierało się o kuchnię staropolską, kiedy indziej zaś o śląską, albo zagłębiowską. Ryby też były przyrządzane na różne sposoby i nie zawsze na stole królował karp.

— Tak naprawdę do tej pory nigdy nie przywiązywali uwagi do tajemnic świątecznej kuchni — pomyślał. — Każdy wiedział tylko, co lubi. I to, co bywało u niego na stole.

Wczorajsza rozmowa wyzwoliła w nich dyskusję o tym, jaka naprawdę powinna być Wigilia po polsku. Doszło nawet do małej utarczki między Wilkiem i Napoleonem, bo ten pierwszy nie potrafił wyobrazić sobie kolacji bez makówek i kompotu z suszonych śliwek.

— Szkoda, że wyszedł Artur! — przypomniał sobie wysokiego, tęgiego chłopaka o południowej urodzie, zawodowego kucharza, który był z nimi przez półtora miesiąca, do czasu, kiedy wyjaśniło się, że nie miał nic wspólnego ze sprawą za którą go zatrzymano. On by nam zrobił kolację! Praktycznie bez żadnych naczyń, czy jakiegokolwiek kuchenki, a jedynie z grzałką i dużym wiaderkiem po śledziach, kilka razy w tygodniu przyrządzał im pyszne pierogi. Jakies osiemdziesiąt sztuk, które znikają w momencie.

— Tak, ale on świętuje już po drugiej stronie — zreflektował się, ale nie zaczął myśleć o czymś innym. Miesiąc temu wydawało

się, że każdy z nich spędzi święta w domu. Wilk i Student mieli przedłużyć na początku grudnia, on sam w połowie miesiąca, a Napoleon, Półglówek i Bosman powinni byli mieć pierwsze rozprawy, na których spodziewali się uchylenia sankcji. I co?

Wyskoczył jedynie Smutny, który niczego się nie spodziewał. Najnormalniej w świecie grali rytualną partyjkę tysiąca, kiedy ktoś uderzył dwa razy w klapę i krzyknął: Wiśnik! Wiśnik!

— Nawijaj — powiedział Smutny, kiedy podszedł do drzwi.

— Panie Wiśnik, zegnamy się — wychowawca powiedział to na tyle cicho, że mało kto zrozumiał. Dwadzieścia minut później dzielili już między siebie rzeczy, które zostawił w szafce. A było tego sporo, bo dzień wcześniej miał patrzonko i żona obkupiła go w kantynie na trzy tygodnie do przodu.

Teraz wszystko było prawie jasne. Mieli odnowione sankcje, terminy rozpraw wyznaczono najwcześniej na styczeń. I tylko nikły cień nadziei pozostał jeszcze jedynie niektórym spośród nich, bo w drugiej instancji czekały na rozpatrzenie ich zażalenia.

— A mówili kiedyś na Spacerniaku, że na Boże Narodzenie prokuratorom i sędziom miękną serca — powiedział w bliżej nieokreślonym kierunku i przekręcił się na bok, by zejść z przycy, bo usłyszał, że pod klapę podjechał wózek ze śniadaniem. Powiedział „cześć” kalfusom, przełożył na styropianowe tacki niewyróżniające się niczym szczególnym śniadanie dla całej celi. Potem nalał jeszcze do trzech dołków mleczak, a ponieważ nikt nie wysyłał żadnej poczty i nie wystawiali dzisiaj śmieci, położył się na koji kilka chwil po tym, jak zasuwa kłapy szczękła i wróciła na swoje normalne miejsce.

— Pysńcio, to ja jadę! — chłopiec usłyszał stłumiony głos przez zamknięte drzwi swojego pokoju, odłożył nożyczki i wybiegł na korytarz. Z dudnieniem zbiegł z dębowych schodów i w ten sposób był już w holu. Mama czekała gotowa do wyjścia, w dzinsach i czarnym krótkim kożusku. Pomachała kluczykami od auta w ręce.

— Daj buziaka — powiedział i przytulił się do jej policzka — tylko uważaj, bo jest bardzo ślisko. Za ile wrócisz?

— Trochę to potrwa — odpowiedziała — najpierw zakupy, a potem muszę pojechać do banku. Zamknij się i nikogo nie wpuszczaj. I skończ to pakowanie prezentów! Jak wrócę, to poprawimy jeszcze lampki na choince, bo rzeczywiście coś je źle powiesiliśmy. Ale nie rób tego sam, bo jeszcze się przewróci. Coś ja pan Mulek źle oprawił! To pa!

— Pa! — Przekręcił zasuwę i wrócił do holu. Usłyszał łoskot zatrzaśniętej bramy, a potem krótkie warknięcie zapalnego silnika samochodu. Już z okna swojego pokoju zobaczył odjeżdżający samochód.

Usiadł znowu przy biurku i wrócił do tego, co robił przedtem. Wziął nożyczki i rozciął do końca arkusz ozdobnego, bożonarodzeniowego papieru. Mniejszy kawałek miał być na perfumy dla babci, a większym po przecięciu powinno się dać opakować grę dla siostrzeńca i lalkę dla jego siostry.

Od nowa zaczął liczyć dni i wyszło mu, że to już tydzień, odkąd wysłał życzenia świąteczne. Do taty napisał list i wysłał go jeszcze wcześniej, bo bardzo chciał, żeby zdążył dojść na czas.

Pomyślał o kartce do Kasi, koleżance z klasy, która spodobała mu się od pierwszego dnia, kiedy trafiła do ich szkoły i zobaczył, jak siada w ławce razem z Marylą. Rodzice przeprowadzili się do

Katowic i zapisali ją do ich szkoły. Po roku okazało się, że jest bardzo dobrą uczennicą i mogłaby rywalizować z każdym w nauce.

Niestety, bardzo w tym czasie urosła, była teraz o głowę wyższa od niego. Oglądali się za nią chłopcy z gimnazjum, ona miała podobno chłopaka w innej szkole. Długo nie przyznawał się nikomu, że ją lubi, aż w końcu któregoś dnia, gdy jechali do szkoły, tata tak go męczył i męczył, że się przyznał.

— Trzeba było od razu — powiedział tata i od tej pory, od czasu do czasu, rozmawiali na jej temat.

Potem była akademicka na okazji Dnia Matki i występowali razem w skeczu, a mama miała okazję ją poznać. Teraz już wszyscy wiedzieli, że Kaśka mu się podoba, ona też wiedziała. Najgorsze było to, że jakby w ogóle go nie zauważała.

W poprzednim liście tata zapytał, co tam u niej słychać, trzeba było coś napisać, w końcu wyszło z tego jakieś „hmm...ho..uhm...”, czasem rozmawiamy”. Tata odpisał, że bym się nie przejmował, wysłał jej życzenia, najlepiej, żeby nie były podpisane, bo wtedy będzie musiała zgadywać, od kogo są. Tak zrobił i teraz żałował, że nie może zobaczyć, jak otwiera kopertę i je czyta. Tata...

Łza poleciała mu po policzku, bo nie widzieli się już tyle miesięcy. Pewnego dnia przyjechał ze szkoły, a mama siedziała w kuchni i płakała. Brama była otwarta, drzwi też, aż się zdziwił, jak naciśnął klamkę. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tata zamiast wrócić z pracy do domu, został zabrany przez policję.

— To pomyłka, synu — tłumaczyła mu mama. — Może trochę potrwać, zanim wszystko się wyjaśni. Tatuś ma dużo kłopotów w pracy, to wszystko przez to. Ale wiesz, że sobie poradzi. Musisz się dobrze uczyć, to teraz najważniejsze.

Niestety okazało się, że sprawa taty nie chce się wyjaśnić. Mama była już u niego na widzeniach kilka razy, ale mimo, że on też mógłby pójść, bał się i za każdym razem prosił, żeby tata zrozumiał, że jakoś nie potrafi; że tak, jak pogrzebów, boi się też więzienia. Taticio go rozumiał, napisał mu to w jednym z listów ...

Rozwiązali też jeszcze inną wspólną sprawę. Wiele miesięcy temu, jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego umówili się, że razem zorganizują urodziny Bartka Łosia, jego najlepszego kolegi, którego tata był akurat w USA. Pisali o tym w listach do siebie, za każdym razem wymyślając następną datę, aż w końcu wymyślili i na jednym ze spotkań pogadał z Bartkiem, a potem bezterminowo odłożyli imprezę, bo stwierdzili, że mamy tak fajnie to tego nie urządzają

Skończył wreszcie te trzy pierwsze prezenty i zsunął na bok stołu pozostałe, bo zaczął bać się, że niedługo wróci mama, a on nie zdąży spakować niespodzianki dla niej. Otworzył szafkę na ścianie przed sobą i wyjął kartonową teczkę z wytartymi i pogniecionymi rogami.

Tata miał teraz dużo czasu, więc pisał różne rzeczy: wiersze, bajki i coś jeszcze, o czym mama mówiła, że to o Śmietniku, czyli areście. Któregoś dnia w liście przyszła bajka o Słoniu Sznurusi. Co prawda był już na takie rzeczy za stary, ale rozbawiła go, a nawet zastanowił się, czy nie mógłby jej zilustrować. Odpisał, że mu się podoba, a potem sam napisał wiersz „O wszystkim”. Za dwa tygodnie z kolejnego listu dowiedział się, że wiersz się podoba i na dodatek tata napisał do niego coś, jakby bliźniaka zatytułowanego „O tylko jednym”.

Wyjął teraz te dwa wiersze, które wczoraj wydrukował obok siebie na jednej kartce i przeczytał ten od taty jeszcze raz:

„O tylko jednym”

O Tobie,
O Psyńciu,
O mnie,
I o naszej Joli.
O dziadkach,

O Łosiu,
Tęsknocie, co boli
O liście,
Laurkach
I o internecie.
O krótkiej godzinie,
O młodym poecie.
O szóście z muzyki,
I o zakochaniu,
O konkursie Kangur,
O książek czytaniu,
O ulubionych nartach w Falcade,
Chyba wiesz już teraz, o czym w tym wierszu
Tak naprawdę jest napisane!

Znowu poleciały mu łzy, ale obtarł je szybko i wziął się za robotę. Z półki pod biurkiem wyjął antyramę, którą kupili dawno temu w zupełnie innym celu oraz rulon cienkiego, ale bardzo ładnego papieru. Rozwinął go, obejrzał starannie i wymierzył na właściwy format. Potem odciął papier, wyprostował i zaczął wpasowywać do antyramy. Na koniec małą porcją kleju przykleił kartkę z wierszami i podpisał swój wiersz Monk jr. Bliźniak pozostał niepodpisany, bo już wcześniej wymyślił, że zrobi to tata, kiedy wreszcie wróci. Postawił jeszcze daty, którymi były opisane listy i włożył swoje dzieło pod szkło. Zostało zapakować je w ozdobny papier, opisać i zanieść pod choinkę.

Uff, westchnął z ulgą. Mógł wrócić do pozostałych prezentów.

Serek homogenizowany na wigilijne śniadanie nie był czymś nadmiernie wykwintnym nawet tu, w areście. M. już miał chwycić kawałek suchej kielbasy, która wisiała za oknem, ale doszedł do wniosku, że to jednak nie wypada, więc zrobił sobie jeszcze sałatkę z pomidorów. Skończył i z powrotem położył się na pryczy.

Na dworze i w celi robiło się już jasno. Płatki śniegu kręciły się wolno lecąc z nieba, musiało być tylko kilka stopni mrozu, a więc cieplej, niż ostatnio. Na jaśniejącym tle okna majaczył znajomy kształt kartonowego serca, które powiesił tu kiedyś. Założył okulary i wziął je do ręki. Było całe pokredkowane czerwoną świecówką, a na środku miało przyklejone zdjęcie. Otworzył laurkę i setny raz patrzył na napisany ręką syna wiersz „O wszystkim”.

Tytuł widział wyraźnie, potem było już gorzej. Ale nie musiał czytać, przez te wszystkie samotne wieczory i ranki zdążył go już nauczyć się na pamięć, jak pacierza. Zamknął oczy i zaczął jeszcze raz:

„O wszystkim”

O wszystkim,
O sobie, co po rosyjsku gadała,
O ludziach i zwierzętach,
O księżycu z gwiazdami,
O magii i czarodziejstwie,
O słoniach tańczącym,
O krecie kopiącym,
O roztartym pergaminie,
O złocie i platynie.
O tacie i synu,
O Brazylii i USA,
O tym, że dwa i dwa to pięć,
O książce latającej,
O przewodniku i dłuuuuugiej wycieczce,
O tym, że kiedyś to padały deszcze!
No, kurcze...
Nie wiem, o czym ten wiersz.
Może być jeszcze!

— Hm, Psynćcio, nieźle to napisałeś! – pomyślał — A jak na jedenastolatka, to w ogóle super. To nie przypadek, że Cię wzięli do gazetki szkolnej.

Przypomniał sobie Boże Narodzenie jakieś sześć, może siedem lat temu. Syn odmawiał pójścia spać, bo koniecznie chciał się spotkać z Gwiazdorkiem i zobaczyć, jakie ma dla niego prezenty. W końcu stało się jasne, że jeśli coś się nie wydarzy, to będzie całkiem złe.

Nagle szcęknięło okno gdzieś na górze, pobiegli obydwaj zobaczyć, co się stało, a kiedy wrócili, okazało się, że pod choinką leżą prezenty, ale Ten, kto je przyniósł, poszedł już do innych dzieci, bo bardzo się spieszył i nie mógł czekać, aż on wróci z poszukiwań. Żeby wszystko było choć odrobiną niespodzianki wytłumaczyli mu, że otworzyć można je dopiero jutro, po kolacji. To nie do wiary, ale przekonali go i wreszcie poszedł do łóżka.

Wtedy syn wierzył jeszcze w Mikołaja i Gwiazdora. Rok później całkiem nieźle już czytał i przeprowadzał śledztwo, jak to możliwe, że na przypadkowo znalezionym rachunku ze sklepu są klocki Lego, które on znalazł pod choinką. A miał wtedy pięć lat!

— Och, co ja bym dał, żeby poszło, tak jak ze Smutnym i ktoś teraz rąbnął w klapę wołając „Panie M., zegnamy się!”.

Popatrzył na zegarek, bo Milky zaczął niespokojnie kręcić się na pryczy, widocznie nie mógł już dłużej spać.

Zaraz zaczniesz się ruch w interesie – stwierdził. — Za dwieścieścia jedenasta. Będą się myć, jeść śniadanie, ubierać na spacer.

Siedmiu na dwunastu metrach kwadratowych. Tylko siedmiu, bo za ścianą jeszcze niedawno było dziewięciu, w tym jeden na plaży...

— Znowu Ci się żona śniła? – popatrzył w oczy Milk'ego, którego przezwisko wzięło się od codziennego, już rocznego, wstawania po mleczak i opowiedział mu scenę, która obudziła go w nocy. – Nie masz guza na głowie? Bo raz chyba aż usiadłeś na koju!

— Co? Znowu gałędem? Nie wierzę! – tamten zsunął się po drabince i teraz zakładał pajęczynkę Big Stara, która przy odtarganych rękawach robiła go potężniejszym z wyglądu. Pozostali ciągle jeszcze leżeli, choć M. wiedział z doświadczenia, że to już tylko kilka chwil i pod celą rozpocznie się codzienny ruch, jak zawsze zaczynający się od włączenia szkiełka.

— „Co ty, kurwa, Kacha, nie rozumiesz, że ja chcę pomieszkać w domu?”. Tak jakoś to było – zacytował zapamiętane słowa.

— To może i prawda? – Milky poprawił okulary, które nosił od jakiegoś czasu już całymi dniami. – Śniło mi się, że pojechałem do córki, a Kaśka nie chciała mnie wpuścić do mieszkania.

— M.! M.! – Milky, który stał bliżej pierwszy usłyszał wołanie z drugiej strony klapy i popatrzył na niego czekając na reakcję.

— Poeta, do klapy! Złaz z koja – Milky powtórzył to, co usłyszał, a on niezgrabnie, ale szybko zsunął się z pryczy, potem o mało nie przewrócił się szukając swoich butów i wreszcie podszedł do drzwi.

— Nawijaj – powiedział, a potem usłyszał to, na co już nie liczył.

— Wychowawca. Dzwonili z sądu, ma pan zmianę sankcji – rozpoznał teraz jego głos i nie miał wątpliwości, że to prawda. — Jeszcze potrwa godzinę, dwie, ale niech się pan szykuje. Święta w domu! No, no!

Przez bramę przechodził dwa razy, ale to nie był żaden przesąd, przynajmniej nic o nim nie wiedział. Po prostu rzeczy zgromadziło się w międzyczasie tyle, że nie mieściły się w jednym pudle. Żonie poleciały lzy, jemu nogi zrobiły się miękkie, także adwokat autentycznie się cieszył. Wrzucił pudło do bagażnika, delikatnie ustawił szkiełko i obłożył je reklamówkami z resztą dobytku.

— To był cud – powiedział po kilku minutach jazdy, w czasie których przyglądał się ludziom na ulicach. – Marzyłem o nim, ale wiedziałem, że nie może się wydarzyć.

— Nie mówiliśmy Ci nic, bo nie wiedzieliśmy, czy sprawa trafi na wokandę – gestykulowała niebezpiecznie ręką w jego kierunku. – Równie dobrze mogło się to wydarzyć po Nowym Roku!

— Uważaj – wskazał głową na radiowóz jadący z lewej. –

Jestem za krótko na wolności, żeby znowu wchodzić w konflikt z prawem. A Psynćcio gdzie?

— W domu, czeka aż wrócę z zakupów. Też nic nie wie! – odpowiedziała trzymając już obie ręce na kierownicy. – Ależ będzie zaskoczony!

Podjechali pod bramę i zobaczył, że śnieg, który normalnie byłby odgarnięty, tym razem leżał rozjeżdżony. Tu i ówdzie widać było ślady butów.

— No tak – pomyślał. – To przecież robota dla mężczyzny.

Pilotem otworzył bramę, a kiedy podszedł już do drzwi domu z przyjemnością włożył klucz do zamka, przekręcił go dwa razy i nacisnął klamkę. Kiedy stawiał nogę na progu cofnął się jeszcze i długim tradycyjnym dzwonkiem dał znać, że ktoś z rodziny jest u drzwi. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i dudniący tupot stóp na schodach.

— To ty, mamus? – Psynćcio wyskoczył z klatki schodowej i z całym impetem wpadł na niego. Jeszcze w ostatniej chwili podskoczył w górę i objął go rękami i nogami, a potem przytulił głowę do jego policzka.

— Tacio... – powiedział łamiącym się głosem.

Potem długo siedzieli pijąc herbatę i trzymając się za ręce. Nie rozmawiali tak dużo, jak każdy z nich by się spodziewał. Nie potrafili...

Niecałe dwie godziny później M. założył tyle co wyprasowaną koszulę i czarno-białą smokingową muszkę, a potem zapiał marynarkę i przejrzał się starannie w lustrze.

— Schudłem więcej niż się spodziewałem. Twarz zrobiła mi się wyraźnie pociągła, a zmarszczki widać jakoś wyraźniej – pomyślał i wyszczerzył zęby, które czyścił przez ostatnie dwa tygodnie aresztu kilka razy dziennie, jakby w obłędzie. Wyszedł z garderoby, zamknął za sobą drzwi i po kilku krokach lekko stukając obcasami półbutów znalazł się na wprost wigilijnego stołu. Jego tradycyjne krzesło głowy domu czekało na swoim miejscu, a nakrycie zapraszało porcelaną i srebrem. Na środku obok koszyczka z sianem leżał talerz z opłatkiem.

— Tacio! – syn też już wyszedł ze swego marynarskiego pokoju i ubrany w garnitur z dobrze dobranym przez mamę krawatem, patrzył na niego pytającym wzrokiem. – A co będziemy robić jutro?

— Świętować! – odpowiedział trochę zaskoczony, bo wszystko działo się tego dnia tak szybko.

— A pojutrze?

— Też! Ale pojedziemy na groby do dziadków i twojej opiekunki – tym razem mówił już bardziej obecny i zamyślony wzrokiem patrzył na zastawiony stół. — W tym roku mało nas usiadzie do kolacji...

— ...a po świętach?

— Psynćcio, o co chodzi? Wigilia przecież!

— Ale powiedz!

— Zaczniemy nowe życie, synu...

Nie pójdziesz do pracy? Naprawdę? – chłopiec zrozumiał jego odpowiedź po swojemu i popatrzył mu głęboko w oczy, a potem z uśmiechem podstępnie dodał:

To może pojedziemy na narty, co? Są dobre warunki, a mamy zaległości z listopada!

M. zaczął się śmiać...

Kiedy skończył to pisać, odłożył długopis i niewidzącym wzrokiem przez kilka minut patrzył gdzieś daleko przed siebie. Teraz był już późny wieczór, niemal pora Pasterki. Spojrzał przez okno i zastanowił się, że przecież te szprosy wyglądają zupełnie tak, jak te kraty!

Albo może te kraty, w pomarańczowym świetle lamp, przypominają mu szpros tych okien?

Podniósł głowę i zobaczył cień na drugim dachu. Ze znajomej sylwetki oddzieliło się coś, co musiało być ręką, albo karabinem.

Maciej Melecki – ur. w 1969 r. Autor czterech arkuszy wierszy: *Zachodzenie za siebie* (1993), *Dalsze zajścia* (1998), *Panoramix* (2001), *Opuszczone strony* (2008) i tomów wierszy: *Te sprawy* (1995), *Niebezpiecznie blisko* (1996), *Zimni ogrodnicy* (1999), *Przypadki i odmiany* (2001), *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy 1995 – 2005* (2008), *Przester* (2009). Laureat Literackiej Nagrody Czterech Kolumn (2010) i Literackiej Nagrody Otoczaka (2010). Pracuje w Instytucie Mikołowskim. Mieszka w Mikołowie.

Maciej Melecki



Fot. J. Suchanek

Otoczak dla Meleckiego. Nagroda Otoczaka została tym razem przyznana Maciejowi Meleckiemu za: „intelektualną diagnozę i emocjonalne zmierzenie się z napężniałym byciem dla bycia”, za swoiste przypomnienie, że przecież „nie być” – czy się chce, czy nie – następuje po „być”, ale też to „być” poprzedza, o czym poeta przypomina w całej swojej twórczości, a szczególnie w wydany w ubiegłym roku tomie *Przester*. Za każdym razem Nagroda wręczana jest w innym mieście przez jej fundatora Jerzego Suchanaka, przy okazji ważnego wydarzenia literackiego. W tym roku stało się to podczas Międzynarodowych Spotkań Poetyckich POBOCZA – Więcbork 2010. Wśród laureatów z poprzednich lat znaleźli się: Wojciech Brzoska, Piotr Cielesz, Wojciech Kass.

Bielejący pochówek mroku

Brodzić w ciemności, wchodzić w jasność, wygrzebywać
Resztki drogi z napotkanego wraku, znajdować tylko porzucone,
Znajdować tylko zagubione, owe rzeczy nieprzydatne, zmięte
Papierki, kawalki szkła. Przypominać sobie, jak kiedyś
Płynniej pracowały tłoki, spławniej schodziły i wylały się
Dni bez kierunku. Konkretny falstart. Ruszanie się wokół.
Poruszanie do tyłu. Ugór próby. Szorstka poświata krawędzi.
Niewklęsłe nic. Masz więc, co chciałeś, choć już nie wiadomo,
Czy można coś chcieć, nie wiadomo niczego, co dałoby się
Jeszcze mieć, lepiej wystawać poza obwód, w skurczonym przelocie

Od zerwania po odrzucenie, aż po bezwład popołudnia,
Bielejący pochówek mroku, ślepego otworu zalepionego sytkim
Śniegiem. Ostatecznie więc przepadasz, nikniesz tylko dla
Mnie, i mając już coraz mniej miejsca w zdawkowym powidoku,
Rośniesz tylko w swoim skrzypie, a na zdjęciu rosną ci już
Inne włosy. Na tym ramieniu oprzeć wszystko i do niczego
Nie wracać, dostęp bowiem zerowy, żadna nadzieja, nawet płonna
Jak potrącona lampka, nawet zaniechana, żadna kryjówka
Już tego nie mieści, w schowkach ochryple trawi się czas,
Niedokonany dla tego, co pozostałe, wyśnione, chybotliwie
Przyszłe i już zapadłe. Tu, w osinowym kolku nocy, jeszcze

Niepołożone, nie white, ale już pewnie wycelowane,
Wypatrzone szczątkowo, śladem wyluskane, kiedy głowa
Nie mieści się już we wnęce wizji, nie wychyla się w coś, lecz
Zrodzone z naglej chęci dotyku, przeszycia na wylot tego
Ruchomego splotu. Ale tutaj ktoś jeszcze jest, choć nie
Wiadomo o co zaczepiony, w jakim kącie się wiję. Późne
Oznaki życia, jarzący się śnieg na oświetlonych parapetach,
Jonizująca czaszka mrozu, i tylko donikąd pozostaje iść,
Na nikogo nie czekać, przed nikim niczego nie wywlekać.
Mieliśmy však tyle lotnych okazji na przeskoczenie belki cienia,
Pięknie było rozrzutnie tracić, szczodrze siać i nie zbierać,

Taksując widmowe widoki przez zmrużone oczy, w każdej
Kostce chwili mieć tylko puste pola, i nie oglądając się za
Siebie, przed sobą mieć czystą kość świtu, perspektywę coraz
Częstszymi zniesień. Chwilowy teatrzyk. Chwilowy płas.
Sekundowy omam. Cieniste odbicia, rozmowy o koniecznych
Zwrotach, podróżach innych, między burtami codziennego
Szczucia bieżącą gmatwaniną, tym, co miało być już dawno
Wykonane, jarmarcznie załatwione. A więc brak iskrzącego
Chcienia, poczucie karbowane niemożnością przyspieszenia,
Deska światła i dwa końce kija. Jeden dławi, drugi dźga.

II Ogólnopolski Konkurs Poezji Więziennej – Katowice, 5 listopada 2010

Nie szukamy nowego Geneta

Jerzy Suchanek

Życie Jeana Geneta nie było przykładne. W biografii tego wychowanka domu dziecka są ucieczki, kradzieże, oszustwa, fałszerstwa, dezercje, a obok nich wyroki i odsiadki. Również w katowickim więzieniu, gdy w latach trzydziestych tułał się, a właściwie mიაtal po Europie. Zaczął pisać – najpierw poezje – nie gdzie indziej, ale właśnie w celi. I dzięki poezji udało mu się, zresztą nie bez pomocy wybitnych pisarzy, którzy zachwycili się jego twórczością, w końcu wyrwać z kryminalnego kręgu. Czy miał naturę opryszka, skoro w wieku dojrzalym i niemal do samej śmierci nie stronił od – już legalnych – awantur i skandali? Być może. W jakiejś mierze można go przecież uznać za swoistego spadkobiercę na przykład Francois'a Villon'a. Jednak tylko w wypadku Geneta mamy tak wyraźną ilustrację socjalizacyjnej (czy też resocjalizacyjnej) roli twórczości literackiej. Osobowość Geneta ukształtowały okoliczności zewnętrzne (od samego początku jakby niezależne od niego samego, jak ta, że porzuciła go matka). I tak też kreował postaci ze swoich dramatów, co krytycy skłonni są opisywać, jako apsykologizm, brak wewnętrznej prawdy, wchodzenie w rolę, narzucone przez okoliczności, a nie wynikające z własnej predestynacji. W dramacie więziennym, jakim w gruncie rzeczy jest „Ścisły nadzór”, Genet pokazuje ten samonapędzający się mechanizm opresji. Autor „Dziennika złodzieja” nie usprawiedliwia swoich bohaterów (sądzę, że dlatego rezygnuje z psychologizmu, bo ten prowadzi do – najczęściej tanich – usprawiedliwień), nie sprzeciwia się dolegliwości kary. Rzeczywistość więzienna jest przestrzenią steatralizowaną, role rozdysponowane i narzucone niejako bez względu na to, co więźniów więźniami uczyniło. I choć spod tych masek wyzieraają samodzielne indywidualności, są już tylko indywidualami... obserwującymi się czujnie i obserwowanymi z zewnątrz. Funkcję Orwellovskiego Wielkiego Brata pełnią tu strażnicy. Warto w tym momencie odnotować, że inną wersję sytuacji uwięzienia stworzył Sławomir Mrożek w „Emigrantach”, gdzie brak zewnętrznej obserwacji jest tożsamy z brakiem akceptacji, zaś Josif Brodski w „Marmurze” (jak sam przyznał w dużej mierze na sztuce Mrożka wzorowanym) dopełnia sytuację: jest samoobserwacja bohaterów, obserwacja z zewnątrz i kara (wyrok) nie powiązana przyczynowo-skutkowo z żadnym występkiem (wymierzana losowo ustaleniemu przez statystykę procentowi społeczeństwa).

Myszę, że również Genetowska rzeczywistość więzienna ma wszelkie cechy dystopijne, jest przy tym dystopią zrealizowaną. A przy tym jedyną konieczną.

Teraz miałem okazję przyglądać się jej ponownie (bo przed laty reżyserowałem

w myślowickim Teatrze Zwyczajnym nie tylko „Ścisły nadzór”, ale też „Emigrantów” i „Marmur”) poprzez wiersze napisane przez więźniów na Ogólnopolski Konkurs Poezji Więziennej im. Jeana Genet'a, zorganizowany już po raz drugi przez Areszt Śledczy w Kato-

Areszt w Wojkowicach. Fot. arch.



Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Jean'a Genet'a to wewnętrzna inicjatywa Aresztu Śledczego w Katowicach. Druga edycja konkursu skierowanego do osadzonych przebywających w aresztach i zakładach karnych w całej Polsce wpisuje się w projekt działań resocjalizacyjnych aktywizujących osadzonych poprzez ich czynne uczestnictwo w kulturze. Wybór patrona tego przedsięwzięcia jest nieprzypadkowy: Jean Genet – wybitny, znany na całym świecie, acz niepokorny pisarz i dramaturg francuski nie dość, że miał na swoim koncie epizod pobytu w katowickim więzieniu (lata 30. ubiegłego wieku), to jeszcze w dodatku sam zaczął tworzyć przebywając właśnie w warunkach więziennej izolacji. I to wydało mi się najistotniejsze, że nawet w warunkach odosobnienia, pomimo społecznej alienacji, można próbować być twórczym, można poprzez literaturę próbować wyrażać emocje, starać się zmieniać siebie i innych.

W tym roku na konkurs wpłynęło ponad sto zestawów wierszy z całej Polski, w tym także z jednostek penitencjarnych z Zagłębia. Jurorami drugiej edycji konkursu byli znani poeci ze Śląska i Zagłębia: Jerzy Suchanek, Marek Krystian Emanuel Baczewski oraz Grzegorz Olszański. Obie strony – uczestników konkursu i jurorów, połączyły wiersze. I dla obu stron było to z pewnością niezapomniane doświadczenie.

Rozstrzygnięcie Konkursu odbyło się w dniu 5 listopada w świetlicy Aresztu Śledczego w Katowicach. Pierwszą nagrodę zdobyła osadzona z Aresztu Śledczego w Ostródzie. Podczas imprezy jurorzy prezentowali nagrodzone utwory, a także twórczość własną.

Wojciech Brzoska – poeta, organizator konkursu

wicach. Liczba nadesłanych zestawów wierszy – sto kilkanaście – skojarzyła mi się z szacunkową liczbą uprawiających sztukę słowa na tzw. wolności... I wyszło mi, że wśród piszących wiersze procent więźniów jest bardzo zbliżony do procentu obywateli więzionych w świecie przedstawionym „Marmuru”. Przyznam, że w tym momencie sprawdziłem, czy w moim oknie nie ma krat... Jeszcze nie ma... Patrząc przez okno zastanowiłem się nad trafnością wyboru Jeana Geneta na patrona konkursu. Jego katowicki epizod oceniłem, jako efektowny pretekst. Natomiast ważnym uznałem to, że dzięki literaturze odbudował swoje zrujnowane od dzieciństwa życie, a dla swojej niespokojnej osobowości znalazł przestrzeń, w której mogła funkcjonować bez występku. Wśród nich była też kradzież książek. Gdy ukazało się polskie wydanie „Dziennika złodzieja”, znajomy księgarz tłumaczył mi, że sprzedaje tę książkę „spod lady”, bo jak tylko wystawił egzemplarz na półce książka była kradziona... Ciekawe, czy przez miłośników Geneta, czy także przez szukających podręcznika zawodowego, a zmylonych tytułem? Z burzliwego życiorysu Geneta wiemy, że wśród drobnych kradzieży, których dokonywał, często była to kradzież książek. Łotrzyk, ale szkołę podstawową ukończył, otrzymując na świadectwie najwyższe oceny. Później, to jest po pierwszym, trwającym siedem lat okresie służby w Legii Cudzoziemskiej, dezercji, deportacjach, odsiadkach i po drugim – już krótkim – powrocie do munduru legionisty, znowu kradł książki. Odnotowano, że były to książki historyczne i filozoficzne, a także jeden tom „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. Nic nie przychodzi samo z siebie. Nie wystarczy być niespokojnym duchem, nie wystarczy wyobraźnia, która w czterech ścianach celi może się rozbijać, jak morze w czasie sztormu. Trzeba czytać, trzeba się uczyć – bez tego wyobraźnia będzie kiepsko skleconą tratwą, a nie fregatą

pod żaglami, konikiem na biegunach, a nie galopującym rumakiem. Lektur nie zastąpi telewizja. Kilku uczestników katowickiego konkursu już poczuło się Autorami, a nawet Poetami (tak, tak, pisanymi z dużej litery!) – gdyby przeczytali więcej książek, choćby tyle, ile jest liter w ich tekstach, cnota skromności nie byłaby im tak obca...

Nie, nie mam oczekiwań na miarę patrona konkursu. Układanie słów w wiersze dla wielu ma przede wszystkim aspekt (auto)psychoterapeutyczny i (re)socjalizujący. Poezjowaniu oddawała się całkiem spora liczba ludzi piśmiennych od zawsze (podobnie jak muzykowaniu). Choć po epoce, która skończyła się wraz z kinem i płytami gramofonowymi, zniknął też autentyczny folklor i/bo został zastąpiony przez tzw. popkulturę, to przecież niegdyśjejsi pamiętnikarze dzisiaj są np. blogerami. Jeśli pisanie własnych wierszy wciąż się broni (i nie podzieliło losu domowego muzykowania, zagłuszonego skutecznie przez urządzenia najpierw mechaniczne, a następnie elektroniczne), chociaż czasem kartkę papieru i ołówek zastępuje np. komórka i kciuk, to pewnie dlatego, że umiejętność pisania (niezbędna by móc czytać) niejako musi znajdować ujście. Całe mnóstwo tych prób wypowiedzenia się (wypisania) jest marnej jakości i wtórnych warsztatowo, lecz z wielu – poprzez zwyczajne błędy i braki, poprzez ułomne naśladownictwo i nieumiejętność samooceny – przebijają się (z trudem, bo z trudem) godne uwagi szczerść i autentyzm na równi z (przedwczesnymi) artystowskimi pozami. Cóż, Genet nie szukał w twórczości odzwierciedlenia prawdziwego świata, nie interesował go realizm, kreował własne realności, odgrywał je. Wpierw odgrywał według natarczywego scenariusza pisanego przez warunki społeczne międzywojennej Francji niejako swoje życie, ulegając raz po raz złu, wciąż wpadając w wykołajające

koleiny. Potem grał literaturą, by wreszcie znów grać rolę, ale już taką, którą potrafił w dużym stopniu kontrolować.

Jest Genet przykładem, ale kto wie, czy losy jemu podobnych, przedzierających się przez kraty do uczciwego życia zwykłych ludzi nie byłyby bardziej interesujące, gdyby ktoś je zapamiętał i zapisał? Uczestnicy konkursu, którego stał się patronem, więźniowie, w swych literackich próbach przede wszystkim skupiają się na samych sobie (choć nie brakło pojedynczych wierszy publicystycznych). Piszą o swoich tęsknotach – za miłością, za matką, za rodziną, za domem i – oczywiście – za wolnością. Proste emocje, ale właśnie one są przecież podglebiem również twórczości najwybitniejszych poetów. W kilku wierszach z tegorocznego konkursu pojawia się – dość wątle co prawda – coś więcej oprócz uzewnętrznienia własnego bólu i dolegliwości związanych z tzw. odsiadką. To „coś więcej” to poczucie winy i pierwsze przeczcucie, że odbycie kary nie jest równoznaczne z zadośćuczynieniem za krzywdy wyrządzone innym ludziom. Skoro w tych intymnych wypowiedziach, bo przecież forma wiersza dla intymnego wyznania została przez mistrzów przysposobiona, pojawia się potrzeba takiej świeckiej ekspiacji, ale przecież mającej wymiar duchowy i – jednak – transcendentny, to obserwujemy kiełkowanie empatii. Dla nadziei, że te kiełki nie zwiędną, warto przedzierać się przez te niezgrabne wersy, chociaż często, jak pustynna rzeka w piach, wsiąkają bez śladu w papier.

Nie będzie więc niestosownym pogratulować pomysłodawcy i organizatorowi konkursu, Wojciechowi Brzosce, że wykorzystał swą wiedzę o sile słowa, sile poezji do takiego przedsięwzięcia. Nie szukamy po celach nowego Geneta, szukamy przemiany w was, piszący więźniowie.

Powystawowe refleksje

W Sosnowieckim Centrum Sztuki w Zamku Sieleckim znów było tłoczno i gorąco. Gorąco od wrażeń i dyskusji wśród uczestników wernisażu XIII Sosnowieckich Spotkań Artystycznych – fotograficznej wystawy poplenerowej – „Barwy miasta Sosnowiec a Kutna Hora”.

Twórcy obdarzeni wielkim talentem i niebanalnym spojrzeniem na otaczający nas świat pokazali to coś, wokół czego często chodzimy, a czego nie dostrzegamy. Różnorodność warsztatu i wybranego tematu były przyczynkiem do długich dyskusji uczestników wernisażu z twórcami.

Wystawa jest na bardzo wysokim poziomie artystycznym i tylko żal, że Sosnowieckie Centrum Sztuki nie dysponuje dodatkowymi salami (niestety od kilku lat są niewyremontowane), więc musiano ograniczyć ilość wystawianych prac, a to wielka strata.

Chciałbym serdecznie podziękować kuratorowi wystawy Pani mgr Małgorzacie Malinowskiej, Dyrekcji i całemu Zespołowi Zamku Sieleckiego za wspieranie aranżację wystawy, piękny katalog i oczywiście wernisaż.

Jerzy Łakomski, komisarz pleneru



Zrozumieć głosy płynące z KU

Tom wierszy *KU* Jerzego Suchanka wydany w serii wydawniczej Biblioteki „Toposu” to przede wszystkim droga ku swobodnej improwizacji w języku. Ponadpokoleniowe, ponadkulturowe poszukiwanie w różnych generacjach i tradycjach językowych. Rodzaj walki ze skostniałym i odtwórczym podejściem do leksemu i jego zespołu form językowych reprezentowanych w tekście poetyckim. Wyzwalanie języka z presji poddawania się kulturze masowej, narzuconej schematyzacji.

Przyzwyczajanie i społeczne jednonoznaczne oczekiwania w świecie językowej komunikacji to rodzaj choroby. Panaceum na nią jest właśnie dążenie ku nowym formom wyrazu. Poszukiwanie zmierzające ku opozycjom: inwencja – konwencja, intuicja – erudycja, gdzie inwencja i intuicja są zjawiskami pożądanymi. To funkcje budujące indywidualność obrazu. Autor *KU* wyswobadza się z gorsetu zniewolenia budową słownikową języka. Ucieka od ortodoksyjnej poprawności. Intuicyjnie poszukuje własnej drogi nieobciążonej konwencjami, ale to właśnie poszukiwania naprowadzają go ku poezji lingwistycznej, zwłaszcza Juliana Przybosa. Patrząc choćby na przybosiowską próbę zawarcia Najwięcej w Najmniej tak / ażeby Rygor / Miał w sobie rozpasaną bujność i Przypadek (*Chowanka*), można ten sam idiom odnaleźć w wierszach Suchanka. Bywa oczywiście, że nadmierne poszukiwanie i eksperymentowanie w języku prowadzi do niezrozumiałości. Autor *KU* wyszedł z tego zmagania obronną ręką. Osobliwy język nie zaburza percepcji, choć ten ten nie jest zbiorem łatwym w odbiorze, a przez to nie schlebia gustom czytelników. Autor jednak nie wymaga od czytelnika więcej niż od siebie samego. Bawi się zaskoczeniem, polifonicznością swojej sztuki. Czytelnik staje się na moment bezradny wobec wizji autora, onieśmiałony tym, czego nie wie: jeśli nie wiadomo, to wiadomo. Jeśli wiadomo / to wiadomo. Jakby nie owinąć. Kłamstwem czy prawdą. / Nie wiadomo różnicy. Wiadomo niewiadomo (*Kronia Polskie*). To pierwsze onieśmienie – po dłuższej lekturze – mija, ale właśnie pewna dezynwoltura językowa stawia czytelnika pod murem. Murem konieczności przenicowania, przeszukiwania i przewartościowania na nowo wagi słowa, z którym ma do czynienia. Nie

ma tu miejsca na mizdrzenie i kokie-towanie odbiorcy. To pokierowanie go ku zmierzaniu się z materią oryginalnej wizji w obrębie słownika: W szalikach duszek, oszalałych od szelestu na szal-kach / w wazoniku i w wagoniku, nie-zważeni, niezwołnieni / niezwiędzeni, zarżnięci, zaraczeni, zaleczeni, zale-ceni / zamęczeni, zanęceni, zaręczeni z zastarzeniem, zamazani / zasunięci, odsunięci, wysunięci do przesunięcia. Suną. (*Suną*).

Suchanek często sięga po materiał dźwiękowy pochodzenia naturalnego łup, cup, ła, bęc, ciamk, po zbitki dźwię-konaśladowcze – żeby nie rozszczelniły się od pisków, trzasków, prasków, wrza-sków (*Średni*), dzięki którym eksponuje brzmieniowe atuty słowa: Jęczą, jęczą niepojęcie. Przez poczęcie / przez wzde-cie, przez wyjęcie, przez rozwinięcie, przez / pominięcie, przez pamięci chęcie i przed zdmuchnięciem, / bo kto zdmu-chuje, ten będzie zdmuchnięty (*Suną*).

Jest to również droga ku idiosynkrazji językowej. To lingwiści utrzymują prze-cież, że słowa nie są tylko arbitralnymi, ale także bardzo idiosynkratycznymi (zależnymi od osobowości) symbolami. Te wiersze nie są pisane przez kalkę. Nie powtarzają szablonów znaczenio-nych. Jest w nich wiele niedomowień, wieloznaczności, mimo obfitego tek-stu. Gęste znaczeniowo pole miesza, spiętrza, podciąga ku górze. Celowo nie chcę określać tego zabiegu poję-ciem – poezja hermetyczna – ale taka właśnie ta poezja jest. Wyraża wiarę w kreacyjne możliwości słowa, w jego stanowiące znaczenie, w determinant budujący sztukę:

Tętent! Jaki tętent? Jakaś szarża? / Jak marża? Szarża marż? Wołać straż! Wszędzie / dym? A gdzie prezes poły-kacz? Niech łyka łyk, / łyk po łyku i po łyku, niech z płomieni buchną / sztuczne ognie, niech się sprzedaje sztuka za / sztuką, sztuka po sztuce! Od sztuki sprzedaży / ważniejsza sprzedaż sztuk (*Etykieta*). Autor nie kładzie nacisku na pojedyncze rzeczy, ale na relacje między nimi i wynikające z nich nowe byty. Następuje przesunięcie znaczeniowe: Cążki, nie ciągi i bez cięgów / choć ciągi tęgie u pani, przeciągi, pociągi pancerne / tanki! (*Powtórka*).

Ucieczka od syntezy na rzecz wła-snego kodu, po rozszyfrowaniu którego ujawniają się nowe wartości (tak jak ma to miejsce w poprzedniej książce Jerzego Suchanka, „Widzimisie”), nowe kreacje: Nie ma. Jest jest i jest nie ma. Jest bez ma. Bo / jest jest poza jest i poza słowem jest. Jest jest / ale jest nie ma jest w jest. Jest wysunęło się / z jest. Jest jest bez

jest. I nie ma. To jest tego nie ma. To belkot (*Boże Dary*).

Ta gra wyobraźni, może zmierzają ku niczemu w znaczeniu wszelkich celowości formalnych – bo wszystko niczym musi, może być. *KU* stanowi swoją własną indywidualność, swoją wewnętrzną, również w warstwie przekazu. Dynamiczna, zmieniająca się, wypełniona minionym czasem samotność i pojedynczość. Pewna dez-integracja ku wielkiej niewiadomej: Dokąd zmierza, nie wie. / Co zamierza, nie pojmuje (*Pomiar*) Dopiero było wyjście z chłopcictwa, a już jest starość. Wszystko się zmienia, przeplata, umyka. Soła płynie, a wraz z nią wszystko, co bohatera dotyczy. Wstrząsający jest *Pomiar* zmian, które nie są do ogarnięcia. Autobiografizm tego wiersza tylko podkreśla autentyzm zmagania z upływem wszystkiego, co upłynąć musi, bo Dotarł, dotarł w połowie, to wie. Nic innego nie jest pewne, a bohater: Ja dotknę się w ja dotknięte, w się dotknięte, mnie dotknę w mnie dotkniętego. I dotkniętego tym dotknięciem.

Głosy poety są różne. W każdym wierszu zmierzają ku czemuś innemu. Jednych bohaterów świat wchłania, in-nych wydała. Jednych przybliża, a innych oddala od sytuacyjnego ku. A może nie ma żadnego ku? Bo wszystko jest tym, czym nie jest. Może: I pani pyta o py-tania. Czy są? O cenę. Pytajcie.

Beata Patrycja Klary

Jerzy Suchanek: *Ku*, Biblioteka To-posu, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2009.

Jerzy Suchanek
Ku



Dobra recenzja

Kiedy parę lat temu w *Parnasie bis. Słowniku literatury urodzonej po 1960 roku* przeczytałam o Bogdanie Prejsie – „poeta, kolekcjoner złych recenzji” – wiedziałam, że to nie ostatnie moje spotkanie z Prejsem i że, nie tylko z czystej przekory, przyjdzie mi napisać, choć dobrą o nim notę. Poeta wydał dotąd kilkanaście tomików, część w wersji papierowej, część w wersji elektronicznej, ostatnio zaś „wysłał” smsa – *Smsa do ludożerców*. Tytuł najnowszej książki od razu uruchamia konotacje z wierszem Tadeusza Różewicza *List do ludożerców*, ma jednak tylko w kilku punktach tę samą wykładnię. Prejs nie traktuje swych czytelników jak autor *Form* w 1957 roku, choć zaczyna tomik słowami „nie zjadamy się”, jest bardziej skupiony na sobie, niż na innych, którzy też „mają dwie nogi i siedzenie”.

Omawiany zbiór to wybór 64 tekstów z całego dorobku literackiego Prejsa – od debiutu w 1984 w „*Życiu Literackim*” po wiersze najnowsze, (dotąd niepublikowane). Pogrupowane są chronologicznie w cztery, w miarę proporcjonalne rozdziały – 4, 3, 2, 1 – niczym odliczanie startera, które kończy ujęta w cudzysłów fraza „teraz możesz bezpiecznie wyłączyć komputer”. Głosem wirtualnego boga, który pozwala zamknąć plik życie, kończy się tomik szorstkich i chropowatych wierszy, quasi-zapisków, wyimków z pamiętnika, fragmentów rozmów. Złośliwie można byłoby stwierdzić, że Prejs próbuje być, choć trochę nowoczesny, a w gruncie rzeczy to jednak staroświecki, nieco sentymentalny hipis, którego życie „zacięło się” znacznie wcześniej niż „po czterdziestce”. I właśnie ta gorzka niezdarność jest w nim tak ujmująca, ta wieczna frustracja, niespełnienie, lęk przed własnym odbiciem w lustrze. Poeta nawet przez chwilę nie udaje, nie kreuje się na wyklętego, na outsidera, którym i tak nie mógłby być. Żona, dzieci, praca, obowiązki przytłaczają, ale są silniejsze, wzywają do spełniania swojej życiowej roli. Dlatego w wierszu pt. życie jest ciągłą wędrówką w poszukiwaniu szczęścia pisze, iż trzeba pamiętać: / o siódmej pobudka / o wpół do ósmej karol do szkoły / martynia do przed-szkola / ósma z minutami włączyć komputer // życie toczy się dalej, a w utworze pt. coraz bardziej obawiam się tego co jest wyznaje: dzisiaj rozumiem tych, którymi gardziłem / cóż złego w tworzeniu ze swego domu / oazy spokoju (...) // ciekawość nieznanego stała się lękiem.

A co było przed? Zanim, jak to określił autor *Smsa* – myślo buncie wyparło marzenie o puncie? Wcześniej była fascynacja Bursą, Wojackiem, Jamesem Deanem i innymi „legendarnymi” postaciami, wcześniej był – jak pisał we wstępie do debiutanckiego

arkusza Marian Kisiel – etyczny niepokój: o siebie, o rówieśnych, o możliwość pełnego stanowienia o sobie, o prawo do buntu, o prawo które przechodzi w bezprawie etc. Słowa krytyka wyjawiają zaangażowanie w poezji Prejsa, zaangażowanie w słowa. W wierszu mocne słowa czytamy: „Nie rzucaj zbyt mocnych / słów na wiatr / przy nagłym podmuchu / możesz dotkliwie dostać po mordzie”. Choć to wiersz z początku lat osiemdziesiątych, nie czuć klimatu epoki, wiersz-zabawa wychodzi poza swój czas.

Dużo u Prejsa motywu śmierci, od realizowanego w młodzieńczych lękach i obsesjach tematu samobójstwa (np. prosba), przez próbę sprytnego zabiegu – odwróconej zasady Horacego – umrzeć w wierszu / aby przeżyć, po „nie-życie”, rozumiane jako wegetacja, ale nie czekanie na koniec. Śmierć już jest, już dawno zebrała swoje żniwo, teraz rozpasana mieszka w środku / we wnętrzu bohatera tych wierszy, który wyznaje: ilekroć wydaje mi się że jeszcze żyję / życie nieustannie wyprowadza mnie z błędu.

Ja zaś wyprowadzam Cię Czytelniku z błędu, Bogdan Prejs nie jest złym poetą, bo „piszą o nim złe recenzje”, ale specyficznym, ważnym choćby dlatego, że nie boi się przyznać, iż ma za mało odwagi, by ze wszystkiego „codziennego” zrezygnować. Czy można tę postawę odrzucić, zanegować, kiedy większość ma taką samą biografię prawdziwą, w której są tylko te słowa: był / i go nie ma? Prejs marzy, by między te dwa wersy wstawić wiersze, już mam kilka propozycji które.

Edyta Antoniak

Bogdan Prejs: *Sms do ludożerców*. Instytut im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2009.



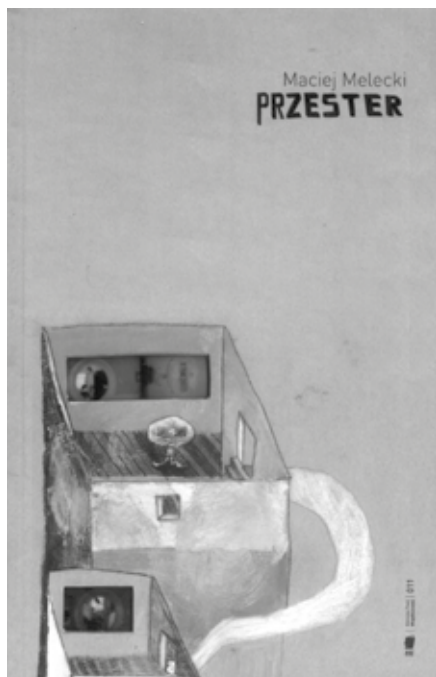
Migot i kres

Przester Macieja Meleckiego jest książką, w której nieustannie dochodzi do starć pomiędzy tym, co istnieje, a tym, czego nie ma. Przy czym jedno chętnie zamienia się miejscem z drugim. Można pomyśleć, że autordotknął nieskończoności i szybko, niemal chaotycznie zapisuje spostrzeżenia, nie dbając o żadne granice do jakich przywykliśmy. Czasem z magmy oswojonego i obcego uwalnia się atrybut codzienności (znaczek, spacer, sanki), który jednak za chwilę rozmywa niedookreślone dryfowanie, podróż bez celu i przyczyny. Nie można tu niczego pochwylić. Pewność, że w którymś momencie przylapało się poetę na jednoznaczny określenie, zatrzymaniu się gdzieś na dłużej, niespodziewanie niszczy nagła zmiana kierunku; jakby na przekór znaczeniu zaciera się i ginie w głębinach języka. Ale jest to trafna metafora życia, w którym rzeczywiste i nierealne miesza się ze sobą, nie tracąc części o nic i o nikogo. Częstym jest również doświadczenie początku naznaczonego końcem, przeczuwanie w nadziei wróżby ostatecznej utraty. Maciej Meleki świadom nie tyle chaosu, co nieograniczonego przenikania się różnych elementów, nieredukowalnego „zamierania i odżywiania” stworzył *Przester* na wzór niepożądanego i zarazem koniecznego środka wyrazu. Wiersze pomieszczone w tomie pisane są długą frazą, rozpiętą do granic możliwości, ostatni zaś utwór topoemat *Wykres kresu* opatrzony mottem z Witolda Wirpszy „Kto zarabuje kres”. Być może właśnie o kres chodzi w projekcie *Przester*, być może jest on wynikiem napiętnowania końcem lub przenikania jego symptomów. Czytelnik wciągnięty w pejzaż pełen nagłych załkówek, rozległych cieni i niezrozumiałych przepaści pozostaje bezradnym wobec zasadniczych pytań, których w tomie nie brakuje: „Kto steruje wiosłami zamiarów, co uruchamia zapadnię jego steru?” (Hegemonia ustań), „Kto więc da świadectwo świadectwu?” (W kanale zamierającego śmiechu). Nie wystarczyć świadectwo. Wobec wnętrza odgadniętego przez niestałość i migotliwość zaistniała potrzeba uprawomocnienia wypowiedzanych racji. Nie wiadomo czy jest jeszcze jakiś świat, czy tylko zakłócony odbiór. Sposób narracji w *Przesterze* przypominać może monolog istnienia. Czystego, bez zbędnych naleciałości. W tym kontekście tom Macieja Meleckiego byłby próbą i próbą dokonania niemożliwego, także pewnego rodzaju nawiązaniem czy kontynuacją kotwiczeń autora Nie skończonej krucjaty. W pewnym momencie tomu pojawia się zagadkowa prośba o to, co ułomne („Zgrana talio uwag, poroniony pomysł na życie, niegościnnie / Domku o wietrznych ścianach, małowólna pętka strachu – / Odwiedźcie mnie kiedyś nad ranem” – z wiersza *Tylko na przecięciu*). Czyżby bohater zaczął upatrywać

wyjścia (bądź co bądź z niewygodnej sytuacji) w niedoskonałym, straconym? Możliwe. Jednak prędzej usterki wywoływane są tu po to, aby zaraz ulec rozproszeniu. By i tym razem udowodnić, że nawet marny ratunek ulega zatarciu i staje się bezużyteczny. A jeśli Przester jest tylko próbą wysłownienia jakiegoś „wszystkiego”, gdzie istnienie i nieistnienie dopełniają się na nieznanym nam zasadach? Co jest rzeczywiste, w którą stronę pójść?

Ilona Kula

Maciej Melecki: *Przester*, Poznań 2009.



Przydrożni świadkowie

Na zagłębiowskim rynku wydawniczym pojawiła się nowa pozycja poświęcona małej architekturze sakralnej powiatu będzińskiego – album fotograficzny



Fot. arch. Starostwa Powiatowego w Będzinie

Przydrożni świadkowie wiary autorstwa Roberta Garstki.

Spotkanie promocyjne albumu odbyło się 15 listopada w Galerii w Starostwie i było połączone z wernisażem zdjęć pochodzących z tej publikacji. Album ukazał się staraniem Stowarzyszenia Wspierania Działań Twórczych Via Arte i był dofinansowany przez Powiat Będziński ze środków na realizację zadań publicznych w dziedzinie kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury i dziedzictwa narodowego. Patronat honorowy nad publikacją objął ksiądz biskup Grzegorz Kaszak.

Wernisaż otworzył Starosta będziński Adam Lazar, który pogratulował Robertowi Garstce opracowania i wydania tej ciekawej publikacji. Temat albumu sprawił,

że Galeria w Starostwie, obok stałych bywalców, gościła trzech duchownych: ks. Leszka Kolczyka, proboszcza parafii pw. św. Antoniego Padewskiego z Wojkowic, ks. Piotra Pilśniaka, proboszcza parafii św. Katarzyny z Będzina – Grodzca oraz ks. Andrzeja Mileja, wikariusza parafii św. Apostołów Piotra i Pawła z Psar.

Album fotograficzny *Przydrożni świadkowie wiary* ukazuje najciekawsze, małe obiekty sakralne znajdujące się w powiecie będzińskim. Ich różnorodność jest napraw-



dę imponująca. Mam nadzieję – powiedział Robert Garstka, że moja publikacja przyczyni się do bliższego poznania kapliczek i objęcia ich jeszcze staranniejszą opieką. Garstka jest mieszkańcem Będzina, fotografem, fotoreporterem, animatorem kultury, działaczem społecznym, dokumentalistą regionalnej historii. Jest także współzałożycielem Stowarzyszenia Wspierania Działań Twórczych Via Arte oraz grupy fotograficznej Koń Trojański.

(red.)

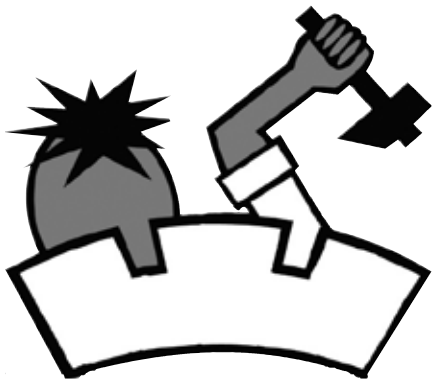
Katalog prasy lokalnej

„Echo Szczekocin” to miesięcznik informacyjny. Pierwszy (zerowy) numer gazety ukazał się w grudniu 1991 roku. Zgodnie z założeniem programowym „Echo Szczekocin” jest gazetą, która ma pisać o wszystkim, co dotyczy miasta i gminy Szczekociny, a zwłaszcza zamieszczać informacje o wydarzeniach mających istotny wpływ na naszą (mieszkańców) teraźniejszość i przyszłość. Stara się także przybliżyć czytelnikom historię Szczekocin i okolic miasta, oraz promować naszą „Małą Ojczyznę”. Ważnym elementem treści są teksty pisane i nadsyłane przez jej czytelników.



Echo Szczekocin – miesięcznik informacyjny Miasta i Gminy Szczekocin. Wydawca: Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczekocinach, ul. Krakowska 23, 42-445 Szczekocin, tel 34 3557 075, mgok_szczekocin@interia.pl, Przemysław Baranowski – redaktor naczelny.

Młotkiem w łeb



Agresja

żywym niezbędną do przetrwania, więc można powiedzieć, że bywa twórcza. Są jednak zachowania agresywne, szczególnie u tzw. gatunku ludzkiego, które wydają się tylko destrukcją. Gdy jednak przyjrzymy się im bliżej, dokładniej, zwrócimy uwagę na szczegóły, okazuje się, że niektóre mają również kreatywny charakter. Dostrzegli to historycy i antropolodzy, gdy analizowali wojny.

Na agresji zawsze ktoś korzysta, a ktoś inny traci. Dla nas Polaków II wojna światowa była wyłącznie złem, bo utraciliśmy suwerenne państwo, które w efekcie ubocznym I wojny światowej udało nam się odzyskać. W tym aspekcie I wojna światowa była dla nas czymś pozytywnym. Oczywiście, przy takim opisie agresji, jeszcze większym zagrożeniem od niej samej, staje się relatywizm moralny, jeśli partykularne pozytyw zaczyna służyć usprawiedliwianiu zła. Na całe szczęście chyba nikt nie dziękuje Stalinowi i Hitlerowi za przyspieszenie rozwoju lotnictwa, który spowodowała wywołana przez nich II wojna światowa.

Wiem, patos jest niemodny, ale zanim z orlej perspektywy zejść do żabiej, jeszcze jedna uwaga. Cywilizację lub kulturę, bo to przecież synonimy, warto – częściej niż to się zwykło czynić – definiować, jako zarządzanie agresją. Pozwala to lepiej dostrzec, że podmiotem tego działania nie jest tylko klasa polityczna, czy w ogóle władza państwowa, a przedmiotem wszyscy pozostali, lub ich część o specyficznych cechach. Takim podmiotem może być i bywa każdy: od reklamodawcy po bandziora, który napada w przyszłowiowym ciemnym zaułku, a ośmielony pobłażliwością wymiaru sprawiedliwości – w biały dzień.

Jak to miało miejsce w listopadową niedzielę na jednej z sosnowieckich ulic. Trzech bandytów po okradzeniu sklepu wzięło się za katowanie ochroniarza, który usiłował interweniować. Oberwał też jeden z przechodniów, chcący ochroniarza wesprzeć. Dopiero przypadkowo przechodzący strażnik miejski poradził sobie

z bandytami (brawo!) i doprowadził do ich zatrzymania przez policję. Nie wiem, jakie procedury obowiązują ochroniarza. Przypuszczam, że próbował odzyskać skradziony towar, zamiast ograniczyć się do wezwania policji i obserwacji złodziei. Zapewne chciał przywrócić stan rzeczy sprzed kradzieży, pozwolić „pijanym wyrostkom” (jak ich nazwano w mediach) wycofać się ze złego czynu, unieważnić zdarzenie. Czy myślał, że są zdolni do autorefleksji i skorzystają z szansy, którą im dał? Nie wiem, na ile moje przypuszczenie jest trafne, ale jeśli się nie mylę, to ciekawe, czy sąd weźmie pod uwagę, że bandyci ci nie skorzystali z zaoferowanej im możliwości natychmiastowej naprawy zła, które uczynili, i bez skrupułów wzmoгли swą agresję. Co świadczy o tym, że kradzież nie była wybrykiem „pijanych wyrostków”, ale występkiem osobników całkowicie zdemoralizowanych. To zdarzenie z sosnowieckiej ulicy potwierdza starą prawdę, że agresji, dokonującej destrukcji, trzeba od razu przeciwstawić agresję przywracającą (kreującą) ład o energii przewyższającej siłę burzycielską. Inaczej destrukcja będzie wręcz pączkować. Gdyby politycy europejscy nie polegali na sile dyplomacji (czyli: perswazji), ale od razu przeciwstawili się Hitlerowi siłą armat, być może nie byłoby jego sojuszu ze Stalinem i II wojny światowej... Kilkanaście lekcji historii więcej (i lepiej zapamiętanych) być może uchroniło by ochroniarza sosnowieckiego sklepu przed błędną oceną sytuacji... Stąd niemal pewność, że w przyszłości nawet najlepsze procedury (nie tylko „ochroniarskie”!) nie zastąpią tych likwidowanych ostatnio godzin historii w szkołach... Agresja – w naszej przeladowanej często blahymi informacjami rzeczywistości – przyciąga uwagę. Wiedzą o tym nie tylko politycy. Od wielu lat intensywnie wykorzystują ją reklamodawcy, a od jeszcze dawniej nawet niektórzy artyści (ze szczególnym wskazaniem na ludzi pióra). Każda reklama w swej istocie jest informacją agresywną, każda rozkazuje „Kup mój produkt!”. I w każdej reklamie znajdziemy kreację i destrukcję. Czystą, czyli zgodną z faktami, informację o produkcie, która kreuje naszą wiedzę o ofercie rynkowej, akceptujemy bez zastrzeżeń. Lecz jest też ta „brudna”, destrukcyjna strona reklam, wyrażająca się przez wszelką stosowaną w nich przesadę, mającą na celu zagłuszyć, czy nawet ogłuszyć nasz krytycyzm, a często zdeprecjonować w naszych oczach inne produkty, lub nas samych (sic!) tylko po to, byśmy pomyśleli, że dowartościuje nas posiadanie reklamowanej rzeczy. Zagłuszanie i ogłuszanie odbywa się też dosłownie: na przykład reklamy telewizyjne są nadawane głośniejsze, niż program właściwy (który nota bene producenci z telewizji prywatnych nazywają nierzadko uciążliwym, bo wymagającym wydania pieniędzy zarobionych u reklamodawców, dodatkiem do reklam...). Ta wzmożona głośność, choć nieprzyjemna, bywa pozytywna (ekonomicznie i ekologicznie) dla tych, co zdrzemną się w fotelu przed telewizorem: jest sygnałem budzącym, by wyłączyć telewizor.

Autor książki „Paradoksy reklamy” (Warszawa 1973), która powinna być lekturą obowiązkową każdego konsumenta przed pójściem na zakupy do supermarketu (i nie tylko), socjolog Georges Elgozy zauważył, że lepsza jest zła reklama (więc jakakolwiek) niż żadna. Brak reklamy strąca w niebyt nie tylko produkty.

Dlatego wspominałem też o artystach... Przykładów jak wykorzystywali i wykorzystują agresję i autoagresję (często w sposób fatalny) dla promocji swojej twórczości i siebie samych znaleźć można bardzo wiele. Są dość wyeksponowane w piśmiennictwie. Sam – by ograniczyć się do naszego zagłębiowskiego podwórka – obdarzam moje felietony nadtytułem „Młotkiem w łeb”, choć ledwie poszturchuję piórem to i owo... Gdy jednak dowiedziałem się, że jeden z sosnowieckich literatów – znany z tego, że swój artystyczny marketing skupia na agresywnym pomawianiu, deprecjonowaniu i obrażaniu każdego, kto mu się nawinie – kandydował w tegorocznych wyborach samorządowych na radnego, omaalnie odłożyłem pióra i nie złapałem za (prawdziwy) młotek. Nie muszę dodawać, kogo miałem ochotę pukać w czoło. Na całe szczęście zrobili to za mnie wyborcy.

Jerzy Suchanek

Obiecywanie gruszek

Gdy 21 października 1956 roku oddawano do użytku Stadion Ludowy w Sosnowcu, był wówczas jednym z nowoczesniejszych obiektów w Polsce – z murowanymi trybunami, przestronnym pawilonem, a przede wszystkim ze świetną płytą piłkarską, której drenaż pozwalał szybko osuszyć nawierzchnię. Do tego bieżnie, co prawda z mączką ceglana, ale wtedy nikt o tartanie nawet nie myślał. Na otwarcie Stadionu Ludowego odbył się mecz I ligi pomiędzy ówczesną Stalą Sosnowiec, broniącą wicemistrzostwa Polski, i Gwardią Bydgoszcz. Na trybunach było aż 40 tysięcy widzów, którzy siedzieli na drewnianych ławkach, ale także na betonowych schodach pomiędzy sektorami. Było tak ciasno, że nie dało się wbić przysłowiowej szpilki... Także i na trybunie honorowej, na której zasiadli najważniejsi politycy województwa, wśród nich Edward Gierek, ówczesny członek Komitetu Centralnego PZPR, który rok później został I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach.

40 tysięcy gardeł ryknęło już w 7 minucie, gdy Czesław Uznański strzelił gola dla sosnowieckich piłkarzy, którzy jednak



meczu nie wygrali, bo goście zdołali wy-równać i końcowy rezultat brzmiał 1–1. Nigdy już później Ludowy nie gościł tylu widzów, bo też zgodnie z założeniami pro-jektantów mógł pomieścić około 30 tysięcy. I wielokrotnie spotkania Zagłębia, bo taką nazwę przyjęła Stal, właśnie tylu kibiców oglądało. Dziś właściciele klubu (dwóch biznesmenów, mających 51%, i miasto – 49%) mogą o takiej frekwencji pomarzyć, bo gdyby tylu ludzi przychodziło, to klub prosperowałby znakomicie i pewnie mógłby myśleć o grze w ekstraklasie. Marzenia są więc przykrojone do realiów, czyli stadionu, który mógłby pomieścić około 16 tysięcy widzów. Dodajmy od razu, że zupełnie nowego stadionu, zbudowanego w miejscu zburzonego starego obiektu przy Kresowej. Jak na razie te marzenia, które na przestrzeni ostatnich lat są przedstawiane jako niemal fakty dokonane, spełnić się nie mogą. Złośliwi mówią, że to typowe „obiecywanie gruszek na wierzbie” przez tych, którzy mają w tym polityczny interes. Ale Gruszka, dokładnie pan Ryszard Gruszka, też ma swoje miejsce, ale do niego jeszcze wrócimy. Po raz pierwszy o nowym Stadionie Ludowym zaczęto mówić, gdy piłkarze Zagłębia po latach poniewierki na futbolowych peryferiach wrócili na szczybel centralny. Żeby grać w ekstraklasie (jeden sezon), później w I lidze musiały być spełnione wymogi licencyjne ustalone przez PZPN. Mowa o oświetleniu, krytej trybunie i podgrzewanej murawie. Na początku XXI wieku zaczęto więc głośno mówić o budowie nowego lub co najmniej gruntownej przebudowie obiektu przy Kresowej. Ówczesny prezes Zagłębia, Leszek Baczyński, na ścianach w swoim gabinecie miał wizualizacje projektów. Miło było popatrzeć jak będzie wyglądał Ludowy, z niemal pionowymi trybunami schodzącymi niemal do linii bocznych boiska, niczym w Anglii... Na

patrzeniu się skończyło, bo miasto, właściciel stadionu, nie miało pieniędzy na realizację tych pomysłów. Wielu radnych twierdzi jednak, że jeszcze wtedy byłoby chyba najłatwiej. Bo sporo pieniędzy na Ludowy jednak wydano, konkretnie w 2007 roku na oświetlenie o mocy 1500 luksów, nowe krzeselka, remont szatni, zadaszenie jednej z trybun, nie wspominając już o budowie zaplecza treningowego. „Gdyby wtedy prezydent z Radą Miasta „poszli na calość”, to dziś mógłby stać nowy stadion. Opozycja szukała jednak dziury w całym i rządzący miastem woleli się wycofać” – mówi jeden z radnych.

Wygodnym argumentem był i ten, że nieuregulowany jest status prawny właścicieli, mających prawa do działek leżących na... Ludowym. Na początku lat 50., gdy budowano Stadion Ludowy, władze Sosnowca odebrały bowiem pola kilkunastu gospodarzom z Szopienic. Po transformacji ustrojowej w 1989 roku ziemia z powrotem trafiła do dawnych właścicieli. Z biegiem lat dogadano się, czyli wykupiono, prawie ze wszystkimi oprócz pana Ryszarda Gruszki. Jego działka obejmuje kawałek pola karnego z bramką na boisku i część trybun patrząc od strony Stawików. Pan Gruszka nie ma nic przeciwko dzierżawieniu przez miasto jego działki, ale za godziwą według niego cenę. Chce również sprzedać, ale i w tym przypadku miasto uważa, że cena jest zbyt wygórowana. Skoro tak, to jak można mówić, że będzie coś budowane na miejscu starego Ludowego? Rzecznik Urzędu Miejskiego wyjaśnia, że nie ma przeszkód, bo miasto stało się współwłaścicielem działki pana Gruszki i może decydować, co stanie przy Kresowej.

A decyzje o budowie nowego stadionu zapadały już nieraz, pardon nie decyzje, pojawiały przymiarki – podpisywano listy

intencyjne. Ostatni kilka tygodni temu. Nie był on jednak pierwszy. Gdy Polska starała się o piłkarskie Euro 2012, to Sosnowiec złożył aplikację, chcąc być jednym z miast-gospodarzy. Wówczas mówiło się o budowie wielkiego obiektu na ponad 30 tysięcy miejsc na granicy Sosnowca i Dąbrowy Górniczej, konkretnie w Zagórz. Okazało się jednak, że nasze miasto nie ma co myśleć o goszczeniu najlepszych reprezentacji Starego Kontynentu. Nic dziwnego jednak, bo żaden obiekt na Śląsku, nawet legendarny Stadion Śląski, nie dostąpi tego zaszczytu. To nie ostudziło jednak zapалу do postawienia reprezentacyjnego stadionu. Bodaj rok temu, przedstawiciele władz miasta spotkali się z przedstawicielami holenderskiej firmy Zwarts en Jansma, podczas którego zaprezentowano nawet wstępną wizualizację nowego Stadionu Ludowego. Padły liczby i terminy, ale szybko okazało się, że miasta nie stać na taką inwestycję. Minął rok i okazuje się, że jednak może znajdzie się około 130 milionów złotych na postawienie Sosnowiec Areny. Na kilka dni przed wyborami samorządowymi podpisany został list intencyjny. – Stadion byłby budowany w tak zwanym partnerstwie publiczno-prywatnym (PPP) – wyjaśnił prezydent miasta, Kazimierz Górski. – Część kosztów poniosłoby miasto, część – pewnie większą – inwestorzy prywatni. Mamy w tym względzie doświadczenie i chcemy je wykorzystać. Stadion służyłby nie tylko piłkarzom, ale byłby też centrum rekreacyjno-rozrywkowym dla wszystkich mieszkańców miasta.

Projekt firmy „Stefan Kuryłowicz@Associates” wygląda ciekawie. Nowy stadion miałby pomieścić 16,5 tysiąca widzów, spełniając wymogi UEFA do organizacji meczów w ramach europejskich pucharów. Według obecnego na spotkaniu Krzyszpina Jarosza, wiceprezesa zarządu firmy Eiffage, która miałaby być jednym z partnerów przy realizacji tej inwestycji, jej koszt można szacować na około 130 milionów złotych. I chyba wie co mówi, bo jego firma „maczała palce” w szybkim postawieniu stadionu w Białymstoku.

Teraz wszystkich nurtuje pytanie: czy podpisanie listu intencyjnego było tylko wyborczą zagrywką, czy też realną oceną możliwości miasta i wybraniem najszybszego sposobu zbudowania nowego stadionu? Bo że trzeba go zbudować, nikt nie ma wątpliwości. Pod warunkiem, że rzeczywiście uda się zbudować profesjonalny klub piłkarski, który stać będzie na awans aż do ekstraklasy. Obiecują to nowi współwłaściciele. Nam pozostaje wierzyć, że budowa stadionu i silnej drużyny nie jest obiecывaniem gruszek na wierzbie.

Andrzej Wasik

Co dalej z unijnymi pieniędzmi?

Czy obecna sytuacja w Unii Europejskiej pozwoli nam otrzymać 67 mld euro przyznanych Polsce na lata 2007–2013? Nie trzeba być ekonomistą, żeby wiedzieć, że pieniądze unijne pozwoliły „nakręcić” polską gospodarkę, jak stwierdził Jakub Kurasz w „Rzeczpospolitej”. W ciągu ostatnich dwóch lat połowę wzrostu PKB zawdzięczamy funduszom strukturalnym. Pozyskane fundusze pozwoliły na rozwój przedsiębiorstw i inwestycje w infrastrukturę w okresie, gdy gospodarka światowa przeżywała kryzys i znaczne osłabienie tempa wzrostu. Wprawdzie pieniądze te trafiają najczęściej do dużych przedsiębiorstw państwowych, a mogłyby do małych i średnich prywatnych, które to tworzą nowe miejsca pracy i wprowadzają innowacyjne produkty, ale należy się cieszyć, że w ogóle trafiają i ożywiają naszą gospodarkę. Niestety fiaskiem zakończyły się negocjacje w sprawie unijnego budżetu na 2011 rok. Kilka krajów zablokowało porozumienie. Przede wszystkim Wielka Brytania, którą poparły w ostatniej fazie negocjacji Szwecja, Holandia i Dania. Dopóki budżet nie zostanie przyjęty, obowiązuje provizorium budżetowe. Składa się ono z tzw. dwunastek. W każdym miesiącu 2011 roku będzie można wydać 1/12 budżetu z 2010 roku. Budżet ten wynosi 123 mld euro, a planowany na 2011 rok – 126 mld euro. Jeżeli nowy budżet zostanie wreszcie uchwalony, to większego ryzyka nie ma, bo zaliczki beneficjentom wypłaca budżet krajowy, który dopiero pod koniec roku otrzymuje zwrot pieniędzy z Brukseli.

Jeżeli provizorium budżetowe będzie obowiązywać przez cały 2011 rok, bo nie nastąpi porozumienie, to wtedy mniej środków otrzymają kraje na politykę spójności. Dla Polski to oznacza 5,4 mld złotych. Kłopotów nie będą mieli inwestorzy, tylko budżet. Środki na inwestycje 64 mln złotych są zabezpieczone w krajowym budżecie. To z niego są finansowane, a dopiero potem zwraca je Unia Europejska. Martwić się więc powinien Minister Finansów, bowiem będzie to oznaczało dalsze zadłużanie budżetu państwa.

Na szczycie NATO w Lizbonie kanclerz Niemiec Angela Merkel oraz prezydent Francji Nicolas Sarkozy przekonywali premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona, aby Londyn przestał blokować budżet UE na 2011 rok. Komisja Europejska musi teraz przedstawić nowy projekt budżetu, co ma nastąpić w przyszłym tygodniu. Kolejny termin przyjęcia budżetu to unijny szczyt 16–17 grudnia w Brukseli. Pozostaje mieć nadzieję, że naciski wywierane na premiera Davida Camerona przyniosą efekty i budżet

zostanie przyjęty. Cieszyć się wówczas będzie nie tylko Janusz Lewandowski – komisarz UE ds. budżetu, ale większość członków tego ugrupowania. Do zadowolonych należeć będzie również Polska. Efekty konsumowania funduszy unijnych widoczne są w całej gospodarce. Mogą być jeszcze większe, gdy wprowadzimy euro. Rząd 26 października przyjął program wchodzenia Polski do strefy euro. Uważa się, iż realny byłby rok 2015. Wiem, że to kolejna data zapowiedziana przez rząd, która wcale nie musi być dotrzymana. Jednak ze względów ekonomicznych powinno się ją traktować poważnie. Z raportu NBP wynika, iż euro miałyby korzystny wpływ na naszą gospodarkę. Rocznie nasz PKB byłby wyższy o 0,7%, tylko z tego powodu, że rozliczilibyśmy się w tej samej walucie co inne kraje Europy. Oczywiście musimy spełnić kryteria z Maastricht, a najważniejsze i jednocześnie najtrudniejsze z nich to deficyt budżetowy, który wynosi dzisiaj prawie 8% PKB (wymagano to < niż 3%). Właśnie ten deficyt może rosnąć, gdy nie uda się przyjąć unijnego budżetu. Byłoby to niezłe usprawiedliwienie dla naszego rządu, bo przez ostatnich kilka lat mamy w Polsce wyraźne „poluzowanie” polityki fiskalnej. Wydatki budżetowe w relacji do PKB ciągle rosną. Plan zmniejszenia deficytu nie jest opracowany i realizowany. Wyznaczenie samej daty przyjęcia euro – bez konkretnych działań rządu w sferze ograniczania wydatków niczego nie zmieni. Nie ma też co liczyć na łaskawość UE i obniżenie kryteriów. Są już dwa kłopotliwe kraje: Grecja i Irlandia – Unia nie potrzebuje następnych. Musi dbać o euro w konkurencji z dolarem i juanem. Coraz głośniejsze mówi się o wojnie walutowej między USA, UE i Chinami. Wprawdzie nadal walutą pierwszoplanową jest dolar – utrzymuje się w nim prawie 70% rezerw światowych, ale gospodarka światowa podlega tak szybkim zmianom i turbulencjom, że nie wiadomo jak długo ten stan będzie trwał.

Jadwiga Gierczycka



Pospolite ruszenie Palikota

Ze względów technicznych (cykl wydawniczy) dopiero w tym numerze możemy zamieścić relację ze spotkania Janusza Palikota, twórcy-

RUCH POPARCIA ŻYCIE BEZ PODSŁUCHU



DOŁĄCZ!

Ruchu Poparcia Palikota, które odbyło się 16 października br. w katowickim hotelu Qubus. Reprezentacyjna sala na 300 miejsc dosłownie pękała w szwach od przybyłych sympatyków Ruchu, i jak to podkreślił niezależny już wtedy poseł, od osób szpiegujących jego poczynania, a będących wysłannikami największych partii politycznych zasiadających w Sejmie RP.

Na wstępie J. Palikot powiedział: Uruchamiamy portal internetowy. Przez logowanie i pocztę e-mailową chcemy dokonać wyboru władz regionalnych w prawyborach internetowych. Czy to w woj. śląskim, czy też winnym województwie, będziecie mogli państwo walczyć o swoją popularność. Przygotowujemy taki system, by można było głosować tylko jeden raz. Istotne jest także to, że ci, którzy są dzisiaj koordynatorami w regionach nie stali się automatycznie szefami. Nie wykluczam, iż być może jakiś koordynator stanie się szefem regionu, ale to już zależy od internautów. Podkreślam, iż nie będzie to człowiek przywieziony w teczce z Lublina czy Warszawy. To będzie osoba wybrana w prawyborach, e-mailem.

Słowa te Janusz Palikot wypowiadał przed rejestracją Stowarzyszenia RPP. Był jednak dobrym wizjonerem, gdyż stowa-

rzyszenie zarejestrował warszawski sąd, a teraz idzie – posługując się terminologią bokserką – za ciosem.

– Moim celem – mówił w Katowicach do sympatyków i szpiegów – jest rejestracja stowarzyszenia, a następnie partii. Nie chcę, by stało się tak, że wybory parlamentarne ogłoszone będą w marcu 2011, my nie będziemy mieli partii. Pragnę też wprowadzić kadencyjność. Każdy może być szefem regionalnym lub krajowym tylko dwie kadencje. Będzie to też pewna forma demokratyzacji życia politycznego. Pragnę wprowadzić to do statutu partii na jej pierwszym zjeździe, który prawdopodobnie odbędzie się w połowie stycznia przyszłego roku.

Później mówca skupił się na głównym temacie swojego spotkania, które przebiegało pod hasłem „Życia bez podsłuchu”. Dotyczyło ono byłego ministra sprawiedliwości w rządzie Jarosława Kaczyńskiego – Zbigniewa Ziobry. Palikot wziął w obronę dziennikarzy wszystkich mass mediów. To właśnie oni byli namierzani przez niemal wszystkie służby specjalne. Najbardziej podsłuchiwany był telefon komórkowy Moniki Olejnik.

– Będę z tym walczył. Potrzebna jest większa obywatelska kontrola nad organami sprawiedliwości i działaniami prokuratury. Nie może być tak, że polski dziennikarz, który walczy o prawdę, tropi afery, obowiązuje go tajemnica służbowa, był wykorzystywany do politycznych celów będącej u władzy partii, która rządziła się prawem i sprawiedliwością – stwierdził J. Palikot.

O małym już wpływie Z. Ziobry na wywieranie nacisków, by zakładać podsłuchy oraz stosować prowokację wobec niewygodnych osób, a tym samym punktować w oczach społeczeństwa za skuteczność w zwalczaniu wszelkich afer niechaj świadczy fakt, iż poseł Palikot na swoje spotkania z sympatykami, wozi byłego ministra w... kajdankach w bagażniku swojego samochodu. Oczywiście, wozi jego podobiznę na banerze w skali jeden do jeden. Za jego „aresztowanie” sala nagrodziła go burzą oklasków.

Wymownym elementem spotkania w hotelu była obecność syna Barbary Błidy, która zginęła podczas aresztowania. To właśnie minister Ziobro rozpoczął na nią nagonkę, chwalać się swoimi osiągnięciami na licznych konferencjach. Czym to się skończyło? Wszyscy wiemy.

Janusz Palikot na potwierdzenie wszechwładzy wymiaru sprawiedliwości i działania prokuratury dał swój przykład. Otóż lubelska prokuratura zaprasza go do siebie w celu wyjaśnienia podejrzenia o... obrazę Ducha Świętego. Podobnie rzecz się tyczy pisanie listów do proboszczy parafii rzymskokatolickich w kraju, w których



ponoć ma straszyć księży, że ich powiesi za atrybut męskości.

Niektórzy biorący udział w spotkaniu głośno sugerowali, iż korespondencyjną akcją kieruje nowa specsłużba – pododdział inwigilacji społecznej, a wykonawcą jest nowa formacja desantowa – moherowe berety. Być może coś w tym jest.

Po wystąpieniu Janusza Palikota zebrani zadawali pytania. Dotyczyły one szeregu spraw ważnych dla Polski, ważnych dla zwykłych obywateli. Odnosnie tych ostatnich trzeba podkreślić, iż na sSali był przekrój całego polskiego społeczeństwa, od emerytów i rencistów, po studentów i biznesmenów.

Jak powiedział w jednym ze swoich wywiadów, prof. Jacek Wódz, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego, jest przekonany, iż Palikot przejmie w regionie sporą część młodych ludzi oraz inteligencji, czyli najbardziej wartościowych wyborców, którzy jeszcze do niedawna sympatyzowali z innymi partiami.

Potwierdzeniem tej tezy jest fakt, iż na dzień 24 listopada br. na stronie internetowej społeczności popierającej Ruch Poparcia Palikota było 46 384 wpisów „za”, w tym 28 034 wpisów unikalnych, a ilość odsłon strony przekroczyła 284 tys.

Ruch Poparcia Janusza Palikota zmienił niewątpliwie polską scenę polityczną. Jako były poseł PO przyciągnie do siebie część elektoratu tej partii. Jaką? Pokażą to najbliższe wybory parlamentarne. RPP już ma dobre hasło, którym kokietuje jeszcze niezdecydowanych do wstąpienia do stowarzyszenia, a później partii. „Razem możemy zmieniać nasz kraj, razem możemy budować Polskę

naszych marzeń i aspiracji”. Jak sam powiedział poseł Palikot, nie stać go na kielbasę wyborczą. Widać to po młodych wyborcach, którzy już do niego lgną jak przysłowiowa mucha do miodu.

O zmianach na scenie politycznej kraju świadczy również trzęsienie ziemi, a raczej portkami, w Prawie i Sprawiedliwości. Secejsjoniści w osobach Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Elżbiety Jakubiak, Pawła Poncylusza, Jana Oldakowskiego oraz innych, założyli sejmowy klub parlamentarny „Polska Jest Najważniejsza”. Tworzy go 15 posłów, w tym 8 z PiS. Mają być twardą i rzetelną opozycją. Na czele klubu stoi Joanna Kluzik-Rostkowska. Marszałek Grzegorz Schetyna powiedział, że taka opozycja pomaga rządowi, a nie przeszkadza.

Z kolei czołowe twarze z PiS, w tym prezes J. Kaczyński bagatelizują całą sprawę i jak najprędzej chcą wymazać z pamięci swoją znajomość z byłymi kolegami i współpracownikami. Natomiast szef klubu PiS, Mariusz Błaszczak twierdzi, iż powstanie nowego klubu niczym nie zagraża niezachwianej pozycji Prawa i Sprawiedliwości, zarówno w sejmie jak i Polsce.

Oceny i wypowiedzi czołowych polityków PiS były zdecydowanie różne po spotkaniu Joanny Kluzik-Rostkowskiej z Januszem Palikotem tuż po wyborach samorządowych, który dla Prawa i Sprawiedliwości jest prawdziwą zarazą. Zaraza ma jednak to do siebie, że przeważnie się rozprzestrzenia, a znalezienie na nią antidotum jest z reguły trudne.

Henryk Kocot

Rozbudowa i remont Muzeum Miasta Jaworzna

11 listopada 2010 roku po rozbudowie i remoncie otwarto w Jaworznie nową siedzibę muzeum. Zanim jednak budynek ten stał się nią, miał bogatą i dość ciekawą historię. Powstał pierwotnie jako budynek parterowy w końcu XIX wieku w ciągu zabudowy gwareckich budynków mieszkalnych przeznaczonych dla urzędników gwarectwa. W 1926 roku rozbudowano go nadając mu interesującą formę architektoniczną, zwieńczoną mansardowym dachem. Z początkiem lat 80. ubiegłego wieku, kopalnia „Jaworzno” przekazała budynek władzom miasta, które umiejscowiło w nim centralę Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz załóżek dzisiejszego muzeum,



Fot. arch. Muzeum Miasta Jaworzna

Spółeczny Komitet Organizacyjny Muzeum

Komitet już w połowie lat 60. inicjował działania powołania muzeum. Jego celem miało być ocalenie historycznych pamiątek początku górnictwa oraz dokumentowanie dynamicznych zmian zachodzących w przemyśle wydobywczym. Nie było to jednak sprawą łatwą. Pomimo wsparcia ze strony krakowskiego oddziału SITG, Społeczny Komitet na czele z dyrektorem kopalni Jaworzno Kazimierzem Stoleckim ciągle napotykał na trudności lokalowe. Pomimo to urządzono pierwszą stałą wystawę. Stało się to 15 grudnia 1972 roku. Problem siedziby był aktualny przez kolejnych kilkanaście lat. Wspomniane wcześniej przytulenie muzeum do biblioteki i oddanie do jego dyspozycji 3 pokoi z kuchnią zupełnie nie rozwiązywało sprawy. Muzeum w żaden sposób nie mogło skutecznie realizować swoich zadań. Nawet pozyskanie pomieszczeń na magazyny było niemożliwe. 18 czerwca 1998 roku Rada Miejska powołała

muzeum jako odrębną jednostkę kultury. Była to zupełnie nowa karta w dziejach tej placówki. Niestety, nadal nie miało ono swojego lokum. Starania o nie przeciągnęły się o kolejne 10 lat.

Sprzyjające okoliczności

Dopiero w chwili wybudowania nowoczesnego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej pojawiły się pomysły perspektywy związane z pozostawieniem starego obiektu muzeum. Niestety ze względu na stan techniczny Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego wydał nakaz jego opuszczenia. Muzeum znowu znalazło się na wygnaniu na kolejnych 5 lat. Równocześnie pojawiły się wątpliwości co do dalszych losów obiektu. Stan techniczny wskazywał na konieczność jego wyburzenia. Pozostawały jednak kwestie historyczne i konserwatorskie oraz kontekst urbanistyczny tego fragmentu miasta. Otoczenie muzeum tworzą obiekty z epoki oraz park miejski stanowiące jedną w swoim rodzaju

enklawę w Jaworznie. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja remontu i rozbudowy obiektu.

Nowe projekty

Projekt architektoniczny zakładał przekształcenie kilkurodzinnego domu w nowoczesną przestronną i wielofunkcyjną kubaturę. Konieczne stały się wyburzenia ścian działowych, przemurowania ścian nośnych oraz wymiana drewnianych stropów. Projekt przewidywał także dobudowę sali wystawowej o powierzchni około 100 m² i wysokości 6 m. Warunkiem jej powstania było nadanie współczesnego, lecz klasycznego charakteru. Chodziło o to, by nowa kubatura jednoznacznie odcinała się od historycznej bryły pierwotnego budynku.

Siedziba – wreszcie jest!

Projektując współczesne muzea trzeba się liczyć z możliwością prowadzenia w ich wnętrzu różnorodnych form działalności.



Wynika to ze współczesnych trendów panujących w muzealnictwie. Placówki te oprócz tradycyjnej prezentacji zbiorów, wystaw czasowych, stają się miejscami działalności o charakterze kulturalnym. Również od wystaw wymaga się jak największej atrakcyjności i interaktywności. Takie koncepcje czytelnie wpisują się w misję jaworznickiego muzeum, która brzmi „Ożywić przeszłość”. Istotną rolę w tym ożywianiu przewidziano również dla odwiedzających.

Parter obiektu to w zasadzie jednoprzestrzenny układ sal, przeznaczony na organizację wystaw czasowych, przybliżenie historii miasta, czy ustawienie wielkowymiarowych eksponatów. Będzie tu także kawiarnia. Przestrzeń pierwszego piętra to miejsce tzw. stałych ekspozycji. Zakres tematyczny z pewnością zadecyduje o dość częstych i być może daleko idących zmianach w tej statycznej z nazwy wystawie, wykorzystującej techniki wielomedialne. Pozostała przestrzeń to zaplecze magazynowe, biura i pracownie. Nowy obiekt połączy większość ze współczesnych funkcji kojarzonych z aktywnością nowoczesnego muzeum działającego w dynamicznie rozwijającej się aglomeracji.

Przemysław Dudzik
Dyrektor Muzeum Miasta Jaworzna

VIII Mistrzostwa Ortografii Jaworzna

To dyktando było już ósme, a ósemka przypomina kształtem klucz wiolinowy, więc nic dziwnego, że poświęcone zostało wielkiemu Fryderykowi, przy którego ulicy mieści się Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 im Kazimierza Wielkiego w Jaworznie. Oczywiście znacznie ważniejszym powodem, dla którego profesor Jan Malicki, literaturoznawca, dyrektor Biblioteki Śląskiej dał się namówić do wyboru tematu dyktanda, był jubileusz 200-lecia urodzin Chopina.

Po raz pierwszy jednak nie odczytano serdecznych słów uznania dla jaworznickich znawców ortografii od Inspiratorki Ogólnopolskiego Dyktanda, Krystyny Bochenek, której tegoroczne Jaworznickie Mistrzostwa Ortograficzne zostały dedykowane. A od dziesięciu lat, kiedy pod jej wpływem nauczyciele postanowili się przylączyć do „ortograficznej corridy”, zawsze odważni znawcy zasadzek języka polskiego byli podnoszeni na duchu przez Jej słowa. W szkolnych ławach, z zastrzonymi piórami i intelektami wyczulonymi na wszelkie błędy zasiadło wyjątkowo dostoje grono – nigdy wcześniej tutaj niewidziane: poseł Wojciech Saługa, Śląski Kurator Oświaty – Stanisław Faber, Paweł Silbert – Prezydent Jaworzna, Zbigniew Mika – Naczelnik Wydziału Edukacji i Sportu, Paweł Kaczmarczyk – Radny Rady Miejskiej, Władysław Jelonek – przedstawicielka Związku Nauczycielstwa Polskiego, Grzegorz Raczek – dyrektor Delegatury Kuratorium Oświaty w Sosnowcu.

Pani dyrektor Halina Jarczyk przypominała, iż „W złotym wieku kultury polskiej Mikołaj Rej dumnie ogłosił całemu światu „A niechaj narodowie wzdry postronni znają, iż Polacy nie gesi, iż swój język mają” – i uzupełniła – My, nauczyciele

młodzieży dwudziestego pierwszego wieku chcielibyśmy dodać: dużo czytają i poprawnie piszą – po prostu piszą jak z nut... I to nasze życzenie stało się dzisiaj rzeczywistością. Oto na tej tu sali gościmy najlepszych z najlepszych, mistrzów ortografii z jaworznickich gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych, wyłonionych w szkolnych eliminacjach. Podjęli ambitne wyzwanie.

Kurator S. Faber uzupełnił cytatem z Norwida – że ojczyzna to ziemia i ludzie. Podkreślił znaczenie języka, który tych właśnie ludzi żyjących na tej właśnie ziemi łączy. Należy zatem szczególnie hołubić więź, która sprawia, że jesteśmy narodem.

Poseł W. Saługa wyznał (bez wstydu), że dlatego nie pojawił się wcześniej na dyktandzie, bo nie czuje się szczególnie wybitnym znawcą języka polskiego, lecz widocznie dzięki kontaktom z innymi wybitnymi, zasiadającymi w ławach poselskich, przedstawicielami narodu polskiego poczuł się na tyle mocny, żeby spróbować swoich sił. Prezydent P. Silbert nie miał poczucia niedowartościowania ortograficznego, bowiem rok temu przypadł mu laur Bezbłędnego Prezydenta wśród samorządowców na Ogólnopolskim Dyktandzie. Popłynęły zatem słowa najeżone podstępными pułapkami polskiej ortografii:

Asocjacyjno-wyobrażeniowe marzenia o poznaniu Chopina są niezwykle interesujące. Co więcej, chopiniana zawsze bywają intrygujące, zmuszające do refleksji i uogólnień z obrzeży muzykologicznych imponderabiliów. Nie tylko wówczas, gdy oglądamy pejzaż żelazowowolski rudozłoty, a może rudawobrzowy, z pewnością pstro malowany przez przyrodę, a przez każdego z nas nawyko-

wo wzbogacany o nowotestamentowe inspiracje, kojarzone zawsze z dokonaniem twórczymi wielkiego Fryderyka. On sam nieprześcigniony, nieprzenikalny i do końca nierozpoznawalny staje się ideą nieprzekraczalnej ciągłości, trwania, istnienia wszechobecnego świata kultury. I gdy erewanka, czytając fascynujące „Małwy na lewadach” Barbary Wachowicz, wędruje jego szlakiem po Szkocji, Londynie, Paryżu, myśli o muzach Fryderykowych i marzy o poznawaniu na nowo szlaku jego peregrynacji, może rzec: „W ojczyźnie serce jego zostało”.

Na pozór łatwe, a przecież piekielnie trudne. Zanim zostały ogłoszone wyniki przez przewodniczącą jury, metodyk języka polskiego p. Barbarę Chuderską, uczestnicy Dyktanda mogli podziwiać przepiękne ikony wykonane przez absolwentkę ZSP Nr 1 Rozalię Czapłę oraz rękodzieło uczennic kl. IV – Anny Piłat i Dominiki Żugaj. Rozbawili się występem szkolnych artystów, którzy pod wpływem kolegów z klasy III - Piotrkę Chechelskiego i Wojtkę Jońskiego odważyli się ujawnić swoje zdolności w programie „Szału ni ma”. Śpiewali, tańczyli, odgrywali – a momentami nawet było „niejednoznacznie”. Jednak prezydent zachował kamienny spokój. Nawet gdy kabaretowy Kopciuszek stracił szansę na książęce zamążpójście, bo księżcu wystarczyła pierwsza lepsza noga niewieścia, która choć z pomocą smalcu, jednak zmieściła się w buciku. Druga część – zabawy językowe były dla znawców języka polskiego niemal formalnością, więc bez większego stresu zwyciężyli:

I kategoria – GIMNAZJUM

- 1m. Gabriela Pacek Gimnazjum Nr 7
- 2m. Martyna Konieczny Gimnazjum Nr 3
- 3m. Aleksandra Bieniek Gimnazjum Nr 3

II Kategoria – SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE

- 1m. Joanna Pędzikiewicz III LO
- 2m. Olga Michalik II LO
- 3m. Daria Koszowska III LO

III kategoria DOROŚLI

- 1m. Zbigniew Mika – Naczelnik Wydziału Edukacji Kultury i Sportu UM Jaworzna.
- 2m. Grzegorz Raczek – Dyrektor Delegatury Kuratorium Oświaty w Sosnowcu.
- 3m. Lidia Szpakowska – mieszkanka Jaworzna.

Za rok znowu corrido ortograficzne. Znow trudne wyzwania językowe. Systematycznie powiększająca się liczba uczestników napawa nadzieją, że jednak nie jest tak źle z szacunkiem dla języka ojczystego.

Tekst i zdjęcie Zbigniew Adamczyk



Tradycja Święta Bożego Narodzenia w Zagłębiu Dąbrowskim

Boże Narodzenie, uroczystość narodzenia Pańskiego w tradycji chrześcijańskiej to święto upamiętniające narodziny Jezusa Chrystusa. Jest to liturgiczne święto stałe, które zawsze przypada na dzień 25 grudnia każdego roku według kalendarza gregoriańskiego. Poprzedza je okres trzytygodniowego oczekiwania, a dokładnie 4 niedziele, zwanego adwentem. Kościoły wschodnie, głównie Cerkiew Grekokatolicka i Kościół prawosławny celebrują liturgię według kalendarza juliańskiego. Stąd też Boże Narodzenie przypada na 25 grudnia kalendarza juliańskiego, tzn. obecnie 7 stycznia kalendarza gregoriańskiego.

Święta Bożego Narodzenia kultywują swoje zwyczaje. W niektórych Kościołach chrześcijańskich zaczynają się od dnia poprzedzającego narodziny Jezusa – Wigilii (wieczór 24 grudnia). W Polsce regionalnej wieczór ten nazywany jest Gwiazdką lub Godami. W Wigilię tradycją w Polsce jest post jakościowy – bezmięsny. W pewnych regionach kraju jest to post ścisły. 24 grudnia punktem kulminacyjnym jest uroczysta kolacja. Tradycja nakazywała, by zasiadać do niej po pojawieniu się pierwszej gwiazdki. Wiąże się to z pamiątką gwiazdy prowadzącej Trzech Króli do stajenki w Betlejem.

Warto zauważyć, iż w Polsce ze względu na specyficzną tradycję naszego kraju również mniejszości wyznaniowe przestrzegają wigi-

lijnego postu. W innych krajach Europy protestanci nie zachowali specjalnych przepisów odnośnie do jedzenia lub niejedzenia mięsa, a chrześcijan prawosławnych obowiązuje w tym dniu ścisły post. Obowiązek postu zniesiono w Kościele katolickim w 1983 roku. Zapisane jest to w nowym kodeksie prawa kanonicznego. Episkopat polski podtrzymywał post wigilijny specjalnym dokumentem aż do roku 2003. Obecnie post w Wigilię jest jedynie zalecany.

W zwyczajach obchodzenia świąt jednym z istotnych elementów jest liczba gości w czasie wieczerzy wigilijnej. Polska literatura kulinarna np. Lemnis Vitry podaje, iż liczba ta powinna być parzysta, plus jeden talerz dla nieobecnych – zmarłych, niespodziewanych gości, Dzieciątka. Nie ma zgodności co do liczby potraw. Niektóre źródła podają, iż powinna ona wynosić 12, inne zaś podają, że liczba winna być nieparzysta. W Polsce średniowiecznej u magnatów potraw było 13, u szlachty – 11, u mieszczaństwa – 9. Trzynaście potraw to górna granica. Książę Jerzy Radziwiłł obszedł ten zwyczaj i twierdził, że można spróbować wszystkich ryb, które są liczone jako jedno danie.

We wszystkich kościołach rzymskokatolickich o północy rozpoczyna się uroczysta msza zwana Pasterką. Następny dzień jest nazywany Bożym Narodzeniem, a kolejny tj. 26 grudnia to w Polsce drugi dzień świąt. Jest

on obchodzony na pamiątkę św. Szczepana, który był pierwszym męczennikiem za wiarę chrześcijańską.

Jak już wspominałem w zależności od regionu niektóre zwyczaje obchodzenia świąt są różne. Chociaż generalnie atrybuty Bożego Narodzenia w Polsce są identyczne – opłatek, choinka, kolędy, prezenty, pierwsza gwiazdka, karp itd., to istnieje pewna odrębność. Jak święta obchodzone są w Zagłębiu Dąbrowskim?

Święta Bożego Narodzenia to dni pełne radości, życzliwości oraz oczekiwania na miłe zdarzenie. Od wieków święta te obchodzono w naszej tradycji ze szczególnym poczuciem więzi rodzinnej. Kultywowano spotkania wielopokoleniowe. Zjeżdżano się z odległych stron, aby w tym właśnie dniu, jedynym niepowtarzalnym dniem w roku, być razem.

Wreszcie nadchodził czas niezwykle, czas świętowania, który poprzez wieki związany był z różnymi obrzędami, zwyczajami czy wydarzeniami. Najwięcej obyczajów i wierzeń dotyczyło samej Wigilii. Już same okoliczności narodzin Jezusa były pełne tajemniczości i cudowności. To także miało wpływ na nastrój tego wieczoru. Nadawano mu szczególną moc, mającą wpływ na przyszłe wydarzenia. Dlatego tak wielką wagę przywiązywano do zachowania się człowieka w tym właśnie dniu. Mówiono, że jaki będzie dzień Wigilii, taki będzie cały rok. Starano się być dobrym, pracowitym, oszczędnym itp.

Każdy Regin Polski mógł poszczycić się bogactwem folkloru dotyczącym obrzędowości bożonarodzeniowej. Również w Zagłębiu z obchodzeniem Świąt Bożego Narodzenia wiązały się różne zwyczaje i wierzenia. Już wczesnym rankiem w wigilię radosny nastrój, pełen podniecenia ogarniał wszystkich. Nastrój ten zakłócali chłopcy płatający figle i psoty śpiącym jeszcze mieszkańcom wsi. Ci, którzy już wstali czynili przygotowania do mającej nadejść wraz z pierwszą gwiazdką wieczerzy. Nagle, co to się dzieje? A to komuś wniesiono sanie lub wóz na dach stodoły. Innym jeszcze pochowano furtki, bramy lub narzędzia w przydrożnych rowach. Najgorzej sprawa miała się z wymalowanymi wapnem oknami. Najczęściej malowano je tam, gdzie mieszkały dziewczęta. Chyba był to denerwujący obyczaj? Można sobie wyobrazić reakcję gospodyń czy gospodarzy.

Kiedy zaświeciła pierwsza gwiazda, posypywano stół sianem i przykrywano białym obrusem. Gospodarz wraz z bliskimi zasiadał do wieczerzy. Dzieleno się opłatkiem. Istotną





sprawą była liczba potraw i zasiadających do wieczerzy. I tak potraw powinna być liczba nieparzysta, natomiast zasiadających do stołu parzysta.

Ilość potraw zależała od zamożności gospodarzy – od trzech do siedmiu. Do potraw typowo wigilijnych zaliczano: kaszę jęczmienną z siemieniaką, kaszę z grzybami, kluski z kaszy tatarskiej z makiem oraz bigos



(ziemniaki polane sosem z gotowanych suszonych śliwek). Jadłospis nie mający nic wspólnego z dzisiejszymi potrawami wigilijnymi. Świadczy to o tym, że dopiero z czasem był systematycznie wzbogacany o potrawy zapożyczone z miast.

Oczekując na pasterkę śpiewano kolędy, bawiono się wróżąc sobie. Oczywiście najchętniej wróżyły dziewczęta myśląc o zamążpójściu. Z wypiekami na twarzy

przekładano na przemian buty z kośćmi. Właścicielka butów, które pierwsze wywędrowały za próg mogła się spodziewać, że w niedługim czasie powiększy grono mężatek. Dzisiaj większość po wieczerzy ogląda telewizor.

Wraz z nastaniem dnia świąt rozpoczynano kolędowanie. Kolędnicy chodzili po domach śpiewając kolędy. Za nie otrzymywali datki. Chodzono z gwiazdą betlejemską, rzadziej z szopką. Największe wrażenie robili kolędnicy – przebierańcy wraz z królem Herodem na czele. Można tam było spotkać różne postacie – Anioł, Marszałek, Ułan, Turek, Żyd, Śmierć, Diabeł. Poziom artystyczny kolędników był więc zróżnicowany i chyba zaplata też. Kolędowanie trwało od Bożego Narodzenia do Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego).

Kiedy będziemy zasiadać z bliskimi do wieczerzy wigilijnej starajmy się przede wszystkim stworzyć jak najsympatyczniejszy nastrój pełen ciepła i miłości. Pomyślmy o wszystkich, którzy byli nam bliscy, a już odeszli. Najważniejsze w tym dniu są przeżycia. One nas wzbogacają i pozwalają z nadzieją wejść w codzienne życie. Po to nasi przodkowie otrzymali dni pracy i dni świętowania. A do dni świętowania poprzez wieki tworzono całą oprawę obrzędową. Nie zapominajmy o niej. Przekazujemy ją z pokolenia na pokolenie.

Tekst i zdjęcia Henryk Kocot



Na podstawie książek Anny Zdrożyńskiej: *Powtarzać czas od początku* i Janiny Marcinkowej: *Folklor Zagłębia Dąbrowskiego*.

Do Jaworzna po stypendia

Jaworzno po raz pierwszy gościło najlepszych z najlepszych uczniów szkół średnich delegatury sosnowieckiej. Uroczystość wręczenia 83 stypendiów Prezesa Rady Ministrów i 3 stypendiów Ministra Edukacji Narodowej odbyła się w hali widowiskowo-sportowej, bo też taka ilość gości nie zmieściłaby się w salce kameralnej. Należy pomnożyć ilość stypendystów co najmniej trzy razy, bowiem wraz z nimi przybyli rodzice i nauczyciele wychowawcy. I dodać oficjalnych gości – gospodarza miasta, Pana Pawła Silberta, wojewodę Śląskiego Adama Matusiewicza, senatorów: Zbigniewa Meresa i Zbigniewa Szaleńca. Swoim udziałem uroczystość zaszczytli również posłowie: Waldemar Anzel, Jarosław Pięta i Wojciech Saługa. W imieniu Marszałka Województwa życzenia zdolnej młodzieży przekazał Radny Województwa Śląskiego Krzysztof Stachowicz. Stypendyści laudacje odbierali z rąk Śląskiego Kuratora Oświaty Stanisława Fabera, któremu towarzyszył wicekurator Dariusz Wilczak. Władze lokalne prezydenci, wiceprezydenci i naczelnicy miast, z których przybyli stypendyści: Będzina, Dąbrowy Górniczej, Jaworzna, Mysłowic, Sosnowca, Sławkowa, Zawiercia i innych wręczyli nagrodzonym upominki rzeczowe. Dostojnicy pokreślili rangę nauki oraz ambicji w dzisiejszych czasach. Podkreślali szczególnie rolę wiedzy przy budowaniu społeczeństwa obywatelskiego. Złożyli gratulacje nie tylko wyróżnionym uczniom, lecz również ich nauczycielom i rodzicom, którzy mają szczególne powody do radości. Wojewoda Adam Matusiewicz życzył wszystkim wyróżnionym Stypendystom, by stali się artystami w swoim fachu, bowiem mistrzostwo powinno być celem każdego młodego człowieka. Gospodarzem spotkania był Grzegorz Raczek, Dyrektor Delegatury Kuratorium Oświaty

w Sosnowcu, który dyrygował całą uroczystością. Wyczytywał nazwiska nagrodzonych stypendystów i kierował wręczaniem im okazjonalnych dyplomów i prezentów. Żądał również o to, by każda z grup stypendystów miała pamiątkowe zdjęcie z wojewodą, kuratorem i prezydentem czy burmistrzem. W imieniu stypendystów niespodziewanie głos zabrał Mariusz Palian (ILO Jaworzno), który potoczył i składnie zapewnił zebranych gości, że nie zawiodą pokładanych nadziei. Podziękował za zaufanie, za nagrody, za pieniądze, które będą otrzymywać – i podkreślił, że nie gratyfikacje są dla młodzieży najważniejsze, choć i one nie są bez znaczenia, lecz rozwój intelektualny i duchowy. Dyrektor G. Raczek wypowiedź Mariusza ocenił na celujący! W pełni zasłużenie.

Na zakończenie uroczystości zagrała duma jaworzniackiej muzyki – Archetti. Pomysłodawczynią, inicjatorką i opiekunką artystyczną jest nauczycielka skrzypiec w PSM I st. im. Grażyny Bacewicz w Jaworznie, pani Marzena Synowiec. Zaprosiła więc do współpracy swoich uczniów, a uczniowie swoich kolegów ze Śląska i Małopolski i oto powstała Orkiestra kameralna, która niemal z dnia na dzień zdobyła sobie ogromne uznanie. Już zdążyli zdobyć główne wyróżnienie na XXXII Bydgoskich Impresjach Muzycznych. Nic więc dziwnego, że tym razem znakomite wykonanie barokowych utworów kameralnych zostało nagrodzone ogromnymi brawami.

Dla piszącego te słowa ogromną frajdą było uczestniczenie w uroczystości, w czasie której pierwszą wymienioną stypendystką była Magdalena Czerniak z Jaworzna, uczennica III klasy Technikum Turystycznego Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 im. Kazimierza Wielkiego. Mam satysfakcję być jej wychowawcą. Ot taka prywata!

Tekst i zdjęcie Zbigniew Adamczyk



65 lat Szkoły Muzycznej w Będzinie



22 października w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia im. Fryderyka Chopina w Będzinie odbyła się wielka gala z okazji jubileuszu 65-lecia istnienia placówki.

Z estrady popłynęło wiele podziękowań, życzeń i wspomnień. Z rąk wizytatora pana Jerzego Sieczki szczególnie zasłużeni dla szkoły pracownicy Lidia Zielińska-Przybył, Małgorzata Bober, Krzysztof Ziętek, Kalina Wikarek, Grzegorz Szczyrba otrzymali nagrody Dyrektora Centrum Eduka-



cji Artystycznej za szczególny wkład w rozwój edukacji artystycznej w Polsce, natomiast piętnastu nauczycieli zostało wyróżnionych nagrodą dyrektora szkoły. W drugiej części koncertu wystąpili absolwenci szkoły – Karolina Ryczek, Marcin Prysak i Piotr Feledyk.

*Robert Garstka
Fot. arch. Szkoły Muzycznej
w Będzinie*

Zielone Słońce

Stowarzyszenie Promocji Kultury „Zielone Słońce” powstało w 2008 roku w Dąbrowie Górniczej z inicjatywy dwójki przyjaciół i aktorów lalkarzy: Karola Kojkoła i Kamila Katolika. Pomysł ten był naturalną konsekwencją poszukiwań młodych artystów, którym przestał wystarczać etat w dziecięcym teatrze repertuarowym. Aktorzy znaleźli przestrzeń do pracy nad autorskimi pomysłami w piwnicach Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, gdzie od lat twórczo rozwija się kulturalne podziemie miasta. Niedługo trzeba było szukać sprzymierzeńców do powołania działalności w ramach NGO. Głównym celem Stowarzyszenia jest propagowanie edukacji teatralnej i podnoszenie standardów uczestnictwa w wydarzeniach kulturalnych wśród najmłodszych uczestników życia publicznego oraz promowanie kultury niezależnej w twórczej ofensywie wobec postulatów kultury masowej. W „Małym manifestie”, który można znaleźć na stronie grupy artyści mówią o wykraczaniu poza konwencje i kanon teatrów młodego widza, o dążeniu do stworzenia profesjonalnej i autorskiej sceny lalkarskiej oraz teatru rodzinnego, rodzinnego. Jednocześnie zapewniają, że nie chcą się identyfikować z żadnym teatrem repertuarowym. Podkreślają również, że traktują teatr lalek jako sztukę lalkarską, zdając sobie sprawę z jej różnorodności, co poparte jest ich wykształceniem i rzemiosłem.



Pierwszym projektem, który w całości oddaje idee i cele Stowarzyszenia, był spektakl „Pan Kuleczka” na podstawie cyklu książek dla dzieci Wojciecha Widłaka. Przedstawienie bardzo kameralne zakładające bliski kontakt (interakcję) z młodym widzem. Stało się ono częścią szerszego edukacyjnego przedsię-

wzięcia „Zielone słońce dzieciom – pogłębianie wyobraźni”, w który zaangażowały się dąbrowskie przedszkola. „Pan Kuleczka” został zauważony przez animatorów życia teatralnego goszcząc na festiwalach i scenach w różnych częściach kraju.

Prawdziwie nowatorskie przedsięwzięcie to z kolei „Święci osiedlowi” według Lidii Amejko. Ten niezwykle eksperyment ze współczesną literaturą hagiograficzną nawiązuje do średniowiecznego misterium lalkowego i rozgrywa się w bardzo intymnej, mrocznej atmosferze małego retabla, zbudowanego ze starego akordeonu, drutu i lampek choinkowych. Spektakl zawitał nawet do starej kopalni przy Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej, przez co stał się wydarzeniem kulturalnym, o którym lokalne media pisały – „mały-wielki teatr”.

Twórcy nowego zagłębiowskiego teatru nie osiedli na laurach i jednocześnie ze „Świętymi...” rozpoczęli pracę nad projektem „Wunschpunsch” na podstawie powieści Michaela Ende pt. „Szatanarchistyczny genialny alkoholimpijski eliksir albo Wunschpunsch”. Przedstawienie jest produkcją utrzymaną w poetyce magii. W dobie cyfrowych technologii, w świecie zdominowanym przez audiowizualność, autorzy proponują świat tajemniczy, prawdziwych emocji i wyjątkowej atmosfery, gdzie toczy się odwieczna walka dobra ze złem. W najnowszym projekcie aktorów wspierają wybitne nazwiska: Pavel Hubicka – czeski scenograf, Jacek Wierchowski – kompozytor muzyki teatralnej, Elżbieta Żelezik – twórcza lalek teatralnych, autorka słynnej maskotki reklamowej „Mały Głód”. Pomysł został również doceniony przez Marszałka Województwa Śląskiego, dzięki któremu jego realizacja stała się możliwa. Premiera już 25 listopada na dużej scenie Pałacu Kultury Zagłębia.

K.K.



Trzeci sektor

KGW Rzędkowice



Nasze Koło istnieje już ponad 50 lat. Panie, które na początku zaangażowały się w istnienie Koła Gospodyń Wiejskich, już od nas odeszły na zawsze. Przewodniczącą Koła była pani Mieczysława Korpyś, prowadziła je 30 lat, od 1959 roku. Przewodniczącą została i jest obecnie Janina Myga. Działalność Koła polega m.in. na: reprezentowaniu gminy na przeglądach, festynach, piknikach, dożynkach powiatowych itp.. W tym roku koło zajęło I miejsce w XII Regionalnym Przeglądzie Zespołów Ludowych, Kapel, Śpiewaków oraz Twórców Ludowych i Rękodzielnictwa. Uczestniczy również w uroczystościach kościelnych. Od czterech lat koło występuje z Kapelą Jurajską, która im przygrywa. Panie spotykają się systematycznie, podczas spotkań śpiewają (w swoim repertuarze mają wiele piosenek, również takich, które śpiewały ich babcie), wymieniają się przepisami, robią tradycyjne wypieki. Koło bardzo aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym, a dzięki swojej działalności kultywuje i podtrzymuje tradycje. Bardzo cieszy to, że do Koła przystępują nowe Panie.

Inf. i zdjęcia KGW Rzędkowice



Na ratunek cmentarnym zabytkom!

W dniach 31 października i 1 listopada, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Będzina już po raz siódmy kwestowali na będzińskich cmentarzach na rzecz ratowania zabytkowych grobowców najstarszej będzińskiej nekropolii na Górze Zamkowej.

W dotychczasowych kwestach TPB zebrało 79 600 złotych. Powyższa kwota, zasilona środkami z funduszu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, pozwoliła odnowić sześć zabytkowych pomników: ofiar katastrofy z 1836 r. w kopalni „Reden”, weterana Powstania styczniowego



– Walentego Walasa, rodziny Chorzelskich i Sączewskich, Teodora i Feliksy Kahl oraz małżonków Konrada i Ludwika Siedleckich.

Od samego początku w idee kwesty czynnie włączają się władze samorządowe oraz liczne stowarzyszenia pozarządowe min :Klub Absolwenta, Stowarzyszenie



Dzieciom Będzina, Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych Ruchowo „Szansa”, Związek Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, Związek Emerytów i Rencistów i Bractwo Rycerskie.

W trakcie tegorocznej kwesty zebrano rekordową jak dotąd kwotę ponad 25 ty-

sięcy złotych, za którą TPB planuje poddać renowacji grób Eugenii z Zalassowskich Bogusławskiej i jej córki Pelagii.

Tradycją stały się również uroczyste koncerty organizowane corocznie przez TPB z myślą o wszystkich darczyńcach i kwestujących.

*Robert Garstka
Fot. Piotr Dudala*

Obelisk Kazimierza Wielkiego

W sobotę 20 listopada br. na Placu ks. Mieczysława Zawadzkiego przy kościele Świętej Trójcy w Będzinie odsłonięto Obelisk króla Kazimierza Wielkiego.

Obelisk, wykonany z czarnego granitu, został odsłonięty w 700 lecie urodzin króla, który min nadał miastu Będzin prawa miejskie oraz nakazał wzniesić mурowany zamek obronny.

W tej podniosłej uroczystości wzięli udział m.in.: ks. Andrzej Stępień, proboszcz parafii Świętej Trójcy, Starosta Będziński Adam Lazar, Prezydent Będzina Radosław Baran oraz Przewodniczący Sejmiku Samorządowego Województwa Śląskiego Michał Czarski.

Uroczystość została przygotowana przez Stowarzyszenie Ratujmy Kościoły na Górze wraz ze Starostwem Powiatowym w Będzinie i Stowarzyszeniem na Rzecz Ochrony Dziedzictwa Przyrodniczego i Kulturowego „Moje Miasto”.

Patronat honorowy nad uroczystością objął biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak.

*Robert Garstka
Fot. Piotr Dudala*



Kobiety z Sosnowca

Miasto nie dla nas

W Sosnowcu mieszka ok. 230 tys. osób, z czego ponad połowa to kobiety. Mimo to funkcjonuje obiegowe stwierdzenie, iż w mieście rządzą mężczyźni. Najlepiej to widać w składzie Rady Miasta, gdzie zasiada 23 panów. Także ściśle kierownictwo Urzędu Miejskiego to męski desant. Trochę lepiej wypada kierownictwo wydziałów UM. Czy miasto z całą swoją infrastrukturą najlepiej służy mocnej płci? Odpowiedzi na to pytanie szukało Stowarzyszenie Aktywne Kobiety, które 14 października zorganizowało w swojej siedzibie przy ul. Warszawskiej panel



dyskusyjny poświęcony tym właśnie problemom.

Punktem wyjścia do dyskusji był wykład Beaty Maciejewskiej, prezeski fundacji Przestrzenie Dialogu. W swoim wystąpieniu wskazała, co jest ważne w mieście z punktu widzenia kobiet. Według prezeski dla pań, i to nie tylko w Sosnowcu, najbardziej liczą się takie obszary jak: ekologia, bezpieczeństwo, komunikacja, likwidacja barier architektonicznych oraz pomoc młodym matkom. Okazuje się, iż na świeżym powietrzu bardziej zależy paniom niż nam mężczyznom. To samo dotyczy zielonych stref w mieście – parków i skwerów. Wiąże się to niewątpliwie z dziećmi i z matczyną opieką.

– Jeżeli chodzi o komunikację – mówi Beata Maciejewska – trochę w tym względzie się poprawiło, ale nadal brakuje autobusów niskopodłogowych, a o tramwajach nie wspomnę. Wejście matki z wózkiem bez pomocy drugiej osoby jest z reguły niemożliwe. To samo dotyczy przejść podziemnych. Nie wszystkie jeszcze mają szyny dla wózków.

Wykład poruszał także sprawy bezpieczeństwa kobiet w mieście. Wskazywano na liczne zagrożenia, które czyhają na

kobiety. Mowa oczywiście o możliwości napadów, rabunków, a często i gwałtów.

Jaka jest rada, by poprawić ten stan rzeczy we wszystkich obszarach? Halina Sobańska, prezeska Stowarzyszenia Aktywne Kobiety generalnie widzi to w większym zaangażowaniu pań w politykę na szczeblu miasta i regionu. Dzięki temu kobiety będą mogły w znacznej mierze wpływać na podejmowanie sprzyjających dla nich decyzji we wspomnianych obszarach. (Koc)

MultiDesant Artystyczny

Po trzech latach na zagłębiowski rynek kulturalny powróciła FotoGrupa Koń Trojański. 12 listopada w będińskim kinie Nowość fotograficy zaprezentowali projekt: Zapomniana perła. Cementownia Grodziec – zabytek zagłębiowskiej przemysłowej architektury.

Działanie Konia Trojańskiego było prowadzone pod auspicjami Stowarzyszenia Wspierania Działań Twórczych ViaArte i otrzymało finansowanie zarówno ze środków miasta jak i powiatu Będzin.

Jak podczas wszystkich dotychczasowych działań Konia Trojańskiego, tak i tym razem, nie był to zwyczajny wernisaż fotografii. Organizatorzy położyli bardzo duży nacisk na przekaz multimedialny. Prezentacja zdjęć na kinowym ekranie była połączona z muzycznymi działaniami duetu Timo Higgs (dj) & David Bo (sax, Full Erection).



Biorący udział w projekcie będińscy fotograficy – Sonia Anastazja Szela, Monika Gruszevicz, Piotr Zatorski oraz Dariusz Wójcik na zdjęciach przedstawili swoje spojrzenie na jeden z największych, zabytkowych obiektów industrialnych Zagłębia. Ich projekt wyróżniał się fotografiami cementowni wykonanymi nocą w sztucznym oświetleniu – było to nietuzinkowe działanie, które od członków Konia Trojańskiego wymagało nie tylko zaangażowania ale także dużych umiejętności logistycznych. Wysiłki te zwróciły się w postaci nietuzinkowych fotografii, na których setki razy fotografowane ruiny zaprezentowały całkiem nową, niespodziewaną twarz.

Projekt fotograficzny FotoGrupy Koń Trojański wpisuje się w szeroki aspekt działań na rzecz ratowania Cementowni Grodziec.

Robert Garstka
Fot. Dariusz Wójcik

W powiecie zawierciańskim

Aby przybliżyć ten temat trzeba, chociaż pokrótce, scharakteryzować sam powiat jako jednostkę samorządu terytorialnego. Uzupełnia on funkcje gmin w wykonywaniu zadań publicznych, które obejmują sprawy o charakterze użyteczności publicznej (edukację, przeciwdziałanie bezrobociu, pomoc społeczną i inne), jak i o charakterze administracyjnym. Te ostatnie do końca 1998 roku prowadzone były przez urzędy rejonowe.

Powiat ziemski obejmuje swoim zasięgiem znacznie większe terytorium niż gmina. Organem wykonawczym powiatu jest Zarząd Powiatu. Na jego czele stoi starosta wybierany przez Radę Powiatu.

Powiat zawierciański tworzy 10 gmin, 6 miast, 136 miejscowości wiejskich i 120 sołectw. Zajmuje obszar ponad 1003 km kw. Zamieszkuje go przeszło 122 tys. osób. W tej liczbie ludności znajdują się osoby, które objęte są różnorodną pomocą. Jej wspólnym mianownikiem jest hasło „Z myślą o rodzinie”. Realizuje je kilka wyspecjalizowanych instytucji.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie

PCPR w Zawierciu obejmuje pomocą i nadzorem rodziny zastępcze na terenie całego powiatu zawierciańskiego. W 2009 roku było 131 rodzin zastępczych, w których przebywało 203 dzieci. Łączna kwota udzielonej pomocy wyniosła 1.391.197 zł.

Centrum realizuje także wiele zadań na rzecz osób niepełnosprawnych. Rodzaje oraz wysokość dofinansowań z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych obejmowały różne aspekty pomocy. Różna była też ilość i wielkość dofinansowań. Dotowano takie zadania jak: turnusy rehabilitacyjne, likwidowanie barier funkcjonalnych (architektonicznych, technicznych oraz w komunikowaniu się). Pomagano finansowo przy zakupie sprzętu rehabilitacyjnego, ortopedycznego i środków pomocniczych.

Powiat zawierciański w latach 2006 – 2008 uczestniczył w „Programie wyrównywania różnic między regionami”. W jego ramach utworzono 12 stanowisk pracy u 5 pracodawców na kwotę ponad 250 tys. zł. Usuwano także bariery architektoniczne i transportowe. W Żarnowcu tamtejszy SP ZOZ pozyskał środki na montaż dźwigu dla osób niepełnosprawnych. Natomiast w gminie Łazy przyznano dofinansowanie w wysokości 83 tys. zł na zakup busa dla niepełnosprawnych.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie z powodzeniem realizuje unijny projekt „Lepszy start – promocja aktywnej integracji w powiecie zawierciańskim”. Realizacja projektu przewidziana jest na lata 2008–2013.

Jego beneficjentami są osoby niepełnosprawne oraz wychowankowie rodzin zastępczych i placówek opiekuńczo-wychowawczych. W roku 2009 Centrum otrzymało dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki ponad 933 tys. zł.

Głównym celem Projektu jest uzyskanie poprawy i wzrostu aktywności społecznej i zawodowej osób zagrożonych wykluczeniem społecznym, a w szczególności podwyższenie i uzyskanie kwalifikacji oraz umiejętności zawodowych umożliwiających powrót na rynek pracy.

Ośrodek Usług Opiekuńczo-Wychowawczych

Jest placówką opieki całodobowej i całorocznej dla 38 wychowanków w wieku od 3 do 19 lat. Dysponuje 2 budynkami przy ul. Daszyńskiego w Zawierciu. W strukturze OUO-W funkcjonują m.in.: kameralna grupa usamodzielniania (grupa opieki całonocnej – całonocnej i całorocznej, która przygotowuje młodzież w wieku powyżej 15 lat do dorosłego i samodzielnego życia), grupy opieki całkowitej realizujące zadania socjalizacyjne, zespół ds. rodzinnej opieki zastępczej (praca zespołu obejmuje nabór, kwalifikację i szkolenie kandydatów na rodziny zastępcze we współpracy z PCPR oraz przygotowanie dzieci do przejścia w opiekę rodziny zastępczej, a także pracę z biologiczną rodziną dziecka), zespoły ds. okresowej oceny sytuacji wychowanków.

Ośrodek Pomocy Dziecku i Rodzinie w Górze Włodowskiej

Obejmuje on swoją opieką 40 wychowanków: 30 w placówce socjalizacyjnej oraz 10 dziewcząt w Grupie Usamodzielniania w oddzielnym budynku. Wychowankowie pochodzą z terenu woj. śląskiego.

Placówka prowadzi ponadto Ośrodek Interwencji Kryzysowej, w ramach którego udziela się natychmiastowej pomocy psychologicznej, poradnictwa socjalnego, prawnego, a w sytuacjach uzasadnionych schronienia w hostelu. W OIK dużo uwagi przywiązuje się na stworzenie klimatu sprzyjającego dzieciom oraz do wzmacniania poczucia bezpieczeństwa, godności dzieci, poczucia ich własnej wartości, stwarza się warunki rozwoju osobistego. Dzieci mają tu możliwość rozwijania swoich zainteresowań i pasji.

Starostwo Powiatowe wniosło pomoc finansową na bieżące remonty. W latach 2007 – 2010 przeprowadzono w budynku ośrodka remonty inwestycyjne na łączną kwotę przeszło 137 tys. zł. Przygotowano również projekt termomodernizacji obiektu wraz z audytem energetycznym.

Dom Pomocy Społecznej w Zawierciu

Stanowi jedną z największych jednostek opieki społecznej na terenie woj. śląskie-

go. W powiecie zawierciańskim to jedyna placówka dla osób przewlekle psychicznie chorych. DPS oferuje kompleksowe usługi bytowe, opiekuńcze, terapeutyczne, socjalne i rehabilitacyjne. Od początku swojego istnienia starał się zasłużyć na nazwę Domu Rodzinnego, gdyż najważniejsi są tu mieszkańcy. To oni tworzą wspólnotę ludzi, która wzajemnie sobie pomaga. Obecnie w Domu przebywają 174 osoby. Zgodnie z „Programem Naprawczym” przewiduje się zmniejszenie liczby jego mieszkańców do 156.

Koszt prac remontowych i inwestycyjnych wykonanych w latach 2007–2009 opiewa na kwotę 3.166.530 zł.

Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Zawierciu

Poradnia swoim zasięgiem i działaniem obejmuje gminy: Zawiercie, Poręba, Łazy, Ogrodzieniec, Pilica, Włodowice, Kroczyce, Irządze, Szczekociny i Żarnowiec. Celem działania poradni jest udzielenie dzieciom i młodzieży pomocy psychologiczno-pedagogicznej, w tym pomocy logopedycznej, pomocy w wyborze kierunku kształcenia i zawodu. Pomoc udziela się także rodzicom i nauczycielom. Jest ona związana z wychowaniem i kształceniem dzieci i młodzieży.

Do ważnych przedsięwzięć i inwestycji zrealizowanych w latach 2007–2010 zaliczyć trzeba dotacje Ministerstwa Edukacji Naro-



dowej na działalność Punktów Konsultacyjnych organizowanych w szkołach, realizację programu „Zero tolerancji dla przemocy w szkole”. W ramach programu „Bezpieczna i przyjazna szkoła” doposażono Poradnię o komputer wraz z oprogramowaniem, korektory mowy oraz inne pomoce i programy multimedialne do diagnozy i terapii psychologiczno-pedagogiczno-logopedycznej. Pozyskano również środki na organizację zajęć wczesnego wspomagania rozwoju.

Przy Poradni działa kilkanaście punktów konsultacyjnych i grup wsparcia. Ważnym obszarem działalności jest Pomarańczowa Linia – punkt konsultacyjny dla uczniów spożywających alkohol oraz rodziców i nauczycieli. Udzielana jest także pomoc w zakresie narkotyków i przemocy w rodzinie.

Opracowano na podstawie materiałów Starostwa Powiatowego w Zawierciu

Samorządowiec Roku 2010

23 października 2010 roku w Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu odbyła się Uroczysta Gala II edycja konkursu „Samorządowiec Roku 2010”, pomysłodawcą konkursu jest Izabela Hlond-Machala z WYDAWNICTWA „REGIONY” – działającego na rynku wydawniczym od 1997 roku, jego głównym celem jest promowanie walorów turystycznych naszego kraju, przybliżanie czytelnikom ciekawych miejsc, związanych z nimi historii, nie tylko ludowych oraz kultury i obyczajów danego zakątka. Kolejnym współorganizatorem jest STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ w skrócie SD RP – działające od roku 1983, jest największą organizacją dziennikarską w Polsce. Reprezentującą wszystkie pokolenia i specjalizacje polskiego dziennikarstwa. Stowarzyszenie współpracuje z innymi organizacjami dziennikarskimi w Polsce; oraz ZWIĄZEK ZAGŁĘBIOWSKI – Stowarzyszenie działające od roku 1994, skupiające swą działalność na: inicjowaniu przedsięwzięć integrujących społeczności lokalne, propagowaniu i rozpowszechnianiu kultury, tradycji oraz świadomości regionalnej i obywatelskiej na całym terenie Zagłębia.

Patronat medialny nad imprezą sprawowały redakcje: „Kuriera Miejskiego”, „Nowego Zagłębia”, „Życia Sosnowca”, „Życia Dąbrowy Górniczej” oraz „Życia Katowic”.

Konkurs ma na celu wyłonienie liderów wspólnot samorządowych, wyróżniających się oryginalnymi działaniami, służącymi lepszemu zaspokajaniu potrzeb społecznych, oraz tworzących warunki dla zrównoważonego rozwoju lokalnego, przyczyniających się do unowocześnienia potencjału społecznego i gospodarczego miast, gmin i powiatów. Ocenie poddany zostaje wkład i dokonania liderów z punktu widzenia ich otwartości na problemy i oczekiwania mieszkańców, poszukiwania form komunikowania się ze społecznościami lokalnymi, innowacyjność w kreowaniu polityki lokalnej oraz współpraca z biznesem i trzecim sektorem w budowie społeczeństwa obywatelskiego.

Kapituła pod przewodnictwem posła na Sejm IV kadencji, redaktora Kazimierza Zarzyckiego w skład, której wchodzi przedstawiciele środowisk artystycznych, kulturalnych, naukowych, gospodarczych oraz trzeciego sektora promuje postawy wybitnych działaczy samorządowych i ich dokonania mogące znaleźć zastosowanie we wspólnotach województwa śląskiego.

Organizatorzy konkursu Wydawnictwo Regiony, Stowarzyszenie Dziennikarzy RP oraz Związek Zagłębiowski przyznali Złote Klucze, Srebrne Klucze, Brązowe Klucze oraz Wyróżnienia w trzech kategoriach:

1. STAROSTA, PREZYDENT, BURMISTRZ, WÓJT.

2. CZŁONKOWIE RAD SOŁECKICH, RADNI GMIN, RADNI MIAST, RADNI POWIATÓW.

3. SOŁTYS, SEKRETARZ.

Laureatami konkursu „Samorządowiec Roku 2010” z Regionu Zagłębia są między innymi: Marek Śliwa – Burmistrz Miasta Poręba, Paweł Silbert – Prezydent Miasta Jaworzno, Zbigniew Podraza – Prezydent Miasta Dąbrowa Górnicza, Kazimierz Górski – Prezydent Miasta Sosnowiec, Zbigniew Jaskiernia – Zastępca Prezydenta Miasta Sosnowiec, Agata Jarza-Korpyś – Sekretarz Powiatu Zawierciańskiego, Leszek Wojdas – Wicestarosta Powiatu Zawierciańskiego, Ryszard Mach – Starosta Powiatu Zawierciańskiego, Adam Lazar – Starosta Powiatu Będzińskiego, Eugeniusz Kapuśniak – Wójt Gminy Żarnowiec, Krzysztof Szlachta – Wójt Gminy Włodowice, Andrzej Mikulski – Burmistrz Miasta i Gminy Ogrodzieniec, Andrzej Cembrzyński – Burmistrz Miasta Wojkowice, Marek Łykowski – Sołtys Sołectwa Strzyżowice, Gmina Psary, Janusz Kozielec – Sołtys Sołectwa Brzękowiec, Gmina Psary, Marian Kozielec – Wójt Gminy Psary, Piotr Kaczyński – Burmistrz Miasta i Gminy Łazy, Marek Mrozowski – Burmistrz Miasta Czeladź, Mirosław Mazur – Prezydent Miasta Zawiercie, Krzysztof Kobiółka – Wójt Gminy Mierzęcice, Ja-

nusz Majczak – Zastępca Wójta Gminy Psary, Urszula Radziwolek – Sekretarz Gminy Siewierz, Jan Molenda – Wójt Gminy Irządze, Zdzisław Majcherczyk – Zastępca Wójta Gminy Mierzęcice, Halina Firek – Sekretarz Gminy Poręba, Marian Sobieraj – Sołtys Sołectwa Góra Siewierska – Gmina Psary, Tadeusz Kubik – Sołtys Sołectwa Dąbie – Gmina Psary, Jacek Łaszczuk – Sołtys Sołectwa Gołasz – Gmina Psary, Tadeusz Majerczyk – Sołtys Sołectwa Grodków – Gmina Psary, Maria Sobczyk – Sołtys Sołectwa Wojkowice Kościelne – Gmina Siewierz, Antoni Kocot – Sołtys Sołectwa Gołuchowiec – Gmina Siewierz, Zofia Machura – Sołtys Sołectwa Leśniaki, Gmina Siewierz, Lidia Kubień – Wiceprzewodnicząca Rady Gminy Psary, Waldemar Szydło – Radny Miasta Będzin, Mariusz Kalaga – Radny Miasta Dąbrowa Górnicza, Agnieszka Pasternak – Przewodnicząca Rady Miasta Dąbrowa Górnicza, Jan Bosak – Radny Miasta Sosnowiec, Paweł Kaczmarczyk – Radny Miasta Jaworzno, Tadeusz Kaczmarek – Przewodniczący Rady Miasta Jaworzno, Anna Koczur – Radna Miasta Będzin, Marek Kozioł – Przewodniczący Rady Miasta Zawiercie, Andrzej Madej – Radny Miasta Sosnowiec, Krzysztof Malczewski – Radny Powiatu Będzińskiego, Grzegorz Walek – Przewodniczący Rady Miasta i Gminy Ogrodzieniec, Gabriel Zieliński – Przewodniczący Rady Miasta Poręba, Jerzy Blach – Radny Miasta Poręba, Czesława Zygmunt – Członek Rady Sołeckiej Strzyżowice – Gmina Psary, Antonina Piekarska – Członek Rady Sołeckiej Strzyżowice – Gmina Psary, Maria Olszewska – Członek Rady Sołeckiej Preczów – Gmina Psary.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy.

Rafał Bielawski



Kalendarium imprez kulturalnych

Sosnowieckie Centrum Sztuki Zamek Sielecki:

17.12.2010 – 9.01.2011 – wystawa poplenerowa (Plener Artystów Plastyków Sosnowiec 2010) – „XIII Sosnowieckie Spotkania Artystyczne. Surówka”.

18.12 – koncert Janusza Radka „Dziwny Ten Świat – opowieść Niemenem”.

Muzeum Pałac Schoena, Sosnowiec:

Do 3.12 – wystawa „Szopki krakowskie”.

16.11.2010 – 2.01.2011 – wystawa „Zamek Budatin – spacerem przez wieki”.

16.11.2010 – 9.01.2011 – wystawa grafiki „Rzymskie impresje – grafiki Giovanniego Battisty Piranesiego”.

16.11.2010 – 9.01.2011 – „Metamorfozy” Owidiusza w graficznych ilustracjach Hendrika Goltziusa, Francisa Cleyna i Salomona Saverego.

Klub im. Jana Kiepury i Energetyczne Centrum Kultury „Energetyk” im. Jana Kiepury w Sosnowcu:

13.12 – koncert dedykowany pamięci wieloletniego profesora i animatora zagłębiowskiej kultury Michała Oleś. Zespół wokalny II st. z Zespołu Szkół Muzycznych im. J. Kiepury w Sosnowcu zaprezentuje utwory „sacrum, profanum” oraz autorskie kompozycje braci Oleś.

30.12 – „Przebojowa noc kończąca rok”. Wystąpi Siemianowicka Orkiestra Rozrywkowa i gwiazda wieczoru – Grażyna Łobaszewska.

Miejski Klub „Maczki”, Sosnowiec:

28.12 – koncert „Noce I Sny” z okazji 20-lecia Klubu w wykonaniu Magdy Umer.

Pałac Kultury Zagłębia, Dąbrowa Górnicza:

31.12 – Bal Sylwestrowy. W programie: „KOKTAJL MUSIC SHOW”: DJAREK MUSIC WORLD (Arkadiusz Rembacz – Radio „Piekary”), MARIUSZ KALAGA & PARTNERS – „Co tu jest grane?” & „Pół na pół”, pokazy taneczne Szkół Tańca „MARÉNGO”, pokaz sztucznych ogni.

05.02.2011 – „GALAKTIKOS” – najnowsza trasa Kabaretu Moralnego Niepokoju.

06.02.2011 – koncert akustyczny zespołu „MALEO REGGAE ROCKERS”.

13.02.2011 – koncert zespołu STARE DOBRE MAŁŻEŃSTWO.

13.02.2011 – spektakl teatralny „BOŻYSZCZE KOBIET”.

03.03.2011 – spektakl teatralny „KLIMAKTERIUM... I JUŻ.”.

25.03.2011 – XDĄBROWSKA ŚCIEMA KABARETOWA – JUBILEUSZ DEBEŚCIAKA. 25.03 wystąpią: KABARET NOŁNEJM, KABARET LIMO, KABARET SMILE, KABARET ANI MRU MRU. 26.03 wystąpią: KABARET BABECZKI Z RODZYNKIEM, KABARET CHYBA, KABARET CZESUAF, KABARET NOWAKI, KACPER RUCIŃSKI, KABARET LIQUIDMIME, KABARET SZARPANINA. 27.03 – koncert laureatów.

15–16.01.2011 – Warsztaty Gospel „DĄBROWA GÓRNICZA 2011”. Warsztaty poprowadzi BRIAN FENTRESS. Warsztaty są otwarte dla wszystkich chętnych, bez ograniczeń wiekowych, bez przesłuchań.

KINO STUDYJNE KADR:

27.12 – PRZEGLĄD FILMÓW DUŃSKICH:

27.12 – „Święta Karli”, „O czym nie wie nikt”;

28.12 – „Płomień i Cytryna”, „Kandydat Dania”;

29.12 – „Dwa światy”, „Nie bój się mnie”.

Muzeum Miejskie „SZTYGARKA”, Dąbrowa Górnicza:

WYSTAWY STAŁE:

„Historia, co węglem i srebrem pisana, czyli o przemyśle w Zagłębiu Dąbrowskim”; „Las Karboński, czyli przeszłość zapisana w węglu”; „Mamuty – władcy plejstocenijskiej tundry”; „Jura Karkowsko-Częstochowska – osobliwości fauny i flory”; „Sole i minerały świata”; „Jak żył rolnik i górnik na ziemi zagłębiowskiej”; „Galeria Zasłużonych Dąbrowian”.

Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach:

Najbliższe premiery:

Duża scena:

– „WIZYTA STARSZEJ PANI” Friedricha Dürrenmatta – reż. Magdalena Piekorz – 26.11.2010;

– „DZIADY” A. Mickiewicza – reż. Krzysztof Babicki – luty 2011;

– „PODRÓŻE SINDBADA ŻEGLARZA” wg Bolesława Leśmiana, reż. Jarosław Kilian – maj 2011;

Scena kameralna:

– „BÓG MORDU” Yasmina Reza, reż. Henryk Adamek – 5.11.2010;

– „MAŁE ZBRODNIENIE MAŁŻEŃSKIE” Erica-Emmanuela Schmitta, reż. Grzegorz Kempinsky – marzec 2011;

– „SOLARIS” Stanisława Lema w adaptacji i reżyserii Jarosława Tumidajskiego – maj 2011.

Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach:

26.11.2010 – 09.01.2011 – 6 Wystawa Kolekcji Małopolskiej Fundacji Muzeum Sztuki Współczesnej.

16.12.2010 – 16.01.2011 – „Język do lizania – Replikantki (4)” – 4 części cyklu „Replikantki” w Małej Przestrzeni Galerii BWA.

Rondo Sztuki w Katowicach:

10–30.12 – wystawa: Jarosław Janas „Skany Przestrzeni”.

26.11.2010 – 30.01.2011 – Festiwal Ars Cameralis 2010: „Jake & Dinos Chapman: In the Realm of the Senseless/ W królestwie bezrozumności”.

Teatr Rozrywki w Chorzowie:

4.12 – prapremiera musicalu „Wesołe kumoszki” wg Williama Szekspira.

31.12 – Koncert Sylwestrowy „ROZRYWKA – HIT – FESTIWAL” z udziałem Krzysztofa Respondka.

31.01.2011 – koncert Andrzeja i Mai Sikorowskich „Sprawa rodzinna”.

EXPO SILESIA:

7.01.2011 – 4. Międzynarodowe Targi Gołębi Pocztowych „EXPOGołębie”, 61. Ogólnopolska Wystawa Gołębi Pocztowych.

Kalendarium opracowała:
Ewa M. Walewska

TEATR ZAGŁĘBIA

w Sosnowcu

Dyrektor Naczelny i Artystyczny Adam Kopciuszewski

REPERTUAR GRUDZIEŃ 2010

1	środa	10.00	<i>Królowna Śnieżka</i> wg baśni braci Grimm
2	czwartek	9.00, 11.30	<i>Królowna Śnieżka</i> wg baśni braci Grimm
3	piątek	19.00	<i>Niech żyje bal</i> Piosenki Agnieszki Osieckiej
4	sobota	18.00	J.Chapman, J.Lloyd <i>Biznes</i> *
5	niedziela	11.00	<i>Królowna Śnieżka</i> wg baśni braci Grimm
7	wtorek	10.00	<i>Królowna Śnieżka</i> wg baśni braci Grimm
8	środa	10.00	<i>Niech żyje bal</i> Piosenki Agnieszki Osieckiej*
9	czwartek	19.00	<i>Królowna Śnieżka</i> wg baśni braci Grimm
10	piątek	19.00	Sławomir Mrożek <i>Tango</i>
11	sobota	18.00	Eugene Ionesco <i>Łysa śpiewaczka</i> *
12	niedziela	18.00	Eugene Ionesco <i>Łysa śpiewaczka</i> *
14	wtorek	10.00	Lucy Maud Montgomery <i>Ania z Zielonego Wzgórza</i>
15	środa	10.00	Lucy Maud Montgomery <i>Ania z Zielonego Wzgórza</i>
16	czwartek	19.00	Edward Taylor <i>Stosunki na szczycie</i>
18	sobota	18.00	Jan Szurmiej <i>Cymes! Cymes!</i> *
19	niedziela	18.00	<i>Niech żyje bal</i> Piosenki Agnieszki Osieckiej*
31	piątek	18.00, 21.00	<i>Wieczór Sylwestrowy</i>

* abonamenty ważne

Sprzedaż biletów w kasie Teatru Zagłębia
we wtorki, środy i czwartki - w godz. 12.00 - 17.00;
piątki, soboty i niedziele - 16.00 - 18.00

Zamówienia na bilety zbiorowe przyjmuje

Biuro Obsługi Widzów

tel. 266 11 27, 793 03 83, tel. kom. 602 470 644

Kasa biletowa tel. 266 87 66

www.teatrzaglebia.pl

e-mail: bow@teatrzaglebia.pl

Dyrekcja Teatru zastrzega sobie prawo zmian repertuarowych





IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Witolda Gombrowicza

przeciw poetom

13 grudnia 2010, 17:00

Art Cafe Muza, ul. Warszawska 2, Sosnowiec

W programie:

Uroczyste ogłoszenie wyników Konkursu

Promocja antologii pokonkursowej "Przeciw poetom"

Występ artystyczny

Prezentacja nagrodzonych wierszy

Jury IV edycji konkursu:

Paweł Barański, Marcin Orliński, Paweł Sarna, Ewa Pichnor (sekretarz jury)

zapraszamy!

Organizatorzy



 neurokultura.pl

Sponsorzy



Partnerzy

Kolegium Pracowników Służb Społecznych w Czeladzi
Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Nogajowej w Czeladzi

Art Cafe MUZA